

Koń a sprawa polska,  
włoska i francuska → 20

Dzieci z zespołem Downa  
– chorzy czy kosmici? → 26

Matt Damon: już się  
nie ścigam → 56

# PRZE KROJ

nr 6 (3527), 25 lutego 2013, cena: 3,99 zł (w tym 8% VAT)  
[www.przekroj.pl](http://www.przekroj.pl)

**Nosowska: już → 6  
nie wątpię w Hey**

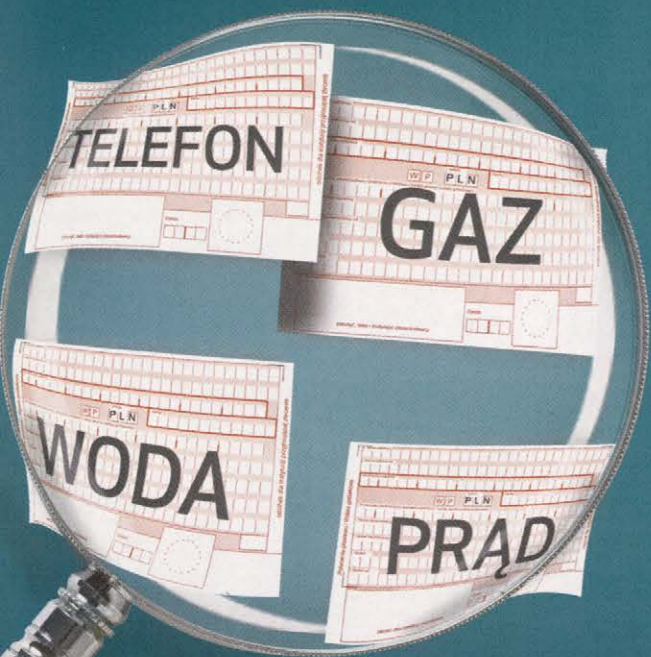
DEK:  
424

ISSN 0033-2488

80  
<

„Przekroj” ukazuje się od 1945 roku

# Mniejsze rachunki, większy uśmiech!



NOWE KONTO ODDAJE

# -10%

za GAZ, PRĄD, WODĘ i TELEFON!

www.credit-agricole.pl

801 33 11 11

koszt wg stawki operatora

Credit Agricole Bank Polska S.A.

**CA CRÉDIT AGRICOLE**  
prosto i z sensem



## PRZE KROJ

W tym tygodniu  
nie piszemy...

...o pośle Stefanie Niesiolowski, który Agnieszce Holland wypomnił egoizm i nadmierną troskę o „córunię lesbijkę”. Od dzisiaj mówimy o nim: wujcio wariatuncio. Pieszczołtowie, prawda?

...o tym, że Katarzyna Rosłaniec – reżyserka, której ostatni film to „Bejbi blues” – przeprowadza się do Berlina. Ogłosiła to na łamach portalu NaTemat. Szuzerze? Nie będziemy płakać.

...o ataku hakerów na twitterowe konto Burger Kinga. Intruzi, prawdopodobnie z grupy Anonimus, upodobnili najpierw konto marki do tego należącego do sieci McDonald's, a potem zaczęli wrzucać wpisy ośmieszające sieciówkę. Czekałmy, aż wpadną na to dziewczyny z 15W08. Ciekawe, na czyje konto wbiłyby się najchętniej.

...o prawicowej bojówce, która wdarła się w ubiegłym tygodniu na Uniwersytet Warszawski. Ta Środa na szczęście nie okazała się krwawa.

...o profesora z innej placówki oświatowej, a konkretnie – Uniwersytetu Wrocławskiego. Pan profesor, ważny działacz miejscowego SLD, egzaminował studentki w sposób typowy dla troglodytów. W zamian za wystawienie pozytywnych ocen żądał seksu. Teraz doczekał się uścisku wymiaru sprawiedliwości.

...o „Operacji stylowa” w MTV. Rusza kolejny sezon programu, od którego rzedną nam miny. W roli modowej wyroczni Aleksandra Szwed. I to by było na tyle.

## NA POCZĄTEK

ZUZANNA ZIOMECKA



Z jednej strony doskonale rozumiem historyczną reakcję na ślady koniny w wołowinie (str. 20). Gdy byłam wegetarianką stołującą się u babci na specjalnie spreparowanych przez nią jarskich pierogach, też nie podejrzewałam, że w tajemnicy przede mną dodaje do farszu mięso z kurczaka. Oburzenie zwykle wynika z poczucia oszukania, a w przypadku koniny podsycane jest przywiązaniem do zasłużonych dla człowieka wierzchowców. W PRL-u konina była bardziej dostępna i lepszej jakości niż inne mięsa, ale mimo wszystko większość wolała stać w kolejkach po szynkę konserwową, niż zjeść konika. Dorota Sumińska, znana polska weterynarz, często przywołuje historyczne znaczenie koni i psów w polskiej kulturze. Podejrzewam wręcz, że nawet wśród mieszczuchów większość

chętniej zjadłaby orła niż konia. Jednak w dobie rosnącej świadomości wpływu jedzenia na zdrowie (Małgosia Szumowska przekonywała mnie ostatnio przy papircosie, że używki wpływają na zdrowie tylko w 10 proc., podczas gdy jedzenie w 40 proc.) zastanawiające jest, że aspekty kulturowe górują nad naukowymi. Tabu wywołuje silniejszą reakcję niż zaszyfrowana, a więc w pewnym sensie przemycana obecność ołowiu w szminkach, barwników i spulchniaczy w płatkach śniadaniowych czy pusta kaloryczność syropu kukurydzianego, którym obficie podlane są fast foody. Wkładamy do ust potworne świństwa ze sporym apetytem i to jest bardziej w porządku niż spałaszowanie zdrowego steku z konia. Bo do spulchniaczy nikt się nie przytulał, a syropu nikt nie maltretował w drodze do rzeźni. Widać w końskolubnej części Europy najlepsza droga do serca wcale nie prowadzi przez brzuch, tylko przez stajnię.

MARCIN PROKOP



Moja ulubiona scena z „Pulp Fiction” to ta, w której Vincent i Jules próbują się pozbyć śladów po przypadkowym zastrzeleniu pasażera z tylnego siedzenia swojego samochodu, więc wzywają na pomoc niejakiego Wolfa słynącego z „rozwiązywania problemów”. Jak się okazuje, jego rola sprowadza się do wręczenia chłopakom ścierek i detergentów oraz rzucenia hasła „umyćcie wszystko do czysta”. Po zakończeniu zadania Wolf przyjmuje grubą kopertę, a jego podopieczni długo nie mogą się nadziwić jego genu-

szowi. Podobnie – przynajmniej w mojej ocenie – jest z coachingiem (str. 52), który wyrasta na nową religię zagubionych korporacyjnych kołnierzyków. To chwalebne, że pragną oni, by po znalezieniu odpowiedzi na pytanie, jak skutecznie zarabiać, ktoś pomógł im rozwikłać kwestię, jak przy okazji dobrze żyć. Tylko mam wrażenie, że gdyby sami pochylili się nad tą zagadką odrobinę dłużej i głębiej, nie potrzebowaliby do tego swoich Wolfów (z całym szacunkiem dla ich pracy). Osobiście polecam na początek wybranie się na długi spacer z dzieckiem. Jeśli się w nie wsłuchacie, zada wam te same pytania co coach. I to za darmo.

RACZKOWSKI



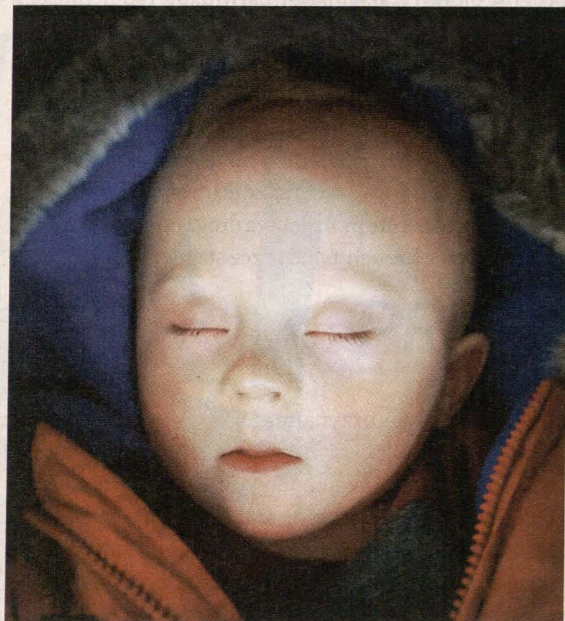
Promocja „Oszczędzam na rachunkach” trwa w terminie 12.01-28.02.2013 r. Warunkiem udziału w promocji jest otwarcie konta w pakiecie Konto PROSTOoszczędzające PLUS lub Konto PROSTOoszczędzające PREMIUM, złożenie wniosku o debetową kartę płatniczą oraz deklaracja stałych wpływów na konto (min. 100 zł miesięcznie). Klient otrzyma premię promocyjną w postaci oprocentowania specjalnego części środków, na rachunku bieżącym konta osobistego wynoszącego 12,35% dziennie (10% netto), przez 5 mies. od momentu przystąpienia do promocji przez kasy wanych na rachunek po wykonaniu transakcji wskazanych w regulaminie promocji. Maks. łączna kwota odsetek promocyjnych nie może przekroczyć 246,92 zł (200 zł netto). Szczegółowe warunki uczestnictwa oraz zasady promocji znajdują się w regulaminie „Oszczędzam na rachunkach” dostępnym w placówce bankowej i na www.credit-agricole.pl. Materiał ma charakter informacyjny i nie stanowi oferty w rozumieniu art. 66 kc.

**AKTUALNOŚCI**

- 6 → **WYWIAD** Co ty tak naprawdę wiesz, Nosowska?  
Z wokalistką zespołu Hey rozmawia Hanna Rydlewska
- 18 → **UE** Kremy ze skreślonym królikiem  
Barbara Zaborowska-Czajka
- 19 → **ŚWIAT** Praca à la Française Grzegorz Siemiończyk

**GRUBE SPRAWY**

- 20 → **KONINA** Nasze szkapy Dla Europejczyków z Północy jedzenie końskiego mięsa to tabu. Dla wielu Polaków też, przekonuje Jerzy Ziemacki



- 26 → **ZESPÓŁ DOWNA** Jesteśmy rodzicami kosmity  
Monika Brzywczy
- 32 → **ZESPÓŁ DOWNA** Pomoc państwa Grażyna Raszewska i Kamilla Gębska



- 34 → **ZESPÓŁ DOWNA** 21 powodów do szczęścia Mike Urbaniak
- 40 → **KAPITAŁ SPOŁECZNY** Czas sąsiadów Dominika Kaźmierczyk
- 44 → **ZIELONA MOC** Jak zjednoczyły nas drzewa Patryk Chlewińczak
- 48 → **BYĆ JAK MARIA JANION** Google polskiej humanistyki  
Cezary Polak



- 52 → **COACHING** Trening życia Katarzyna Sroczyńska
- KULTURA**
- 56 → **KINO** Nie chcę się już ścigać Z Mattem Damonem, aktorem i współscenarzystą filmu „Promised Land”, rozmawia Paweł T. Felis
  - 60 → **FANTY I FETYSZE** Wybiera Agata Zubeł Anna Gwozdowska
  - 62 → **LITERATURA** Ulubiony brutal Ameryki Marcin Kube
  - 66 → **MUZYKA** Domowe kapele Jerzy Ziemacki
  - 68 → **MUZYKA** Dekada w branży Angelika Kucińska
  - 69 → **FILMY** Tabu Dorota Chrobak

- NAUKA**
- 70 → **PODRÓŻE** Zwiedzanie na ekranie Marianna Saska
  - 74 → **PRZYRODA** Rysiu, wróć! Wojciech Mikołuszko

- ROZMAITOŚCI**
- 76 → **MODA** Skyfall – czyli moda na sezon meteorytów  
Ewa Panewka i Wanda Dysk
  - 79 → **PO-PATRZ** Trupa pana Brodsky'ego Kuba Dąbrowski
  - 80 → **WINA** Piękna czy bestia Wojciech Bońkowski

- FELIETONY**
- 13 → **MARIUSZ ZIOMECKI** Notatki służbowe w sprawie Uralu
  - 15 → **MAX CEGIELSKI** Zgroza sentymentalizmu
  - 17 → **SZYMON ZIOŁO – POLEMIKA** Przeciwnicy GMO nie potrafią dowieść swoich racji
  - 62 → **MACIEJ NOWAK** Śląskie fizymatenta

**PRZEKROJ**

**ADRES REDAKCJI**  
ul. Prosta 51, 00-838 Warszawa,  
22 463 03 00, www.przekroj.pl,  
e-mail: doredakcji@przekroj.pl

**Redaktorzy naczelni:**  
Zuzanna Ziomecka  
Marcin Prokop

**Zastępcy redaktorów naczelnych:**  
Hanna Rydlewska  
Monika Brzywczy  
(redaktor działu Kultura)

**Redaktor działu Grube Sprawy:**  
Anna Gwozdowska

**Redaktor:**  
Grzegorz Sobaszek

**Sekretarz redakcji:**  
Katarzyna Czarna

**Współpracownicy:**  
Wojciech Bońkowski, Max Cegielski,  
Kuba Dąbrowski, Aga Kozak,  
Angelika Kucińska, Wojciech  
Mikołuszko, Katarzyna Nowakowska,  
Cezary Polak, Marek Raczkowski,  
Marianna Saska, Karolina Słoj,  
Stach Szablowski, Mike Urbaniak,  
Jerzy Ziemacki

**Projekt graficzny:**  
Magdalena Piwowar

**Pracownia graficzna:**  
Andrzej Figatowski

**Fotoedycja:**  
foto@przekroj.pl,  
Dorota Majka-Czarnocka

**Korekta:** Dominika Stepien,  
Agnieszka Ujma

**Strona internetowa:** KRCSMedia.pl

**Wydawca:** Presspublica sp. z o.o.  
ul. Prosta 51, 00-838 Warszawa

**Promocja i marketing:** Cezary  
Pienikowski – p.o. Dyrektora  
Marketingu i Rozwoju, Paulina Berska  
(p.berska@rp.pl)

**Biuro Reklamy i Ogłoszeń:**  
Presspublica sp. z o.o.  
ul. Prosta 51, 00-838 Warszawa;  
tel. 22 629 86 14; 22 621 48 69;  
fax. 22 621 46 58; 22 625 61 57;  
reklamainfo@presspublica.pl;

**Dyrektor Biura Sprzedaży  
Korporacyjnej** Witold Trzcifski  
tel. 22 463 05 53

**Dyrektor Działu Agencyjnego  
i Magazynów** Filip Weichert  
tel. 22 463 01 88

**PRENUMERATA TYGODNIKA „PRZEKROJ”**  
**Prenumerata redakcyjna:**  
Cena prenumeraty 2013 r.:  
Roczna: 175 zł, kwartalna: 46,80 zł  
Zamówienie na prenumeratę należy  
składać e-mailem:  
prenumerata@przekroj.pl  
Dodatkowe informacje  
tel. 800 120 195; 22 463 00 87

**Prenumerata kółpocztowa**  
Oddziały Ruch SA, tel. 801 800 803  
lub 22 717 59 59 – telefoniczne Biuro  
Obsługi Klienta czynne w godz. 7-18,  
www.prenumerata.ruch.com.pl,  
urzędy pocztowe

**Prenumerata na e-Wydania:**  
www.przekroj.pl; www.sklep.rp.pl  
www.egazety.pl; www.e-kiosk.pl

**Dostęp na stronie www i wersje na iPad**  
Prenumerata na iPad przez App Store  
tydzień – 0,79 €, miesiąc – 1,59 €,  
rok – 19,99 €

Prenumerata na Android  
przez Google Play: tydzień – 3,49 zł,  
miesiąc – 6,89 zł, rok – 78,99 zł  
Dostęp do serwisu oraz e-wydania  
przez przekroj.pl: tydzień – 2,89 zł,  
miesiąc – 8,89 zł, rok – 89,00 zł  
Informacje: serwis@przekroj.pl,  
tel. 22 46 30 066

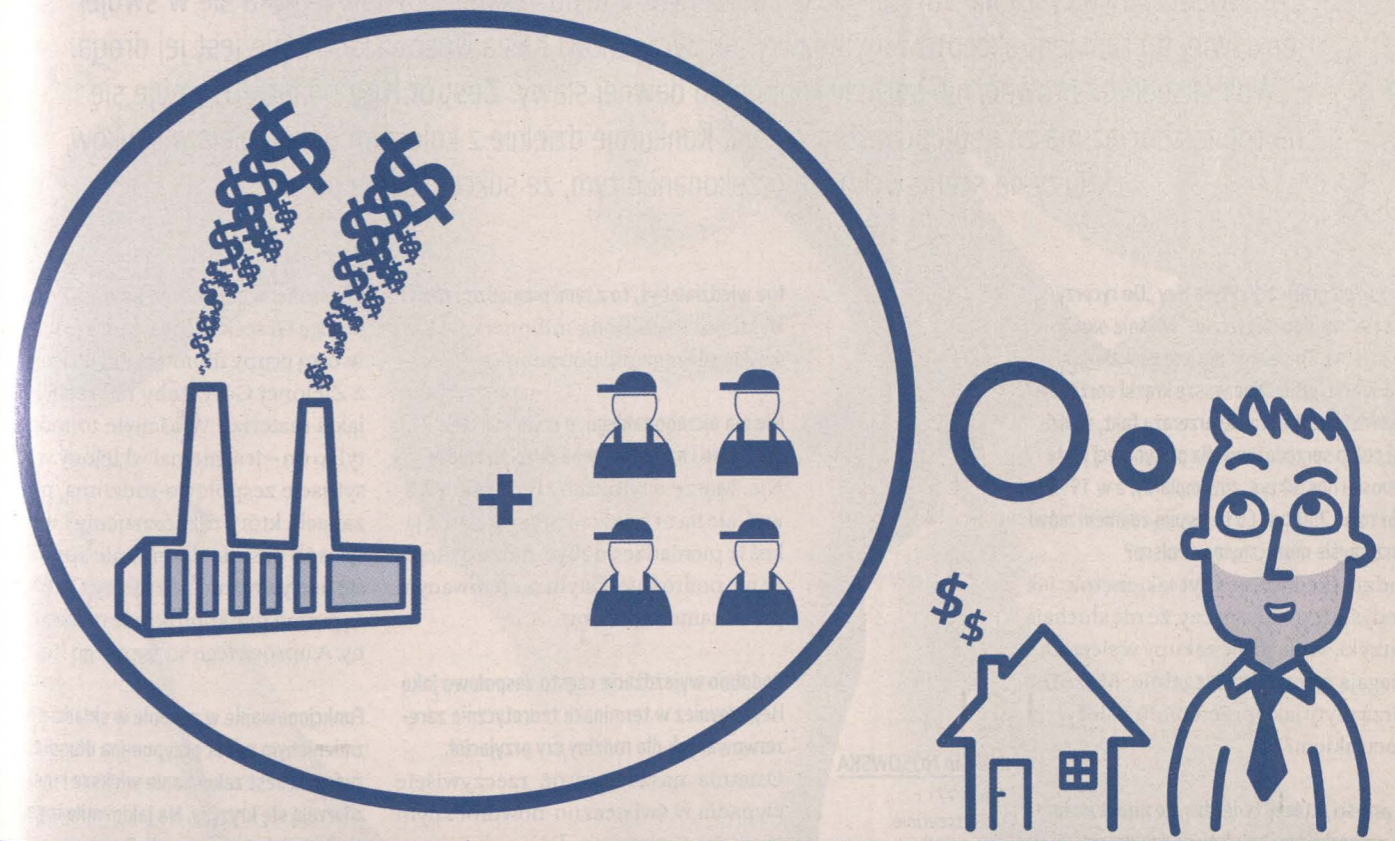
**Okładka:**  
Fot. Agata Pospieszyska/AFPhoto  
Makeup: Natalia Grewińska  
Fryzura: Patrycja Długosz

**Mały biznes w małych miejscowościach**

**Konkurs na najlepszy Biznes Plan**

Mieszkasz w miejscowości do 50 tys. mieszkańców, jesteś przedsiębiorczy i masz 20-35 lat?  
Potrzebujesz funduszy na rozwinięcie swoich pomysłów, chcesz być własnym szefem?

Stwórz własny biznes i wygraj 50 000 zł



www.rp.pl/malybiznes



ROZMAWIA HANNA RYDLEWSKA, ZDJĘCIA AGATA POSPIESZYŃSKA/AFPOTO

## Co ty tak naprawdę wiesz, Nosowska?

Doświadczony artysta nie zawsze chce konkurować z młodziami, czasem zamyka się w swojej enklawie, bo tam jest akceptowany bezwarunkowo – mówi Kasia Nosowska. To nie jest jej droga. Woli eksperymentować, niż odcinać kupony od dawnej sławy. **Zespół Hey** od lat utrzymuje się na topie, chociaż ma za sobą poważny kryzys. Konkuruje dzielnie z kolejnym pokoleniem muzyków, którzy na scenę wchodzą przekonani o tym, że sukces im się należy.

Zacznę od gratulacji. Płyta Hey „Do rycerzy, do szlachty, doo mieszczan” właśnie okryła się platyną. To pewnie nie jest zaskakująca informacja, wszystkie wasze krążki sprzedają się świetnie. Ale trochę przeraża fakt, że dzisiaj pułap sprzedażowy dla platynowej płyty wynosi u nas 30 tys. egzemplarzy, a w 1995 r. było to aż 250 tys. Co to twoim zdaniem mówi o przemyśle muzycznym w Polsce?

Ludzie nie kupują płyt tak chętnie jak kiedyś, ale to nie znaczy, że nie słuchają muzyki. Wolą robić zakupy w sieci albo ściągają muzykę nielegalnie. Może nie darzą płyty jako przedmiotu należyty szacunkiem?

Są artyści, którzy twierdzą, że piractwo im nie przeszkadza, bo płyty są tak drogie, że niewielu ludzi stać na legalne zakupy. Usprawiedliwiasz piractwo?

W jakimś sensie znalazłam sposób na usprawiedliwienie swojej obecności na świecie. To śpiewanie nadaje sens mojemu życiu. W tej zabawie chodzi głównie o to, żeby ludzie chcieli słuchać mojej muzyki. Kwestie związane z zarabianiem pieniędzy są dla mnie drugorzędne. Fajnie by było mieć kupę pieniędzy, ale to mógłby też być dla mnie potężny stres.

### KASIA NOSOWSKA

ur. 1971 r. w Szczecinie. Wokalistka i autorka tekstów. Jest liderką grupy Hey. Ma na koncie sześć płyt solowych (ostatnia, zatytułowana „8”, ukazała się w 2011 r.). Wydany w listopadzie zeszłego roku dziesiąty album Hey „Do rycerzy, do szlachty, doo mieszczan” zyskał status platynowej płyty.

**Nie wiedziałabyś, co z tymi pieniędzmi robić?** Byłabym zagubioną milionerką. Właściwie niczego nie potrzebuję.

**Nie ma niczego takiego, o czym marzysz od dawna i na co potrzeba dużo pieniędzy?** Nie. Marzę o tym, żeby móc podróżować, ale na to zawsze jestem w stanie jakoś te pieniądze zdobyć, może dlatego, że nie podróżuję w stylu preferowanym przez zamożne osoby.

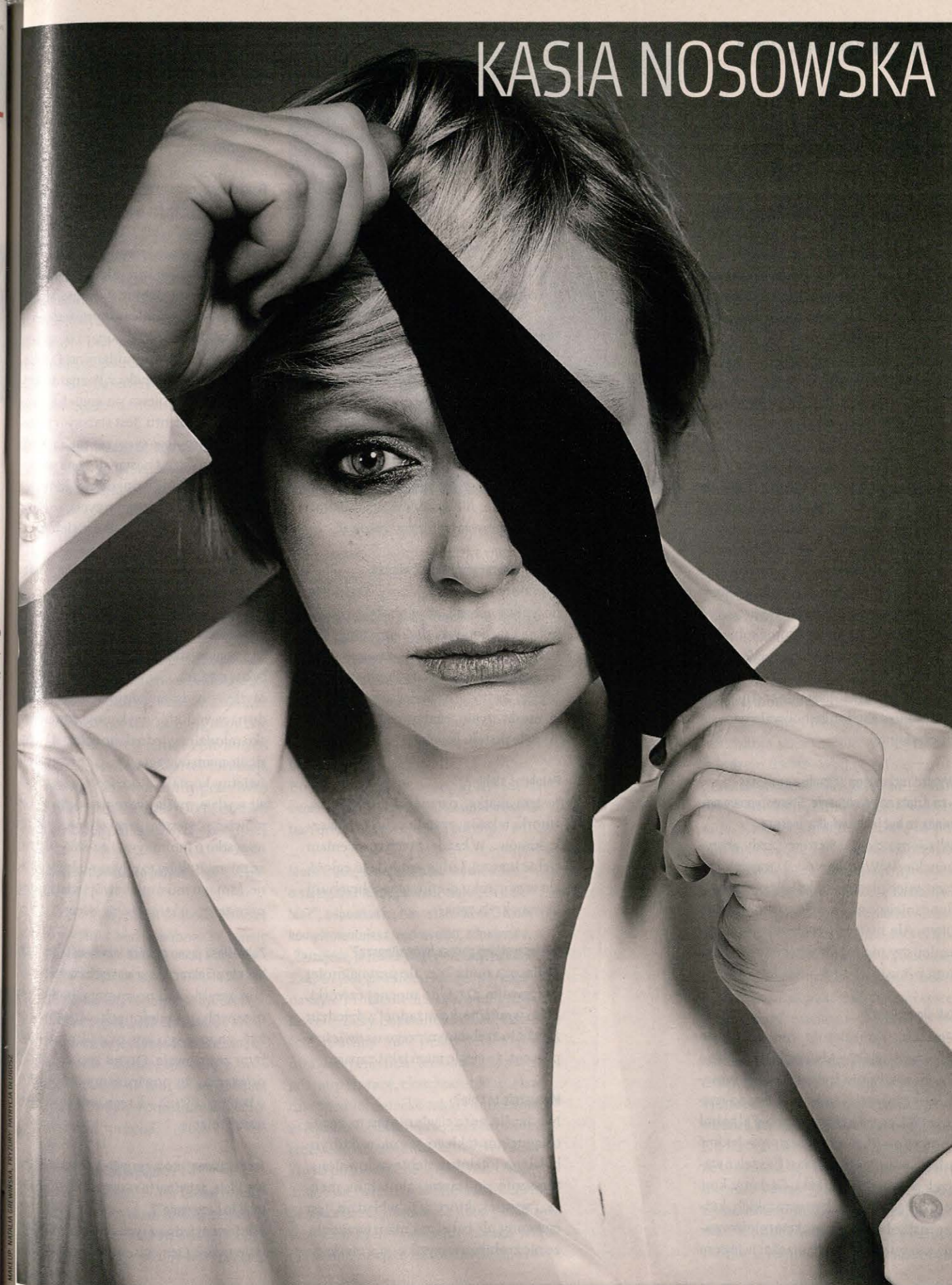
**Podobno wyjeżdżacie często zespołowo jako Hey, również w terminach teoretycznie zarezerwowanych dla rodziny czy przyjaciół.**

Ostatnia nasza podróż rzeczywiście wypadła w świąteczno-noworocznym terminie i wiem, że dziewczyny oraz żony kolegów z zespołu wspięły się na wyżyny zrozumienia, żeby ich puścić w świat. Ale myślę, że warto było, że oni wrócili z tej podróży nieco odmienieni i – moim zdaniem – lepsi dla swoich rodzin. Pojechaliśmy do Wietnamu. Zahaczyliśmy o Kambodżę i Tajlandię, ale głównie celem tej podróży był Wietnam, który jest najpiękniejszy. Wypad był absolutnie towarzyski, natomiast kiedy się okazało, że cały zespół decyduje się na wyjazd, to stwierdziliśmy,

że może weźmiemy ze sobą naszego kolegę Grześka Lipca, który jest współtwórcą grupy filmowej Sky Piastowskie z Zielonej Góry, żeby nakręcił z nami jakiś materiał. Właściwie to mógł być tylko on – jest niemal wklejony w naszą sytuację zespołowo-rodzinną, posiada zapach, który rozpoznajemy i w żaden sposób nas nie drażni, nie sprawia, że się usztywniamy, pozujemy. On z kamerą potrafi być kompletnie niezauważalny. A oprócz tego strasznie go lubimy.

**Funkcjonowanie w zespole w składzie niezmiennym od lat przypomina długoletni związek. Jest zakochanie większe i mniejsze, zdarzają się kryzysy. Na jakim miłosnym etapie jesteście teraz ze sobą?**

Ocieramy się w tej chwili o najbardziej pierwotną, idealistyczną definicję miłości. My już wiemy, co to znaczy tak naprawdę kochać. Rozumiemy, że znaleźliśmy cenną jednostkę do zakochania się, teraz jesteśmy na etapie poznawania się od tej najgłębszej strony. Nie musimy się już posługiwać słowami, żeby się rozumieć, docierać do siebie. Znamy swoje granice, stać nas na to, żeby nie obrażać się bez końca, żeby po sytuacji krótkotrwałego napięcia przejść do sedna.



**A ty jako liderka zespołu masz decydujący głos? Jesteś królową dla chłopaków czy bardziej jest to związek partnerski, że użyję tego modnego teraz zwrotu?**

On jest partnerski, ale zdarzają się sytuacje, w których na ułamek sekundy staję się księżniczką, którą trzeba uhonorować specjalnymi względami. W sytuacji ostrego sporu, dotyczącego chociażby jakiejś piosenki, to ja decyduję, czy ona wejdzie na płytę czy nie.

**Lubisz stawiać na swoim?**

Myszę, że jak na kobietę i jeszcze piosenkarkę jestem superspolegliwa i nadaję się do życia w zespole. Sam fakt, że pojechałam na miesiąc w podróż spakowana tylko w mały plecak podręczny, o czymś świadczy. No, która kobieta ma jaja, żeby pojechać na miesiąc z małym tobołkiem? Mam już tyle lat, że same moje kremy ważą grubo ponad normę bagażu podręcznego. I nie marudzę, nie jestem uciążliwa, nie opóźniam wycieczki, nie mówię, że chcę teraz iść i kupić sobie koraliki, tylko po prostu jestem. Myszę, że na czas obcowania z chłopakami potrafię uwypuklić w sobie takie cechy, które są męskie, żeby funkcjonowało nam się trochę fajniej.

**Wyjazd rockowego zespołu na miesiąc – to działa na wyobraźnię. Stereotypowo powinna to być jedna wielka impreza.**

Wiadomo, że nie są to wyjazdy abstynenckie. W Wietnamie jest strasznie gorąco, więc piwko smakuje lepiej. To jedyne miejsce na świecie, w którym piję piwo. Ale hysterii i rockandrollowych szaleństw nie ma. My już starzy jesteśmy, wiesz?

**Tak się czujesz?**

(śmiech) Kompletnie nie czuję się „na swój wiek”. Ale osobowościowo to my nigdy nie byliśmy hardkorowcami. Mamy taką zasadę, jeszcze z czasów PRL-u, że zaczynamy pić alkohol dopiero po 13. A jeśli siedzimy w jakimś miejscu dłużej, to zamiast flaszek z wazek wyciągamy książki. Gadamy, ktoś robi zdjęcia. Dwóch mamy takich, którzy mają obsesję na punkcie rejestrowania wszystkiego, co ich otacza. Ja jestem

**Chętnie daję, ale nie potrafię przyjmować. Raczej jestem typem samowystarczalnym. Zawsze wiem, że potrafię sama sobie pomóc.**

z tych czytających. Nic nie odwraca mojej uwagi, jest fantastycznie.

**Kłóciś się teraz ze światem czy żyjesz z nim w zgodzie?**

Jestem ze sobą pogodzona, ale wiele rzeczy z zewnątrz kontestuję. Dokonałam kilku ważnych życiowych wyborów, już wiem, co nie jest dla mnie, w co pod żadnym pozorem nie chcę brnąć. Funkcjonuję na uboczu, nie jaram się wszystkim bezmyślnie, nie walczę z wiatrakami. Konflikt przestał mnie interesować.

**Choć teoretycznie jest twórcy.**

Tak, ale to zazwyczaj pozory. Chwilowy przypływ energii, ale globalnie – strata czasu i życiowych sił. Z miotania się, które długo było moją domeną, w ostatecznym rozrachunku nic nie wynika. Myszę, że to jest najlepszy moment w moim życiu, stałam się weselsza. To miłe po tylu latach.

**Polubiłaś siebie?**

Jestem matką, partnerką, wokalistką, autorką tekstów, czytelniczką, oglądaczką filmów... W każdej z tych ról oceniam siebie inaczej. Lubię siebie jako całość, ale w stosunku do poszczególnych ról bywam krytyczna.

**We wszystkich chcesz być najlepsza?**

Najlepsza może nie, ale przynajmniej przyzwoita. Dążę do mocnej czwórki. Mam wrażenie, że w żadnej z dziedzin życia nie zrobiłam niczego na dwieście procent, że ciągle mam jakiś zapas.

**Muzycznie też nie?**

Nie, myszę, że to ciągle nie jest to, że nie osiągnęłam takiego stanu, w którym byłabym totalnie z siebie zadowolona. Strasznie się staram, ale tak na maksa, i wysiłek, który w to wkładam, jest ogromny, ale cały czas mam wrażenie, że nie zrobiłam wszystkiego, a myszę, że

perfekcjoniści wykraczają poza normę sto procent.

**Dzisiaj jest trudniej działać na rynku muzycznym niż 10 czy 15 lat temu?**

Zdecydowanie tak. Wtedy było nas wszystkich mało w branży, teraz co tydzień mamy nową premierę, nowe objawienie, kolejny debiut. Z drugiej strony, zazdroścę współczesnym twórcom, że są tak bardzo przekonani o własnej wartości. Ostatnio trafiłam na Facebooku na profil chłopaka z Poznania, który ma 19 lat i śpiewa po angielsku bez polskiego akcentu. Jest starszy o półtora roku od mojego syna, nie ma żadnych kompleksów, jest nastawiony na sukces. A ja wywodzę się z pokolenia, które nie potrafiło tak korzystać z życia, czerpać ze swoich zasobów, doceniać siebie.

**Czujesz, że masz prawdziwy kontakt ze swoim synem i z jego pokoleniem? Nadążasz za współczesnymi dziećmi? Pytam o to również w kontekście niedawnej tragedii – samobójstwa 16-latkę, o którym głośno było w mediach.**

Myszę, że nadążam, ale to chyba ze względu na zawód, który wykonuję. Jestem blisko młodzieży, jednak po całej tej historii nie mam odwagi mówić, że mam z nią świetny kontakt. Rodzicom często coś się wydaje, myślą życzeniowo. Szczerze mówiąc, nie jestem przekonana, że wiem wszystko o moim synu i że wszystko rozumiem. Byłoby to chyba niehigieniczne. Mój syn musi mieć swój świat i swoją przestrzeń, o której ja nie wiem.

**Zakreślasz jasno granice intymności, których byś nie przekroczyła w waszych kontaktach?**

Nie grzebię mu po sprzętach elektronicznych, po telefonach. Muszę założyć, że mój syn jest rozsądny, inaczej bym zwariowała. On mi zresztą często powtarza, że powinniśmy się cieszyć – ja i jego ojciec – z tego, jak wyglądają nasze relacje.

**Jesteś mamą, która mu mówi: „Zapalmy trawę. Wole, żebyśmy to razem robili, niż żebyś robił to beze mnie”?**

Nie jestem jedną z tych mam, zresztą nie palę trawy. Oczywiście jak byłam mło-

da, to próbowałam, natomiast nie jest to moja faza. Mam wielu znajomych, którzy czerpią korzyści z tego, że od czasu do czasu zapalą, znam też ludzi, którzy palą dużo i są średnio fajnymi partnerami w rozmowach, bo już nie ma z nimi kontaktu, są nudni. I znam, a właściwie znałam takich, którzy zaczynali od palenia dzointów i skończyło się to bardzo źle. Niektórych po prostu dzisiaj nie ma. Mogłabym palić, ale po co? Sama sobie imponuję, że potrafię powiedzieć: „Nie, dzięki”. Chyba zawsze byłam tak skonstruowana, jako nastolatka również.

**Nie przeżyłaś młodzieńczego buntu?**

No właśnie nie. Jeśli chodzi o narkotyki, to byłam nimi bardzo zainteresowana jako nastolatka, ale tylko w warstwie teoretycznej. Uwodziły mnie w kinie czy w literaturze. Zajmowały mnie biografie totalnych freaków, którzy na starcie życiowym podpisali pakt z diabłem. Strasznie mi to imponowało – łaknęłam takich informacji, kolekcjonowałam je i przeżywałam. Ale nigdy nie odczuwałam potrzeby, żeby stanąć po tej samej stronie. Mój bunt polegał raczej na tym, że nie czułam się częścią żadnej grupy. Nie lubię tego. Nie grzeje mnie ciepło innych, że tak powiem, zwartej formacji, w której wspólnie walczymy przeciwko czemuś. Dlatego nie przynależę do żadnej organizacji politycznej czy religijnej.

**Przynależysz do Hey. To jedyne ciepło, które lubisz?**

To stado, w którym mi dobrze. Zawsze jednak byłam i będę osobna. W sensie duchowym.

**Często podkreślasz, że potrafisz być sama, a to nie takie częste. Jeśli ktoś potrafi być sam, to znaczy, że jest pogodzony ze sobą?**

Jasne, że tak. Inaczej to męczy, boli. Potrafię być sam na sam ze sobą. Mam nadzieję, że mój syn odrobinę tego spokoju ode mnie przejął.

**A jakie wartości mu wpajasz?**

Staram się nie lepić go na miarę swoich oczekiwań. Powtarzam mu od lat, że nie jest dla mnie ważne, kim będzie – liczy się dla mnie tylko to, żeby był szczęśli-



wy. A szczęście, jak wiadomo, to nie są tylko nasze osiągnięcia, które możemy wyrecytować jednym tchem.

**Potrafisz doceniać szczęśliwe momenty?**

**Umiesz powiedzieć: „Tak, właśnie teraz jestem szczęśliwa”?**

Potrafię chwycić chwilę. Jestem bardzo szczęśliwym człowiekiem. Nawet niezręcznie jest mi o tym mówić.

**Dlaczego?**

Bo wiem, ile jest osób, które nie są szczęśliwe. Byłam tam, zawsze równałam do tych, którzy mają gorzej.

**Może trochę też nie wypada mówić u nas o szczęściu? Kiedy pytasz Polaka „Co u ciebie?”, odpowiada: „Aaa, stara bieda”. Kiedy komplementujesz jego wygląd, odpowiada: „Żartujesz, przecież przytyłem i wylisałem”.**

Tak, to jest problem, ale największym naszym problemem są źle zdefiniowane cele. Żeby pozwolić sobie na szczęście, musimy mieć pełen pakiet spełnionych pragnień: fantastyczny związek, superpracę, ekstrazarobki, piękne mieszkanie, dziecko takie rumiane jak w reklamie. To ułuda i zarazem wielki ciężar, bo zawsze któreś z naszych oczekiwań pozostanie niespełnione. Dlatego mamy na świecie tylu frustratów. Mam przekonanie, graniczące już z pewnością, że w życiu ważny jest balans. Nie ma w nim miejsca na totalny high, któ-

rego niby pragniemy. Poczucie braku odchyłków w którąkolwiek ze stron, takich ekstremalnych, jest dobre.

**Filozofia Wschodu przez ciebie przemawia?**

W pewnym sensie, ale nie tylko. Mam wrażenie, że warto wnikać we wszystkie opcje filozoficzno-religijno-psychologiczne. Gdzieś na przecięciu różnych systemów leży prawda o nas.

**Wydaje mi się, że jesteś osobą, do której ludzie zgłaszają się ze swoimi problemami. Ratujesz często przyjaciół i bliskich z opresji?**

Zdarza się. Nie wiem, czy „ratuję” to dobre określenie, ale jestem na posterunku, jeśli tylko mnie potrzebują. Bywam niezłym doradcą – jeśli znajomym rozwała się związek, to nigdy nie mówię im: „Nie pasujecie do siebie, lepiej to zakończcie”. Próbuje odessać z takiej sytuacji środek, znaleźć rozwiązanie. I chyba kilka razy nawet udało mi się kogoś wesprzeć. To jest miłe.

**Dostajesz czasem po łapach za taką pomoc?**

Nie, potrafię wycofać się sama, we właściwym momencie. Im człowiek starszy, tym mądrzejszy. Jestem chyba na etapie testowania samej siebie, tego systemu, w którym trwam. Wydaje mi się, że już pewne wnioski wyciągnęłam, pewne deklaracje złożyłam i teraz to weryfikuję. Kiedy komuś doradzam, to potem myślę sobie: „Co ty tak naprawdę wiesz, Nosowska? Czy twoje życie jest aż tak poukładane? Weź się zastanów. Czy twoje cele, dotyczące samej siebie, są już zrealizowane? Nie, nie, nie! Ciągłe jesteś nerwowa i potrafisz wybuchnąć od czapy zupełnie”. Dlatego nie powinienam się komuś pakować do jego systemu i objaśniać świata.

**Ale ten typ człowieka, który pomaga ludziom, cechuje problem ze zwróceniem się z prośbą o pomoc do innych. Masz tak? Potrafisz powiedzieć, że cierpisz i potrzebujesz wsparcia?**

No tak, rzeczywiście, to chyba tak jest, że chętnie daję, ale nie potrafię przyjmować. Raczej jestem typem samowystarczalnym, ale to oznacza, że jeśli mam kłopot, to nigdy nie czuję się bezbronna i na granicy podjęcia decyzji

o odejściu z tego świata. Nigdy! Zawsze wiem, że ja – ja! – potrafię sobie pomóc.

**W rozmowie z Tomaszem Stańką, którą ostatnio przeprowadziłaś w ramach telewizyjnych „Rozmów Po-Szczególnych”, wyznałaś, że interesuje cię śmierć i wszystko, co z nią związane. Co cię w niej tak pasjonuje?**

Ona mnie nie pasjonuje, to nie jest właściwe określenie. Podejrzewam, że rozstanie z naszą planetą jest przerażające. Nie chcę też, żeby śmierć stała się podmiotem wszystkich moich działań. Chyba chodzi o to, żeby w miarę możliwości użyć odpowiedniej ilości czasu i energii, aby ten temat jakoś delikatnie sobie przybliżyć, okiełznać go chociaż troszeczkę. To jest absolutnie niemożliwe, żeby za życia mieć jakieś wyrobione zdanie na temat śmierci, ale warto o niej myśleć o tyle, że świadomość śmierci może w pewien sposób zmienić nasze życie. Sama przez wiele lat trwałam w przekonaniu, że śmierć istnieje, ale ja, moja rodzina i moi najbliżsi są na nią uodpornieni. Wierzyłam, że mamy taką konstrukcję, że jesteśmy nieśmiertelni. To takie dziecięce podejście. Dopiero gdy człowiek sobie uświadomi, że w każdej chwili może odejść, że może go nie być, zaczyna bardziej sensownie kierować swoim życiem.

**A nie paraliżuje cię ta myśl, że kiedyś cię nie będzie, a świat będzie kręcił się dalej w najlepsze?**

Pewnie, że mnie to przeraża. Spina mnie to totalnie. Szczególnie osoby niewierzące mają z tym problem – nie mogą uciec w wizje o raj. Człowiek siada do śniadania, czyta gazetę i nagle uderza go taka historia: poranek, przystanek, tłum ludzi, pijany kierowca wjeżdża w tłum i zabija kilka osób. Śmierć jest bardzo blisko nas, towarzyszy nam w każdym momencie. Warto o tym pamiętać, bo ktoś, z kim kruszyliśmy kopie o głupstwo, zaraz może pójść na autobus, stanąć na przystanku i stracić życie. I nie będzie już powrotu, nie będzie wieczornego godzenia się i obśmiewania porannego konfliktu. Będzie pozamiatane.



**Stasz się realizować na bieżąco swoje pragnienia, nie odkładasz ich na potem?**

Tylko takie życie ma sens. Mam wrażenie, że my się nieraz tak gubimy w planowaniu, inwestowaniu, pielęgnowaniu wspomnień, że nie mamy już czasu na życie. Na przeżywanie tego, co tu i teraz. Na afirmację naszych codziennych doświadczeń. Ja pół życia zmarnowałam na analizowanie swojego dzieciństwa, na przewijaniu filmów z przeszłości i dopisywaniu do minionych wydarzeń kolejnych znaczeń. Dzisiaj już nie chcę odtwarzać filmów.

**Wyobrażasz sobie czasem swój pogrzeb?**

Gdyby to ode mnie zależało, w ogóle nie byłoby żadnego pogrzebu, ale w Polsce jest to niemożliwe, dowiadywałam się już. Nie ma opcji, żeby moi bliscy legalnie rozsypali moje prochy w jakimś pięknym i ważnym dla mnie miejscu. Taką akcję można przeprowadzić, ale to już jest pogrzebowa partyzantka. Wolałabym jednak nie zostawiać mojej ro-

dzinie urzędowej przestrzeni, do której czuliby się zobowiązani pielgrzymować.

**Od czasów nastoletnich mam taką zabawę, że wymyślam sobie playlistę na własny pogrzeb, która zmienia się wraz z moim gustem muzycznym. Jak wyglądałaby twoja?**

Jestem rozdarta między opcją „nie robmy z tego afery” a podkreśnianiem cudzego smutku (śmiech). Z jednej strony chciałabym, żeby moje ostatnie pożegnanie było ciepłym, bezpretensjonalnym wydarzeniem, a z drugiej podświadomie pragnę, żeby płakał po mnie cały świat. Pewnie wygrałaby ta druga opcja. I moją playlistę zdominowałyby numery, przy których można się konkretnie spłakać. Jak byłam młoda, też lubiłam sobie wyobrażać, kto i jak bardzo będzie płakał na moim pogrzebie, więc rozumiem twoją zabawę doskonale.

**To przy czym można spłakać się konkretnie?**

Osiemdziesiąt procent dyskografii zespołu Radiohead to kawałki smutne

i przejmujące. Ta muzyka potrafi rozdzierać serce, ale nigdy nie jest tandetna.

**To ciekawe, że mówisz właśnie o Radiohead, bo to zespół, który moim zdaniem patronuje zmianom stylistycznym, jakie widać w muzyce Hey. Poszłicie w stronę Radiohead?**

Każdy z nas ma inne fascynacje muzyczne. Jeśli się im uważnie przyjrzeć, można by dojść do wniosku, że mamy ze sobą muzycznie niewiele punktów styknych. Jest w Hey silna frakcja Pata Metheny'ego, jest również frakcja miłośników drobiazga na gitarce. Tylko Radiohead łączy nas wszystkich – nikt z nas nie ma wątpliwości, że to wielki zespół. Nawet nasz gitarzysta Żaba po latach nieufności dał się nam przekonać i teraz przyznaje, że Radiohead wymiata.

**Ciągnać to porównanie z Radiohead – Thom Yorke i spółka też zmieniają co jakichś czas styl, ale nie podążają za trendami muzycznymi i w gruncie rzeczy w swoich głównych założeniach są niezmienni.**

Oni kiedyś nagrywali – tutaj otwieram cudzysłów – grunge'owe piosenki, dawno temu Yorke śpiewał zdecydowanie innym głosem. Dzisiaj Radiohead brzmi inaczej, ale słycać i czuć, że wszystkie zmiany, które zaszły w muzyce Radiohead, są efektem naturalnego procesu, a nie mody. Dodam od razu – nie, nie śmiałabym nawet porównywać się do Thoma Yorke'a.

**Zmarą takich zespołów z długoletnim dorobkiem jest fakt, że na koncertach publiczność domaga się od nich przebojów sprzed lat, a mniej jest zainteresowana ich najświeższą twórczością. Fani Radiohead zawsze chcą usłyszeć „Creep”. Wy też tak macie?**

Mamy tak nagminnie, tylko że ja nie jestem tym zmartwiona. Rozumiem, że ludzie mogą mieć sentyment do starych utworów. Oczywiście pewnych rzeczy nie zagram już nigdy. Nie wyobrażam też sobie okoliczności, w których mogłabym dla przyjemności posłuchać starego Heya.

**Dlaczego?**

To było już tak dawno! Ja w ogóle nie słucham naszych piosenek, nie mówiąc

**☞ Gdyby to ode mnie zależało, w ogóle nie byłoby mojego pogrzebu, ale w Polsce jest to niemożliwe. Bliscy nie mogą legalnie rozsypać moich prochów w jakimś pięknym i ważnym dla mnie miejscu.**

już o starych numerach. Na próbach, kiedy przygotowujemy się do koncertów, nikt nie może mnie zmusić, żebym sobie przetrenowała „Teksańskiego” albo „Moją i twoją nadzieję”. Nigdy tego nie robię, bo jest to ponad moje siły, po tylu latach. Dopiero podczas koncertów coś się we mnie zmienia, pojawia się ta dawna emocja. Wytwarza się nagle energia, która sprawia, że jestem skłonna zagrać coś ze starych czasów. Ludzie tego chcą, a ja jestem w stanie to zrozumieć. Jesteśmy usługowcami i to my jesteśmy dla tych ludzi, a nie oni dla nas. Wiem, że gdybym poszła na koncert PJ Harvey, to chciałabym, żeby mi zagrała coś z pierwszej płyty, bo jestem jej fanką. Tak to działa.

**Utrzymujecie się na scenie od lat. Opadają was czasem łęki, że nie nadążycie za tym, co się dzieje w muzyce, że zrobicie coś, co będzie anachroniczne?**

Jest taka groźba, pewnie że tak. Myślę też, że nie mamy jak zadbać o to, żeby się perfekcyjnie wpasowywać w jakieś nowe trendy czy nowe idee. Nie mamy po 20 lat, więc to też byłoby nienaturalne, umówmy się. Nasza wartość zawiera się w czymś innym. Bo im będziemy starsi, tym więcej będziemy mieli do powiedzenia, siłą doświadczenia i życiowych eksperymentów. Jesteśmy mieszanką – moim zdaniem coraz lepszą – wszystkiego tego, co nas zbudowało.

**Przyznasz jednak, że są na polskiej scenie muzycznej zespoły, które powinny zakończyć już działalność, bo ich legendarną twórczość zaczynają przesłaniać terazniejsze pseudoartystyczne dokonania?**

Zgadzam się, że to może być problem. Niektórzy nie mają odpowiedniej konstrukcji psychicznej i nie potrafią powiedzieć „stop”. Są i tacy, którzy od lat tłuką to samo, bo na przykład lubią starego do-

brego bluesa i ich odbiorcy też to kochają. Doświadczony artysta nie zawsze chce konkurować z młodziakami, czasem zamyka się w swojej enklawie, bo tam jest akceptowany bezwarunkowo.

**Jakimś sposobem na odmłodzenie dla artysty czy zespołu z dorobkiem jest zaproszenie do współpracy kogoś młodego, kto dopiero wszedł z impetem na scenę. Wy zaprosiliście ostatnio na przykład Gabę Kulkę.**

Tak, na takiej współpracy zyskują wszyscy. To również ważne, żeby nie zamykać się w swoim gronie, w kręgu wzajemnej adoracji, tylko żeby umieć doceniać to, co dzieje się wokół. Szkoda, że niektórzy są tak zapatrzeni w siebie, że to nie pozwala im zachwycić się tym, co robią inni. Myślę, że to może bardzo przeszkadzać i ciągnąć w dół.

**Był taki moment, że zwątpiłaś w Hey?**

Zdarzały nam się potknięcia. Pamiętam niezbyt fajny okres w historii naszego zespołu, on trwał dobrych kilka lat. Nie sprzedawały nam się płyty, na koncertach nie było super, sami nie byliśmy w zbyt dobrej formie. Nastąpił jakiś moment zmęczenia. Nawet sami dla siebie nie byliśmy atrakcyjni.

**Myślałaś – to już koniec?**

Tak, tak. Ale potem to się samo przełamało. Nasz ojciec założyciel odszedł z zespołu i paradoksalnie ten wielki kryzys nam pomógł. Widocznie tak miało być. Poczuliśmy znowu jakiś zew przygody, zapragnęliśmy iść dalej, żeby udowodnić wszystkim, że nikt nie będzie decydował o naszym „być albo nie być”. Chcieliśmy zrobić coś razem. Pojawił się Paweł (Krawczyk – od red.) i powolutku, od nowa, poskładaliśmy Hey. Dzisiaj jestem cholernie dumna z walki, którą wygraliśmy.

**Warto czasem zacisnąć zęby?**

Warto mieć świadomość, że nic nie jest nam dane raz na zawsze. Jeżeli człowiek chce funkcjonować, to musi bardzo ciężko pracować. Nie wierzę w wieczne odcinanie kuponów od tego, co się kiedyś zrobiło, to nie jest możliwe. Trzeba myśleć, trzeba robić. ☞



**Trasa „Do rycerzy, do szlachty, doo mieszczan”  
Daty najbliższych koncertów:**

**02.03** Sztokholm, Tyrol  
**10.03** Bydgoszcz, Estrada  
**11.03** Gdańsk, Parlament  
**15.03** Rzeszów, Wytwórnia  
**16.03** Opole, NCPP  
**17.03** Zielona Góra, Kawon  
**22.03** Częstochowa, Zero  
**23.03** Nowy Sącz, Maska

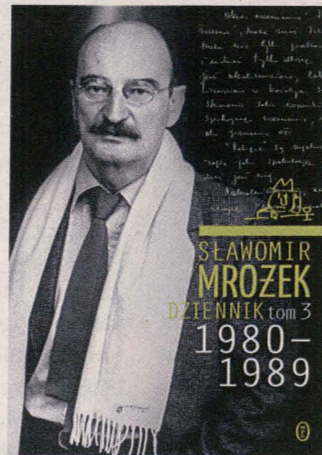


TELEWIZJA

## Serial Agnieszki Holland w HBO

O samopodpaleniu syna dowiedziała się w pociągu. W gazecie, którą czytał siedzący naprzeciwko niej mężczyzna, zauważyła zdjęcie Jana. Jechała do niego do Pragi, mieli iść na zakupy. Z wagonu zrozpaczoną kobietę wyprowadził konduktor. Pojechała prosto do szpitala. Jan Palach podpalił się 16 stycznia 1969 r. o czwartej po południu przed Muzeum Narodowym na placu Waclawa w Pradze. W ten sposób zaprotestował przeciwko agresji wojsk Układu Warszawskiego na Czechosłowację. Zrobił to w obronie wolności.

Agnieszka Holland opowiedziała tę historię w trzyodcinkowej miniserii pt. „Gorejący krzew”, którą od 3 marca będzie można oglądać w HBO. Pokazała, jak heroiczna decyzja Palacha wpłynęła na jego bliskich, na życie ludzi, którzy byli w tę sprawę zaangażowani. A Holland była jedną z nich. Studiowała w tym czasie w znanej praskiej szkole filmowej FAMU. – Wydarzenia te uformowały mój światopogląd – mówiła. Przy produkcji współpracowała także córka reżyserki – Kasia Adamik, muzykę skomponował Antoni Łazarkiewicz, a scenariusz napisał Sztiepan Hulik. W filmie wystąpił Ivan Trojan, znany polskiej publiczności z obrazów „Samotni”, „Opowieść o zwyczajnym szaleństwie” czy „Bracia Karamazow”. Główną bohaterką jest zaś prawniczka – Dagmar Burešová, którą matka Palacha poprosiła, by broniła pamięci jej zmarłego syna. W tej roli wystąpiła Tatiana Pauhofová – u Holland zagrała wcześniej Anusię w filmie „Janosik. Prawdziwa historia”. „Gorejący krzew” – 3, 10 i 17 marca, HBO Polska. → eb



KSIĄŻKA

## Surowy sędzia

7 marca nakładem Wydawnictwa Literackiego wychodzi trzeci, ostatni tom „Dziennika” Sławomira Mroźka, obejmujący lata 1980–1989. Rozmawiamy z Anną Zarembą-Michalską, prezesem Wydawnictwa Literackiego.

### Co znajdziemy w trzeciej części dziennika?

Szczerze zapiski na temat życia wewnętrznego autora. Chociaż „życie wewnętrzne” może brzmieć nudno, jest to bardzo wciągająca lektura. Prawdopodobnie dlatego, że Sławomir Mrozek nie ma dla siebie litości i nawet przed sobą nikogo nie udaje. Myślę, że zdecydował się na opublikowanie dzienników za życia, bo sam jest dla siebie najbardziej surowym sędzią. Wystawił się na swoją własną ocenę, i to tak ostrą, że w zasadzie pokazanie tego innym, czyli czytelnikom, nie robi już wielkiej różnicy.

### Jak wydawcy udało się namówić autora na publikację?

W naszym przypadku sytuacja jest wyjątkowa, bo poza wszystkim po prostu się z Mroźkiem przyjaźnimy. Przed wyjazdem do Nicei, w 2005 r., wyjawiał mi, że pisze dziennik. Wcześniej trzymał to w tajemnicy. Sam zresztą uważał, że nie jest on wart publikacji, ale wrócił się do nas, żebyśmy wyrazili swoje zdanie. My jako wydawcy nie mieliśmy wątpliwości.

### Jak wyglądała praca przy wyborze fragmentów, które ostatecznie weszły do książki?

Była to klasyczna współpraca wydawcy z autorem. Proponowaliśmy mu naszą wersję dzienników, a on nanosił na nią swoje poprawki. Dość dużo rzeczy eliminował, na przykład wykreślał niektóre fragmenty, co do których uznał, że mogłyby kogoś urazić – prowadziliśmy długie dyskusje i kilka udało się zachować. Zostały zmienione niektóre inicjały, ale osoba orientująca się w rzeczywistości tamtych lat i w środowisku artystycznym Paryża bez trudu się domyśli, o kogo chodzi. Można potraktować to jako łamigłówkę intelektualną i wyzwanie dla świadomego czytelnika.

→ rozmawiała Barbara Zaborowska-Czajka

# Mariusz Ziomecki

## Notatki służbowe w sprawie Uralu



FRANEK MAZUR

To nie jest WikiLeaks, wersja 2.0. Nie dotarłem do Ścisłej Tajnej Korespondencji Na Szczycie. Proszę mnie nie aresztować. To tylko zupełnie niewinna zabawa usłużnego felietonisty!

Do: prezydent RP Bronisław Komorowski

Od: szef Biura Bezpieczeństwa Narodowego gen. brygady prof. Stanisław Koziej

**Panie prezydencie:** po upadku meteorytu, który spowodował rozległe zniszczenia na Uralu i poranił ponad tysiąc osób, oraz po szokująco bliskim przelocie innej dużej asteroidy postuluję, by wezwał pan rząd, opozycję i stronnictwa polityczne do budowy Polskiej Tarczy Antymeteorytowej.

**W ocenie BBN** propozycja PTA zostałaby lepiej przyjęta przez opinię niż wcześniejsza prezydencka inicjatywa obronna budowy systemu obrony przeciwrakietowej. Po tragedii w Rosji nikt nie ośmielił się zaprzeczać, że bezpieczeństwo narodowe ma priorytet. Wystarczy jeden kilkotonowy meteoryt, by zniszczyć stolicę i pół Mazowsza! Ani na Amerykanów, ani na biurokratów z Brukseli nie możemy liczyć. Wojsko i przemysł są za PTA. Szacunkowy koszt: 100 miliardów PLN. Te pieniądze muszą się znaleźć!

### Urgent and Confidential

For: Barack Obama, President of the United States

From: Chuck Hagel, Defense Secretary-designate

Re: Cosmic Umbrella

Sir Asteroid 2012 DA14, średnicy ok. 50 metrów, który przeleciał przez wewnętrzne orbity naszych satelitów, oraz meteoryt, największy od ponad stu lat, który dobiegł wcześniej wywołał szkody w Rosji, unaocznili pilną konieczność rozbudowy systemu obrony Stanów Zjednoczonych (i, opcjonalnie, naszych kluczowych sojuszników) o moduł do zwalczania zagrożeń z kosmosu.

**W ocenie Pentagonu** program „Parasola kosmicznego” wzmocniłby autorytet i przywództwo Stanów Zjednoczonych w świecie, nie wywołując napięć z Rosją, jak było w przypadku (słusznie zarzuconej przez pana) tarczy antyrakietowej. Nasi naukowcy wskazują, że uderzenie jednego meteorytu o średnicy dwóch kilometrów wystarczy, by zniszczyć cywilizację w Ameryce Północnej. Wstępny koszt programu: tylko 0,6 trylion dolarów, w dodatku rozłożone na 15 lat. Wstępna reakcja dowódców Joint Chiefs of Staff jest bardzo pozytywna.

### PILNE

Do: prezydent Federacji Rosyjskiej Władimir Putin

Od: minister obrony gen. armii Siergiej Szojgu

**Władimirze Władimirowiczu:** jako były wieloletni minister ds. sytuacji nadzwyczajnych, obecnie na czele resortu obrony, z należnym szacunkiem zgłaszam problem. Uważam za alarmujące, że dane o trajektorii oraz masie meteorytu, który ugodził w naszą Ojczyznę, czerpaliliśmy z NASA. Federacja Rosyjska musi wzmocnić swoją wojskową obecność w kosmosie, nadgonić zapóźnienie w stosunku do USA i Chin. Szacuję, że przy obecnych cenach ropy naftowej i gazu system przeciwmeteorytowo-przeciwrakietowy „Gagarin” jesteśmy w stanie stworzyć w dwie pięcioletki, wzmacniając potęgę i autorytet Rosji w świecie.

Do: sekretarz generalny Komunistycznej Partii Chin towarzyszy Xi Jinping

Od: członek Centralnej Komisji Wojskowej, dowódca Drugiego Korpusu Artylerii gen. Wei Fenghe

**Towarzyszu Jinping:** według naukowców jest tylko kwestią czasu, kiedy duży meteoryt uderzy w terytorium Chin. Straty materialne i polityczne będą trudne do wyobrażenia. Jako kraj na dorobku nie możemy ryzykować, że owoce wieloletniej, mądrej polityki Partii mogłyby zostać zniweczone w jednym ognistym wybuchu! Postuluję, by przyspieszyć proces doganiania USA i Rosji w obszarze nauki i kosmicznych technologii. Przewidywane nakłady: tylko 1,3 trylion dolarów przez pierwszych pięć lat.

Do: prezydent Izraela Benjamin Netanjahu

Od: minister obrony Ehud Barak

**Panie prezydencie:** Nas, wojskowych, cieszy opinia wywiadu, że amerykańska „Cosmic Umbrella” na pewno obejmie Izrael. Niemniej podtrzymujemy opinię, że nasz kraj musi po cichu prowadzić prace badawcze nad własnym systemem obrony. Eksperci wskazują, że nadlatującymi meteorytami będzie można w pewnym stopniu sterować, a to zostawiałoby Izrael na łasce wrogów. Projekt „Don Quijote” Europejskiej Agencji Kosmicznej przewiduje np. subtelne korygowanie trajektorii asteroid przez pokrywanie ich boków ciemną i jasną substancją, co powoduje odpychanie ich przez promienie słoneczne, albo taranowanie ich rozpedzonymi rakietami. Na bank tak się zdarzy, że na koniec – przypadkiem oczywiście – taka asteroida trafi w Izrael... W tej sytuacji wstępny budżet badawczy 150 miliardów shekli nie wydaje się wygórowany. ☺

Autor jest redaktorem, dziennikarzem, publicystą, biznesmenem. U nas pisze o cywilizacji.



ROSJA

### Meteorytowa gorączka

Na rosyjskich portalach zaroilo się od ofert sprzedaży fragmentów meteorytu, który 15 lutego rozpadł się nad Czeliabińskiem. Dziesiątki Rosjan zaczęły polowanie na resztki meteorytu, który przed wejściem w okoziemską atmosferę mógł ważyć nawet 7 tys. ton. Według naukowców to, co z niego zostało, rozpadło się na siedem większych części i setki mniejszych. Na wolnym rynku ceny kosmicznych kamyków osiągają już wartość 40-krotnie wyższą od złota. Kawałki wielkości najwyżej 1 centymetra kosztują nawet 4 tys. dolarów. W sieci pojawiają się ogłoszenia, w których reklamowane są nawet 200-kilogramowe kawałki meteorytu znalezione jakoby w okolicach jeziora, do którego spadł. Rosyjskie władze ostrzegają jednak, że wystawione na sprzedaż fragmenty mogą być fałszywe. → b7c

TECHNOLOGIA

### Robot w ławce

Niewielki samobieżny robot wyposażony w kamerę i ekran pomaga siedmiolatkowi w nauce. Jak? Chodzi za niego do szkoły. Devon Carrow cierpi na poważne schorzenia – ma przewlekłe zapalenie przełyku i silną alergię. Wcześniejsze wizyty w klasie kończyły się w szpitalu. Dlatego szkoła zgodziła się na zakupienie robota VGo Communications (ok. 6 tys. dolarów), dzięki któremu Devon – choć siedzi w domu przed komputerem – może brać udział w zajęciach. Jego twarz jest wyświetlana na ekranie, a kamery i mikrofony pozwalają przekazywać obraz i dźwięk z lekcji. Zamiast podnoszenia ręki (robot VGo jej nie ma) po prostu zapala lampki na obudowie maszyny. Do komunikacji ze światem służy sieć komórkowa lub szkolne Wi-Fi. Baterie wystarczają na cały dzień. – Jest bardzo fajnie. To trochę jak granie w gry komputerowe – mówi Devon. – Tylko że twoim celem jest naprawdę przeżyć. – Jedyną rzeczą, która nas różni, to fakt, że Devon nie jest fizycznie w klasie – mówi jego mama Rene. – Musi robić to samo co wszystkie inne dzieci. Nie ma żadnej taryfy ulgowej. → peka



SIEĆ

### Wielcy ofiarą hakerów

Najpierw poważne amerykańskie gazety, teraz Facebook i Apple. To największy dotąd tego rodzaju elektroniczny atak. O włamaniu poinformował Facebook. Okazało się, że miesiąc wcześniej niezidentyfikowani hakerzy uzyskali dostęp do komputerów pracowników firmy. Mieli oni odwiedzać stronę internetową jednego z dostawców oprogramowania. Wcześniej strona została spreparowana przez hakerów w taki sposób, aby instalowała złośliwy kod na komputerach gości. Facebook zapewnił jednak, że wszystkie dane użytkowników sieci społecznościowej są bezpieczne. Ostrzegł również, że inne firmy także padły ofiarą włamywaczy. Teraz wiadomo, że dokładnie w ten sam sposób zaatakowano Apple'a, co jest o tyle ciekawe, że komputery Macintosh od dawna są reklamowane jako odporne na zagrożenia czyhające w Internecie. Jednak luka we wtyczce Java używanej w przeglądarkach internetowych pozwoliła hakerom na instalowanie własnego oprogramowania na komputerach pracowników Apple'a. Według firmy F-Secure złośliwy kod miał pozwolić na dostęp do maszyn, na których przygotowywane są aplikacje na smartfony. Nie wiadomo, kto odpowiada za te ataki. Na początku lutego o poważnym włamaniu na swoje serwery poinformował również Twitter. Hakerzy mogli zdobyć dane służącego do logowania ponad 250 tys. użytkowników tego serwisu. O trwających wiele miesięcy włamaniach na swoje komputery poinformowały wcześniej największe gazety – „New York Times”, „Wall Street Journal” i „Washington Post”. Specjaliści wynajęci do wysledzenia sprawców twierdzą, że za tymi atakami stoją Chiny. → peka

Max Cegielski

## Zgroza sentymentalizmu



KRZYSZTOF SKŁODOWSKI

**O sukcesie decyduje nie tylko 80 proc. ciężkiej pracy i 20 proc. geniuszu. Jak pokazuje historia Chopina i Kalkbrennera, trzeba też mieć sporo szczęścia.**

Pamiętacie Friedricha Kalkbrennera? A może zespół Them? Television? Zdobywcy złotej płyty w 1995 r. w Anglii: Sleeper? Każdy z nich miał przejść do historii. Tę jednak, w przeciwieństwie do terażniejszości, widać dopiero z oddali, im później, im większy dystans czasowy i mentalny, tym historia staje się wyraźniejsza. Pamiętam, jak w latach 90., pracując w Radiu Kolor, potem w nieistniejącej już Radiostacji, dostawałem szalu, słysząc inwazję britpopu. Teraz, grając w Radiu Roxy, mam wrażenie, że próbę czasu przetrwało ledwie parę utworów, tylko największe hity Oasis czy Pulp. Z repertuaru Sleeper, Elastica czy nawet Stone Roses prawie nic nie brzmi już ciekawie. MC5 czy Television przypominam na antenie w „Leksykonie buntowników”, kopiąc głęboko w piwnicach punk rocka. Po grupie Them została „Gloria” napisana przez Vana Morrisona, ale dziś kojarzona w wersji Patti Smith lub Jimiego Hendriksa. Przy takich archiwalnych porządkach przypominają się też setki polskich zespołów alternatywnych z lat 80. Kto z was zna najbardziej biesiadny przykład polskiego „punka”, Wańka Wstańka ani The Ludojades, przebój „Leżajski full”, w którym należy szukać chyba korzeni discopolo? Kompletnie zapomniani, choć młodzież dyskutowała o nich chyba więcej niż o Okragłym Stole.

A Kalkbrenner? W 1831 r., kiedy Chopin zjawił się w Paryżu, ten niemiecki kompozytor był gwiazdą ówczesnej wersji popkultury. Współwłaścicielem firmy fortepianowej, której promocją był koncert Chopina w salonie Pleyela. Ludzkość miała zapamiętać Friedricha, a jednak z perspektywy prawie 200 lat wygrał Fryderyk. Mechanizmy robienia kariery były takie same w XIX wieku jak teraz, przekonuję się, czytając książkę Piotra Witta „Przedpiekle sławy. Rzecz o Chopinie”. Nie znajdziecie tej pozycji w księgarni – nie dlatego, że jest zbyt specjalistyczna, lecz dlatego, że wydawcą jest Ministerstwo Kultury. Wydano, wyjątkowo słusznie, pieniądze z okazji roku szopenowskiego, ale potem egzemplarze zschowano w magazynie. To problem dotyczący wielu książek publikowanych przez instytucje dotowane

z budżetu państwa, które nie trafiają w ogóle na rynek, a co za tym idzie do czytelników.

Czytając „Przedpiekle sławy”, jestem zafascynowany np. informacją, gdzie bawiła się śmietanka Paryża w 1832 r., zamiast przyjść na pierwszy występ polskiego romantyka. Okazuje się, że tak jak dziś o sukcesie decyduje nie tylko 80 proc. ciężkiej pracy i 20 proc. geniuszu, ale też 99 proc. przypadku. Publiczność już 100 lat temu była zarzucana różnymi propozycjami kulturalnymi, dziś datę i godzinę premiery filmu trzeba wybrać tak, aby nie kolidowała z innymi atrakcjami. Wtedy nie było Facebooka ani nawet telewizji, a jednak pseudonim był równie istotny co przekaz i forma. Nazwisko Chopina było zbyt francuskie, salony nie dowierzały, że to naprawdę egzotyczny artysta z Polski. Pochodzenie miało zasadnicze znaczenie, ponieważ po przegranej powstaniu listopadowym była na nas moda. Dziś jest hype na muzyków z Nowej Zelandii, pewnie ekranizacje „Władcy pierścieni” mają z tym coś wspólnego.

Krzysztof Varga w felietonie w „Dużym Formacie” z 14 lutego 2013 r. po raz kolejny zżyma się na miłośność współczesności i pyta: „Co z nas zostanie”? A przecież dokładnie to samo pisali w kajecikach koneserzy z pokolenia dziadów i pradziadów. W czasach Chopina (zbyt wiele szaleństwa, za mało techniki), rock'n'rolla (krocze Elvise, o tempora, o mores), punka (trzy akordy, darcie mordercy, gdzie jest melodia?), jak i britpopu (gdzie energia i szczerłość Nirvany?!). Z dzisiejszych gwiazd przetrwają te, które oprócz kasy na atrakcyjny klip miały też coś do powiedzenia, tak jak Pulp „Common people” z 1995 r. okazuje się teraz dokumentem socjologicznym równie ważnym co „London Calling” z 1979 r. Ja też wolę The Clash i nie podgłaśniam Chopina, tylko „Powietrze” grupy Moskwa, jednak warto uważać, aby „o zgrozo – sentymentalizm” wobec lat własnej młodości (jak pisze Varga) nie wpływał zbyt często na nasz osąd współczesności. „Etos i bunt”, którego się domaga Krzysztof, zawsze istniały w ukryciu. Sławę, jeśli już, zyskiwały po latach, więc poczekajmy... →

Autor jest dziennikarzem i pisarzem. Ostatnio opublikował „Mozaikę. Śladami Rechowiczów”.





J.-L. KLEIN &amp; M.-J. HUBERT/AFIP

NAUKA

## Mówią sobie po imieniu

Życie codzienne delfinów to od lat ekscytujące reality show, któremu przyglądają się naukowcy. To dzięki nim co chwila dowiadujemy się, jak wiele łączy człowieka z tymi niezwykle inteligentnymi ssakami. Wiemy już, że potrafią się kłócić i godzić. Uprawiać seks dla przyjemności, a w sytuacjach zagrożenia – pomagać sobie, a nawet ludziom. Ich język to fascynująca zagadka, nad którą od przeszło półwiecza głowią się biolodzy. Szkoccy i amerykańscy naukowcy odkryli właśnie kolejną jej odsłonę. Okazuje się, że delfiny nie tylko doskonale się między sobą porozumiewają, używając powtarzających się kombinacji gwizdów i zaśpiewów, ale także wołają do siebie... po imieniu. Ekipa biologów morskich z University of St. Andrews przeanalizowała dźwięki wydawane przez grupę delfinów butlonosych z Sarasota Bay u wybrzeży Florydy. Nagrania trwały kilkanaście lat, a ich analiza pokazuje, że w sytuacji odseparowania grupy od siebie – zarówno matek od potomstwa, jak i dorosłych samców – zwierzęta potrafią wołać się, używając określonych i powtarzalnych odgłosów przypisanych do konkretnych jednostek. – Dokładnie jak ludzie, którzy nagle tracą się z oczu i wołają siebie po imieniu, próbując się odnaleźć – mówiła dr Stephanie King z University of St. Andrews University. Wyniki badań właśnie zostały opublikowane w „Proceedings of the Royal Society B” i są kolejną ważną lekcją, jakiej udzielił człowiekowi delfin. → kw



MATERIAŁ ORGANIZATORA/WOLCIECH GAJEWSKI

KRAKÓW, WARSZAWA

## Mało kobieca branża

Istnieje wiele stereotypów na temat programistów i informatyków. Jednym z nich jest przekonanie, że tą dziedziną nie interesują się kobiety. 5 marca w Warszawie i 7 marca w Krakowie będziemy się mogli przekonać, na ile taki pogląd jest uzasadniony. W tych dniach odbywać się będą spotkania branży IT poświęcone kobietom i ich ścieżkom kariery w dużych firmach. Będzie można posłuchać czterech kobiet zawodowo związanych z Facebookiem: Goranki Bjedov, Kari Lee, Mary Pinnemovej oraz Amy Platt – pierwszej kobiety inżynier, która dołączyła do zespołu tej firmy. Szczegółowe informacje znajdziemy na stronie: [www.geekgirlscarrots.pl](http://www.geekgirlscarrots.pl). → bcz



WATYKAN

## Ćwierkający kardynałowie

Dziesięciu spośród 117 kardynałów, którzy wezmą udział w marcowym konklawe, tweetuje. Zresztą ustępujący papież Benedykt XVI także ma konto na Twitterze. Według włoskiego dziennika „La Stampa” bukmacherzy już przyjmują zakłady, czy któryś z tweetujących kardynałów złamie zasadę nieupubliczniania przebiegu wyboru nowego papieża i wypuści tweeta w świat z Kaplicy Sykstyńskiej. Jednym z pierwszych dostojników, którzy założyli konto na Twitterze, był amerykański arcybiskup Nowego Jorku Timothy Dolan, wymieniany notabene wśród papabili. Kolejni ćwierkający kardynałowie to m.in. arcybiskup São Paulo Odilo Scherer i Monsignore Gianfranco Ravasi. Wszyscy mają po kilkadziesiąt tysięcy fanów śledzących ich tweety. Kilka dni temu biorący udział w konklawe kardynał Roger Mahony, ten sam, którego oskarża się o tuszowanie skandali pedofilskich, napisał na Twitterze, że będzie ćwierkał codziennie. Czy to on mógłby być kretem? → ag

Szymon Ziolo

# Przeciwnicy GMO nie potrafią dowieść swoich racji

Szczególny panie Macieju,

tak się składa, że udało mi się przeczytać komentowany przez pana artykuł w konkurencyjnej „Polityce”, którą podobnie jak „Przekrój”, czytam regularnie. Po przeczytaniu pańskiego felietonu muszę przyznać panu rację: nie istnieje dziennikarstwo obiektywne, czego pański felieton jest najlepszym przykładem.

Dla jasności – nie jestem ani przeciwnikiem, ani zwolennikiem GMO. Jestem za wolnym wyborem. Dlatego nie sprzeciwiam się uprawom GMO, a jedynie wymagam, aby pozostawić mi swobodę decydowania co do „charakterystyki generycznej” spożywanego przeze mnie popcornu. Od pana obiektywizmu trudno się spodziewać – jest pan tak samo zainteresowany wynikiem batalii, jak zarząd koncernów produkujących GMO.

W felietonie zarzuca pan dziennikarzom „Polityki”, że nie ujawnił faktu przeprowadzenia badań w ramach projektu AMIGA, który... się jeszcze nie zakończył. O ile pamiętam, w komentowanym artykule powołano się na wyniki badań prowadzonych przez rząd niemiecki, które trwały 20 lat. Celem badań było poszukiwanie odpowiedzi na pytanie: „Czy GMO jest szkodliwe?”. Przez 20 lat nie znaleziono żadnego dowodu na jego szkodliwość. Mimo wpajanej mi łopatologicznie w okresie PRŁszczerej niechęci do rządu Niemiec – jakkolwiek by był – wysoce cenię sobie fachowość niemieckich ekspertów. W rzeczonym artykule powołań na podobne badania było więcej – w tym na badania polskie.

Czy przeciwnicy GMO są na tyle głupi, aby wierzyć, że przelknę z łatwością serwowaną przez nich tezę: GMO zniszczy naszą planetę i nas samych. Jakoś nie chce mi się wierzyć, że setki naukowców spiskują potajemnie w sponsorowanych przez koncerny rodem z filmów o agencie 007 laboratoriach, a ich celem jest zagłada świata. Nie prościej byłoby roznieść po świecie śmiertelnego wirusa? Tak, wiem – w odpowiedzi usłyszę o pazernych koncernach i ich bezwzględności, ale na liłość boską, czy jest pan na tyle naiwny, aby sądzić, że

**Nie chce mi się wierzyć, że naukowcy spiskują w sponsorowanych przez koncerny laboratoriach, a ich celem jest zagłada świata.**

rzządzający nimi ludzie chcą wcisnąć na rynek ewidentnie szkodliwy produkt?

Celem naukowców było stworzenie lepszej kukurydzy, pomidora czy ziemniaka. Rozwój rolnictwa od zawsze towarzyszył ludzkości i GMO jest tego przejawem. Pomija pan również stanowisko rolników. Rozumiem niechęć żywności do autorów krytykowanego tekstu, ale jak pan skomentuje słowa rolnika, który mówi wprost: plon z pól obsianych GMO jest o niebo lepszy, tańszy i... zdrowszy (według przedstawicieli producenta pokarmu dla dzieci), bo nie ma ryzyka występowania w nim toksyn produkowanych przez atakujące je robale? A co z faktem, że w Polsce GMO dotyczy tylko kukurydzy produkowanej na paszę i ziemniaka produkowanego dla celów przemysłowych, którego nie jedzą ani ludzie, ani zwierzęta? Czy to prawda? Jeśli tak, to mam wielki żal do przecinków GMO za to, że rozsiewają herezje o pomidorach czy marchwi GMO.

Odnosząc się natomiast do pana argumentacji, uważam, że zarzucając brak rzetelności, sam dopuścił się pan tego grzechu, i to w stopniu znacznie wyższym. Pisze pan o wzroście zużycia pestycydów (w komentowanym artykule postawiono odwrotną tezę) i uodpornienie się chwastów (Na co? Na GMO czy pestycydy?), nie rozwijając tematu i używając argumentacji sprowadzającej się do formuły „Jest inaczej, niż oni mówią”. Jeśli tak, to poproszę o wiarygodne dane z wiarygodnych badań przeprowadzonych przez wiarygodnych ekspertów. Do dziś żaden przeciwnik GMO (a znam ich kilku) nie był w stanie choćby ogólnikowo przytoczyć jakichkolwiek wyników badań, a te, do których dotarłem, mówią o możliwości wpływu GMO na to lub tamto. Teorie są fajne, bo każdy może mieć własną. Moja jest taka: czytanie nierzetelnych artykułów może powodować wykształcenie się trzeciego płuca. Na dziś jednoznacznych wyników badań brak, ale po co ryzykować?

Tekst jest polemiką z felietonem Macieja Muskata zatytułowanym „Bumerang pochwał dla GMO”.

**Niecierpliwie oczekujący na wyniki projektu AMIGA** (niemający jednocześnie pojęcia, o co w nim chodzi) – Szymon Ziolo



BARBARA ZABOROWSKA-CZAJKA

# Kremy ze skreślonym królikiem

Już wkrótce będziemy mogli kupować ulubione kosmetyki bez obaw, że były uprzednio testowane na zwierzętach.

**N**a stronie internetowej BUAV, najstarszej w Anglii organizacji, która sprzeciwia się eksperymentom na zwierzętach, tyka zegar. W sekundach i minutach odmierza czas do 11 marca. Tego dnia na terenie Unii Europejskiej wchodzi w życie dyrektywa zakazująca handlu kosmetykami testowanymi na zwierzętach. Od 2004 r. obowiązuje prawo zabraniające takich testów, ale producenci obchodzili dotąd ten zakaz i testowali na zwierzętach poszczególne substancje, a nie gotowy produkt. Nowe rozporządzenie takie działania uniemożliwia, ponieważ nie

będzie wolno handlować także substancjami testowanymi na zwierzętach.

Regulacja dotyczy wprawdzie tylko Unii, ale nie jest wykluczone, że wpłynie też na inne kraje. Na przykład w Stanach Zjednoczonych testy na zwierzętach są dopuszczalne, co oznacza, że jeżeli firma będzie chciała działać na rynku europejskim i amerykańskim naraz, może chcieć korzystać z metod alternatywnych. Nie będzie się jej przeciw opłacać przeprowadzanie dwóch niezależnych badań.

Alternatywą dla testów na zwierzętach są badania komórkowe, polegające na tworzeniu modeli komórkowych, które odwzorowują budowę i funkcjonowanie ludzkiej skóry czy tkanki nabłonkowej. Jest to metoda dobrze znana i powszechnie wykorzystywana w badaniach biologicznych. – Takie testy

na kulturach komórkowych są zawsze wykonywane w pierwszej kolejności – wyjaśnia Kamil Kowalski, doktorant Wydziału Biologii UW. Jak przyznaje: – Dopiero później do badań używa się zwierząt. Nikt przecież nie jest sadystą i nie chce celowo zadawać cierpienia. Jednak czasami, jak w przypadku leków, stosuje się dodatkowe środki ostrożności i trzeba zrobić testy na żywych organizmach.

By jednak uzyskać hodowlę kultur komórkowych, trzeba pobrać komórki z żywego organizmu (np. myszy), a żeby je z kolei pobrać, trzeba mysz zabić. Może się wydawać, że raz pobrany materiał komórkowy da się w nieskończoność pomnażać, ale tak nie jest – zwykle komórki mogą pomnożyć się ograniczoną liczbę razy. Tylko komórki zarodkowe mogą się dzielić i namnażać nieograniczoną liczbę razy, ale to już dla wielu osób metoda etycznie wątpliwa. Dlatego obrońcy zwierząt są realistami.

– Musimy stawiać sobie realne cele – deklaruje Cezary Wyszyński z fundacji Viva! – Nie możemy zakazać wszystkich testów laboratoryjnych z użyciem zwierząt, ale i tak możemy dużo zdziałać. Zabiegamy o to, żeby wyniki badań były jawne. Firmy zastaniają się często tajemnicą handlową i te same substancje testowane są setki razy. Ujawnienie tych informacji oszczędziłoby cierpienia wielu zwierzętom – twierdzi Wyszyński.

Kampanie przeciwko testowaniu kosmetyków na zwierzętach zaczęły się w Europie już pod koniec lat 90. W 1996 r. petycję podpisały ponad 4 mln konsumentów. Dlatego wiele firm rozumie, że umieszczenie logo z przekreślonym królikiem to dobra reklama i jest z punktu widzenia działań marketingowych wskazane. De facto większość działających w Europie firm od dawna rezygnuje z testów na zwierzętach albo przynajmniej tak deklaruje. Po 11 marca zmienią się więc przede wszystkim ceny kosmetyków. Klienci będą płacić za ulubione kremy znacznie mniej – badania komórkowe są bowiem o wiele tańsze niż te z użyciem zwierząt. No i będą kupować bez wyrzutów sumienia.



GRZEGORZ SIEMIOŃCZYK

# Praca à la Française

Wysokie zarobki, mało roboty. Witamy w słodkiej Francji.

**E**uropejskie niebo: Brytyjczycy są policjantami, Niemcy mechanikami, Francuzi kucharzami, Włosi kochankami, a wszystko jest zorganizowane przez Szwajcarów.

Europejskie piekło: Brytyjczycy są kucharzami, Niemcy policjantami, Francuzi mechanikami, Szwajcarzy kochankami, a wszystko jest zorganizowane przez Włochów.

Z tego żartu śmieją się podobno nawet nad Sekwaną. Ale tylko jeśli opowiadają go sobie nawzajem. W ustach Amerykanina taki stereotyp byłby dla Francuza afrontem.

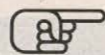
Przekonał się o tym Maurice Taylor, prezes firmy Titan International produkującej koła i ogumienie dla maszyn rolniczych i aut terenowych. Francuski rząd próbował go przekonać do kupna podupadłej fabryki Goodyeara w Amiens. Ale po przeprowadzeniu rozmów ze związkami zawodowymi Taylor zrezygnował. Nagabywany przez francuski rząd oponiarski magnat w liście do ministra ds. odrodzenia przemysłu Arnauda Montebourga napisał: „Macie nas za głupców?”

W tajemniczych okolicznościach list wyciekł do mediów, które nie zostały na amerykańskim „ignorancie”, „złośliwcu” i „podżegacz” suchej nitki.

Taylor jest jednak jedyną osobą, która może ocalić zatrudniający 1500 osób zakład w Amiens. Innych zainteresowanych jego przejęciem nie ma. Ale odwiedziny fabryki nie wprawiły go w zachwyt. „Francuscy pracownicy otrzymują wysokie wynagrodzenia, ale pracują tylko trzy godziny dziennie. Resztę dnia spędzają na kawie, lunchu i rozmowach” – napisał prezes Titana w liście do francuskiego rządu. Jego wrażeniom trudno się dziwić. Zakład Goodyeara w Amiens jest bastionem skrajnie lewicowej centrali związkowej CGT.

Z relacji Taylora wynika, że gdy próbował przekonać związkowców do zwiększenia wydajności pracy, usłyszał, że musi szanować zwyczaje Francuzów. „Rzeczywiście, w zwyczaju Francuzów jest siedzenie w kawiarniach, a gdy ten zakład zostanie zamknięty, będą to mogli robić do woli” – ironizował w rozmowie z „Wall Street Journal” prezes Titana.

Część francuskich komentatorów z goryczą przyznała, że wrażenia Taylora pokrywają się z opiniami wielu inwestorów robiących interesy nad Sekwaną, ale większość Francuzów oskarżenia amerykańskiego przedsiębiorcy o niską wydajność pracy zbulwersowała. I to nie bez powodu. Z danych OECD wynika, że pod tym względem wyprzedzają zarówno Brytyjczyków, jak i Niemców. Ale w dużej mierze wynika to z automatyzacji pracy. A ta... z niechęci firm do zatrudniania pracowników. Trudno o lepszy przykład niż automatyzacja paryskiego metra. W 2011 r. na jego najstarszej linii zaczęły kursować składy bez kierowcy. Oficjalnie dlatego, że tak jest bezpieczniej. W końcu maszyny nie popełniają błędów. Przede wszystkim jednak nie strajkują. A pracownikom paryskiego metra zdarzało się przerywać pracę na trzy tygodnie.



JERZY ZIEMACKI

# Nasze szkapy

Co roku **60 tys. koni idzie w Polsce na rzeź**. Naszą koninę cenią sobie szczególnie Włosi i Francuzi. Dla Europejczyków z Północy, przede wszystkim Brytyjczyków, ale także dla wielu Polaków, jedzenie końskiego mięsa to jednak tabu.

**N**ajwiększy targ koni w Europie odbywa się w miasteczku Skaryszew niedaleko Radomia. Tradycje końskich jarmarków w Skaryszewie sięgają średniowiecza. Targ odbywa się w każdy poniedziałek po Środzie Popielcowej. W tym roku przypadł 18 lutego. Przyciągnął dziesiątki handlarzy, setki kupców i tysiące gapiów. I pewnie nikt tam nawet nie słyszał o gigantycznym skandalu, który wybuchł niedawno w Wielkiej Brytanii i do dziś rozlał się już po całej Europie. W mięsie, które według etykiety miało być wołowiną, znaleziono koninę. Okazało się, że do oszustwa dochodziło prawie we wszystkich zachodnioeuropejskich krajach. Największe firmy spożywcze wycofują w pośpiechu ze sklepów podejrzaną lasagne i hamburgery. Bo choć na Starym Kontynencie spożywa się rocznie 80 tys. ton koniny, to wielu z nas nie wzięłoby jej do ust.

## Koń zamiast wołu

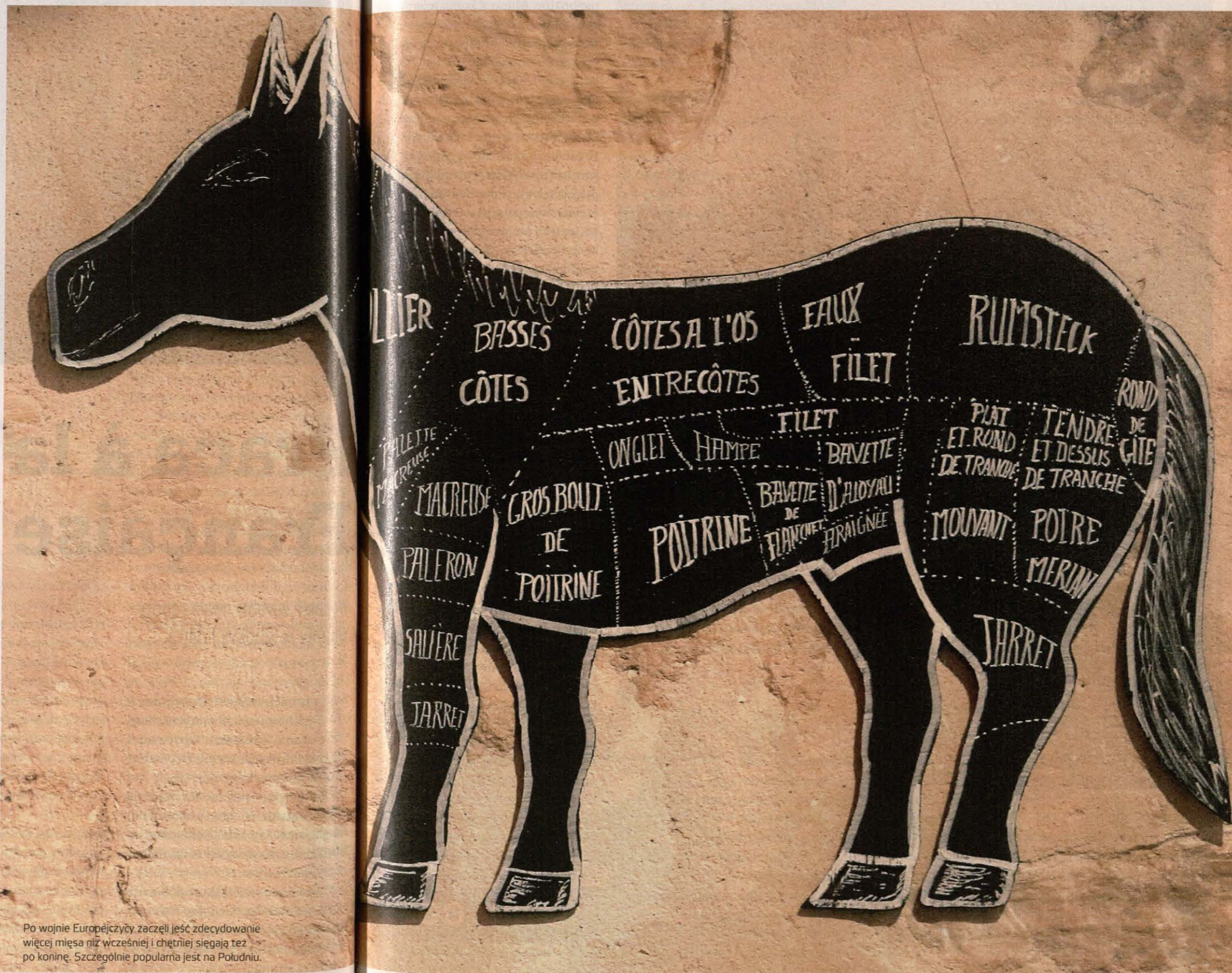
W styczniu w Irlandii wybuchła afera mięsna. W popularnych burgerach, sprzedawanych jako wołowe, odkryte zostaje końskie DNA. Okazuje się, że w kilkunastu procentach hamburgere-

rów znajduje się konina. W śladowych ilościach (3–4 proc. na kilogram mięsa), ale jednak. Skąd konina w wołowinie? Kto oszukał konsumentów?

Amatorzy mięsnych mrozonek w Irlandii tracą apetyt, gdy dowiadują się, że jedli konie. Mdli ich na samą myśl. Minister rolnictwa Simon Coreney wyciąga surowe konsekwencje wobec zakładów, które dopuściły się oszustwa. Każde odkazić zakłady, a całe mięso poddać utylizacji.

Inspekcje w Anglii pokazują, że nielegalna konina w hamburgerach to szerszy problem. Dotyczy tysięcy kilogramów mięsa serwowanego w barach, restauracjach, na stadionach, ale także w szpitalach i więzieniach, w szkolnych stołówkach i oczywiście w sklepach, również tych największych: Tesco, Aldi, Lidl. Na Wyspach Brytyjskich wybuchła mięsna histeria. Do połowy lutego panika opanowuje Europę: Francję, Niemcy, Holandię, Skandynawię. We wszystkich tych krajach w wołowinie odkrywana jest konina. Europejczycy są oburzeni.

Francuska policja ujawnia długi i skomplikowany łańcuch holenderskich i cypryjskich pośredników, którzy



Po wojnie Europejczycy zaczęli jeść zdecydowanie więcej mięsa niż wcześniej i chętniej sięgają też po koninę. Szczególnie popularna jest na Południu.

CHRISTIAN HARTMANN/REUTERS/FORUM



Istnieje jednak wytłumaczenie nieracjonalne. Mięso z konia to europejskie tabu. Koń budzi zbyt pozytywne emocje u ludzi i jest zbyt oddany człowiekowi, aby można było go zabijać i jeść. Ten szczególny szacunek dla koni, porównywany z sympatią dla psów i kotów, dotyczy szczególnie krajów Północy: Anglii, Irlandii, Szkocji, Holandii, Danii, Szwecji, Norwegii, Finlandii i Polski, gdzie koń od zawsze był przyjacielem człowieka, pomagał mu w codziennej pracy i na wojnie. Mieszkańcy tych krajów z reguły nie zabijali koni. Cenili je za pomaganie na roli i za wspólną wojaczkę. Nieco mniej sympatii dla koni (i większą sympatią dla koniny) żywili mieszkańcy europejskiego Południa: Hiszpanie, Grecy, Portugalczycy i Włosi (z południa Półwyspu), którzy tradycyjnie jeżdżą koniną. Konina jest w basenie Morza Śródziemnego traktowana jako pożywienie dające magiczną moc i siłę.

Do dziś różnice między Południem a Północą są widoczne np. we Francji, gdzie na południu konina jest cenionym przysmakiem, a na północy kraju traktowana jest jako tabu. Do czasów rewolucji francuskiej konie uznawano za symbol prestiżu. Nikt z arystokratów nie śmiał jeść koni, a stanów niższych nie było na to stać. Dopiero w czasie rewolucji wiele koni skończyło w brzuchach głodnej biedoty. Ale dopiero w 1866 r. zalegalizowano we Francji spożywanie koniny. Wtedy powstały pierwsze rzeźnie i sklepy. Ceny spadły. Francuskie podniebienia polubiły koninę. Na początku XX w. zapanowała nawet moda na końskie mięso. Zaczęto ubijać setki tysięcy tych szanowanych zwierząt. Moda na koninę powróciła do Paryża w 2013 r. Wiele wykwintnych restauracji paryskich zaczęło reklamować się serwowaniem koniny. Właściciele takich miejsc nie kryją, że ich klienci lubią walczyć ze stereotypami. Dlatego jeżdżą koniną.

#### Pogańskie rytuały

Tabu związane z koniną ma w Europie podłoże religijne. W 732 r. papież Grzegorz

III zakazał rytualnych mordów koni i nazwał je odrażającymi. Chrześcijańscy misjonarze w Niemczech czy Skandynawii zabraniali nawróconym mieszkańcom zabijania koni. Odbieranie życia tym zwierzętom było uznawane za pogański obrządek związany z siłami nieczystymi. Warto zaznaczyć, że w Starym Testamencie, w religii żydowskiej, mięso z konia traktowane było jako niekoszerno ze względu na kopyta konia (ssak nieparzystokopytny). Te głęboko zakorzenione obrazy teologiczne (judaizmu i chrześcijaństwa) mogą mieć znaczenie dla Europejczyków, spadkobierców kultury judeochrześcijańskiej.

Do tego dochodzą obrazy popkultury, w której koń zawsze był zwierzęciem niezwykle mądrym, pięknym, przyjacielskim i „ludzkiem”. I codzienne doświadczenie, które podpowiada nam, że konie to zwierzęta nad wyraz inteligentne i czujące.

– W północnej Europie koń zawsze traktowany był jak zwierzę domowe. Nie jak zwierzę hodowlane. Bardziej jak pies niż jak krowa czy świnia – tłumaczy Jacek Bożek, założyciel klubu Gaja. – Koń był w służbie człowieka, ale również w przyjaźni z człowiekiem. Wszystko skończyło się po II wojnie światowej, gdy w Europie rozpoczęła się masowa produkcja mięsa, otwarto przemysłowe rzeźnie, miliony świń, krów i drobiu zaczęto hodować na mięso. Koni nie włączono do zwie-

rząt rzeźnych. Nigdy nie były zabijane przemysłowo. Ale Europejczycy, którzy zaczęli jeść zdecydowanie więcej mięsa niż przed wojną, zaczęli chętniej sięgać również po koninę – dodaje Bożek.

#### Skaryszew 2013

Rzadko można oglądać tysiąc koni czekających na rzeź w jednym miejscu. Widok, zwłaszcza dla osoby wrażliwej na cierpienie zwierząt, nie jest zbyt przyjemny. Konie są przywiązane do drzew, zwykle są w szoku, boją się, bywają agresywne. Rzę bardzo głośno, podenerwowane. Większość koni ze Skaryszewa trafia do rzeźni. W Polsce lub we Włoszech. Zabijane konie mają łzy w oczach.

**W północnej Europie koń zawsze traktowany był jak zwierzę domowe. Nie jak zwierzę hodowlane. Bardziej jak pies niż jak krowa czy świnia. Koń był w służbie człowieka, ale również w przyjaźni z nim.**

W tym roku w Skaryszewie w sprzedaży było mniej koni, niż zapowiadali organizatorzy. Według organizatorów do handlu miało być wystawionych 1000 koni, tak jak w zeszłym roku. Mówiono nawet, że może ich być więcej niż

zwykle, jeśli pogoda dopisze. Ale było 300–400 sztuk. A pogoda nie była zła. – Hodowcy nie chcieli sprzedawać koni na rzeź przy udziale gapiów, mediów i miłośników zwierząt. Dlatego do Skaryszewa przyjechało dwa razy mniej sprzedawców niż w zeszłym roku. Nasze protesty przyniosły efekt – tłumaczy Cezary Wyszyński, prezes fundacji Viva Akcja dla Zwierząt.

W 2012 r. odbyła się w Skaryszewie spektakularna manifestacja przeciwko wywozowi koni na rzeź. Od 26 do 28 lutego ponad 100 osób z całej Polski dokumentowało w dzień i w nocy to, co się dzieje na terenie największych europejskich targów. Handlarze koni byli oburzeni działaniami wścibskich ekologów. Dochodziło do przepychanek i ostrej wymiany zdań. W nagraniach wideo i na zdjęciach udało się pokazać kulisy końskiego jarmarku: przedmiotowe traktowanie koni, zrzucanie zwierząt z samochodów, upychanie ich na lawety, bicie i klucie ostrymi narzędziami. Obrazy przedostały się do Internetu i innych mediów. Poruszyły opinię publiczną.

Ale Skaryszew to tylko wierzchołek góry lodowej. Targów koni, legalnych i nielegalnych, na których odbywają się okrutne sceny, jest w Polsce kilkadziesiąt.

#### Koń jak cierpi, każdy widzi

Wyszyński i jego współpracownicy jeżdżą po targach i spisują raporty. Koni nie mają wody, są faszcerowane

dzięki układom z włoską mafią pośredniczą w handlu koniną.

#### Kulturowe tabu

Dlaczego Europejczycy tak emocjonalnie i bezkompromisowo zareagowali na małe dawki koniny w swoim menu? Ustalono przecież, że konina w hamburgerach wołowych była zdrowa. Nie zagrażała zdrowiu żadnemu z konsumentów. Dietetycy podkreślają, że konina wcale nie jest gorsza od wołowiny czy wieprzowiny. Jest

nawet lepsza: ma więcej żelaza, cynku i witaminy B12, niższą zawartość tłuszczu, ale za to większą zawartość białka. A oprócz tego, że jest zdrowa, jest również smaczna. Mięso konia jest nieco słodsze od mięsa krowy. Przypomina baraninę. Świetnie sprawdza się przy marynowaniu (czerwone mięso zmienia kolor na fiolet), robieniu kiełbas, przygotowywaniu tataru lub carpaccio. Nie da się racjonalnie uzasadnić awersji do koniny – przekonują naukowcy.

Szczególny szacunek dla koni dotyczy krajów Północy: Anglii, Irlandii, Szkocji, Holandii, Danii, Szwecji, Norwegii, Finlandii i Polski, gdzie koń od zawsze był przyjacielem człowieka, pomagał mu w codziennej pracy i na wojnie.

REKLAMA

KRS: 0000097123

1%

... bo jutro

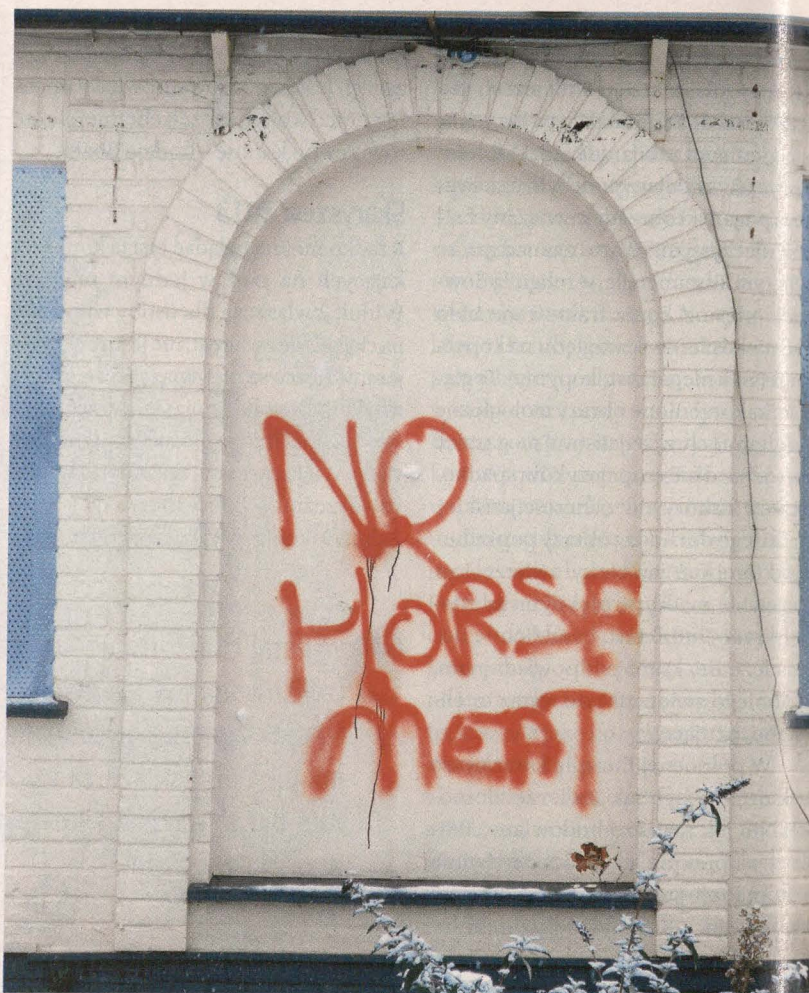
Fundacja Warszawskie Hospicjum dla Dzieci

mnie nie będzie

lekami na uspokojenie, poddaje się je fizycznym i psychicznym męczarniom. Ich właściciele piją alkohol, są agresywni. Weterynarze zwykle dbają o interes miejscowych ludzi, a nie o interes koni. – Jeździmy po Polsce. Widzimy, jak to wygląda. Bywa, że puszcza mi nerwy. Z reguły nie kupujemy koni od handlarzy, żeby nie nakręcać im biznesu. Ale czasem serce się kraje – mówi Wyszyński. W tym roku w Skaryszewie jego fundacja kupiła 20-letnią klacz, która była w bardzo złym stanie, upadała i nie mogła się podnieść. Właściciel był na nią wściekły. Chciał ją wysłać na rzeź, ale była za słaba.

Według obrońców praw zwierząt średniowieczny jarmark zarządzany w Wielkim Poście w Skaryszewie zamienił się w nowoczesny punkt obrotu żywym towarem, gdzie polskie i włoskie firmy specjalizujące się w transporcie koni do europejskich rzeźni dobijają targu z rolnikami, którzy przywieźli konie na przyczepie (amatorsko), lub dogadują większy biznes z pośrednikami, którzy przywożą konie na lawetach. Wszystko odbywa się w atmosferze święta. Burmistrz Skaryszewa wita gości, życzy udanych transakcji. Przerazone konie dostają kolki. A kilka dni później są przerabiane na koninę.

Reakcja brytyjskich konsumentów na wykrucie koniny w hamburgerach była zdecydowana. Anglicy nie chcą jeść końskiego mięsa.



zała ekipa filmowa zatrudniona przez fundację Brigitte Bardot, która w 2009 r. nakręciła film o transporcie koni z Polski do Włoch. Aktorka od lat nawołuje do zaniechania handlu koniną. – Jedzenie koni to rzecz skandaliczna – uważa Bardot.

– Koń nie jest takim samym zwierzęciem jak inne. To najszlachetniejsze ze stworzeń udomowionych przez człowieka.

### Krwawy biznes

– Gdy kilkanaście lat temu zaczęliśmy działalność na rzecz dobrostanu koni, Polska wysyłała do włoskich rzeźni ponad 30 tys. koni. Sądziłyśmy, że ta liczba będzie maleć. Ale ona wciąż rośnie. Dziś to już ponad 60 tys. – mówi Jacek Bożek, założyciel klubu Gaja,

wybitny działacz na rzecz ochrony środowiska, odznaczony Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski. Jego klub ma obecnie 52 uratowane konie. Klub Viva, gdzie działa Wyszyński, ratuje rocznie około 40 koni. Wszystko to kropla w morzu potrzeb.

Skąd pochodzą konie, które idą na rzeź? Zwykle z pola, na którym stały u gospodarza, ale również ze szkółek jeździectwa, gdzie służyły do uprawiania sportu, z ośrodków agroturystycznych, gdzie używano ich do rekreacji, z instytutów rehabilitacji, gdzie były traktowane jako narzędzie hipoterapii. Do rzeźni sprzedawane są również sympatyczne konie z dorożek, z którymi turyści robią sobie zdjęcia na rynku miejskim w Krakowie, na Starym Mieście w Warszawie, w Zakopanem



i nad Morskim Okiem (tam ciągną sarnie). Wszystkie konie, które pracowały kilka sezonów, są kontuzjowane lub straciły młodzieńczy wigor – wysła się na śmierć. Naturalnie koń żyje do 30 lat. Ale mało kto chce wydawać pieniądze na utrzymywanie konia-emeryta.

W ostatnich latach widoczna jest w Polsce jeszcze jedna tendencja: hodowanie konia specjalnie na rzeź. Atrakcyjna cena skupu końskiego żywca: 3–4 tys. złotych (liczone od kilograma), zachęciła wielu polskich rolników do hodowli konia w celach rzeźnych, jak bydlę. Zwykle nie na dużą skalę. Ot tak, kilka koni jako dobra inwestycja. Zagroda polskiego rolnika, który ma głowę do interesów, wygląda tak: obok kilkudziesięciu krów pasą się trzy koniki:

jeden na studia dla córki, drugi na spłatę kredytu, a trzeci na telewizor plazmowy. Każdy, kto chce sprzedać konia, ma wiele możliwości. Istnieją specjalne pisma i strony internetowe, a nawet agencje, które zajmują się obrotem końmi. Każdy właściciel konia ma numer do rzeźnika. To biznes, na którym można dobrze zarobić.

### Konina spod ludy

– Koniny nie ma w menu, ale serwujemy ją w środy i czwartki. To są pyszne hamburgery: w 100 proc. końskie mięso. Nasz kucharz świetnie przyrządza koninę. Mięso sprowadzamy z Zimnej Wody na Mazurach. Mamy stałych klientów, którzy przychodzą wyłącznie wtedy, gdy serwujemy ich przysmak – opowiada pracowniczka pewnego

W 2013 r. moda na koninę powróciła a to do Paryża. Wiele wykwintnych restauracji paryskich zaczęło reklamować się serwowaniem końskiego mięsa.

warszawskiego baru. Ale nie wie, że rozmawia z dziennikarzem.

Kilka miesięcy temu bar wprowadził do sprzedaży dania z konia. Reakcja mieszkańców Warszawy była bezkompromisowa: wybuchły protesty, posypały się skargi, ktoś wyrzucił przed lokalem końskie łajno. Sytuacja stawała się nieprzyjemna dla właścicieli lokalu i ich gości. Dlatego teraz postawiono na dyskrekcję: koninę można dostać, ale spod ludy, tylko w określone dni, po uprzedniej konsultacji telefonicznej. – Nie rozumiem tej nagonki na koninę. To jest bardzo dobre mięso. Bardzo smaczne – zapewnia mnie kelnerka w przybytku szczerości. Hamburger z konia kosztuje w tym modnym miejscu 35, a kabanosy w większości sklepów nie więcej niż 10 zł. ☞



MONIKA BRZYWCZY, ZDJĘCIA KOBAS LAKSA

# Jesteśmy rodzicami kosmity

Przybysz z planety T21, Kosmitek Jo!, nasz mały nauczyciel – tak o swoim synu, który przyszedł na świat z zespołem Downa, opowiadają Ola i Kobas Laksa. Dziennikarka i artysta, dojrzały, wykształceni, dobrze sytuowani. Mieszkają w Warszawie, pracują w kulturze i mediach. On ma 42 lata, ona 35. Rok temu urodził się ich syn Jonatan. Już po porodzie okazało się, że ma trisomię 21 – zespół Downa.

**N**ie zrobili badań prenatalnych? Co się stało? To pytanie stawiali sobie wszyscy, którzy ich znają. Z tym pytaniem zostali sami, w końcu Ola napisała list do „Wysokich Obcasów”. O prywatnej klinice, w której lekarz prowadził jej ciążę, o zapewnieniach po wykonaniu USG w trzecim miesiącu ciąży, że nie ma potrzeby robienia dodatkowych badań. Upubliczniła swoje doświadczenia po to, by ostrzec innych przyszłych rodziców przed ślepą ufnością w wyroki polskiej służby zdrowia. „Wzorowa morfologia, wzorowy przyrost wagi, wzorowe USG w 12. tygodniu, w 22. też świetne, w 32... Może kość udowa troszkę za krótka, ale to dlatego, że pani też ma krótkie nogi, he, he”. Dziś po roku spotkaliśmy się, by porozmawiać o tym, jak wygląda życie z Jonatanem. Publikujemy ich wypowiedzi oraz wpisy, które Kobas Laksa umieszczał na Facebooku. Zafascynował nas niezwykle sposób, w jaki od pierwszych chwil jego życia opowiadają o swoim synu.

## Czarna rozpacz

– Pierwsze momenty były tragiczne. Lekarze smutno kiwali głowami. Zdawkowa ulotka, którą położyła w ręce mi w szpitalu, przepowiadała autorytatywnie, że najpierw będziemy załamani, potem zbuntowani, a na koniec zobojętniejemy – opowiada Ola. A Kobas dodaje: – Pierwszych tygodni praktycznie nie pamiętamy, czarna rozpacz. Kiedy mały spał, leżeliśmy każde w swoim kącie i płakaliśmy. Mama i siostra Oli przyszły, żeby posprzątać, pomóc nam ogarnąć dom. Kiedy mały kosmita się budził, mówiłem do Oli: – Popatrz na niego, na jego oczy, przecież on wszystko kuma. Jego oczy to jego mózg, widać, że on pracuje na full. Mówiłem to codziennie, dla podtrzymania ducha, chociaż w sercu czaił się lęk, że może to tylko złudzenie.

## Na własną rękę

Na początku nie wiedzieli nic. Całą wiedzę musieli zdobyć sami. Przede wszystkim przez Internet, z zagranic-

cy. Bo w Polsce wiedza lekarzy o trisomii 21 jest żadna. – Na przykład wizyta u pani neurolog, polecanej specjalistki od dzieci z trisomią. Wchodzimy, a ona brutalnie chwyta Jonatana, odwraca do góry nogami, potrząsa i stwierdza: – No tak, to jest zespół Downa, proszę sprawdzić, jakie tu są terapie dla was, będzie ciężko, do widzenia. Czekali miesiąc, żeby usłyszeć, że jest źle, będzie jeszcze gorzej, i to bez owijania w bawełnę. Ale to dało im kopa, zrozumieli, że muszą działać na własną rękę. I że nie chcą mieć do czynienia z lekarzami myślącymi standardowo lub niewiedzącymi kompletnie nic na temat ZD. A przecież to nie jest marginalne zjawisko. W Polsce z zespołem Downa rodzi się jedno dziecko na 650. Szacuje się, że w tej chwili żyje ok. 60 tys. osób z trisomią. – Czasem to lekarze pytają nas o różne sprawy, interesują się nowościami, ale to rzadkość – komentuje Ola.

## Oszukać mózg

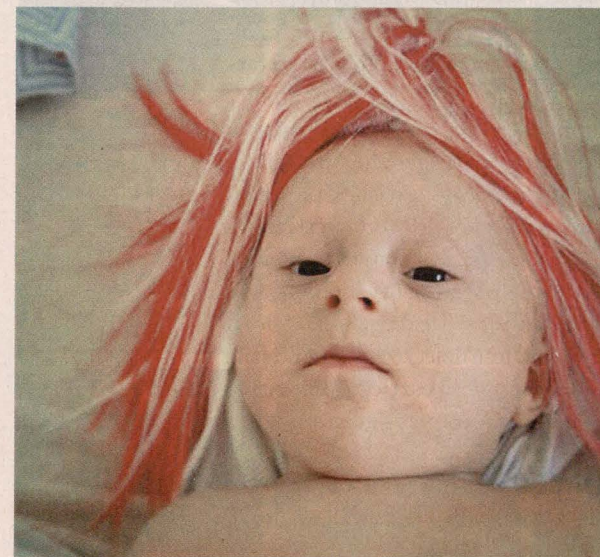
Dziś Jonatan jest jasnowłosym rocznym chłopcem, który z ciekawością obserwuje świat. Sam siedzi. Gaworzy, usmiecha się. – Jak większość dzieci z zespołem Downa ma takie charakterystyczne zawieszki. Nagle zastyga w jakiejś pozie, jakby koncentrował się na niewidzialnej czynności, np. gdy siedzi, odpływa – opowiada Kobas. I gdyby go nie pobudzać, nie trykać i nie dotykać, potrafiłyby tak długo. Ale to też się zmienia! Tak jakby świat coraz bardziej go wciągał. Czytamy zapiski ludzi, których dzieci urodziły się 20–30 lat temu – brak wiedzy na temat sposobu funkcjonowania ich metabolizmu i ich zachowania prowadził do problemów rozwojowych. Rodzice zostawieni sami sobie nie mieli takich możliwości, jakie mamy teraz – Internet, zachodnia literatura, łatwiejsza dostępność leków i zabiegów medycznych. Wydawało się, że trzeba zaakceptować spowolniony rozwój, leniwą naturę dzieci z ZD. Szukali informacji i docierali do zaskakujących odkryć innych rodziców z całego świata. Te dzieciaki mogą się świetnie rozwijać pod każdym względem, je-

śli tylko zostaną otoczone szczególną opieką, pomocą i miłością. – Zrozumieliśmy, że naszą rolą jest nie tylko kochać go – to przyszło najłatwiej, ale też pobudzać i skłaniać do aktywności. Kilka razy dziennie masujemy jego buzię – opierając się na metodzie Castillo-Moralesa. Dzięki temu mięśnie jego twarzy zaczynają pracować, a Jonatan lepiej utrzymuje język w buzi. Dzieci z trisomią mają bowiem obniżone napięcie mięśniowe.

Brak ruchu poważnie osłabia możliwości rozwoju intelektualnego dzieci z ZD, dlatego warto stosować odpowiednie metody rehabilitacji i pobudzać ich mózg do aktywności. – On daje się oszukać i tworzy odpowiednie połączenia między neuronami – wzmacnia układ nerwowy i przewodzenie impulsów, co jest podstawą prawidłowego funkcjonowania niemal całego organizmu – twierdzi Kobas. – My stosujemy z powodzeniem metodę NDT-Bobath, która sama w sobie jest niezwykle odkryciem. Powstała dzięki obserwacji aktywności ruchowej dzieci.

## Rygor codziennej pielęgnacji

Dla Oli i Kobasa dużym autorytetem jest Jarek Pieniak, założyciel portalu informacyjnego zespolodowna.info, ojciec sześciolatniego chłopca z ZD. Cytują jego słowa: „Cudów nie ma”. Żeby osiągnąć postępy, musimy ciągle być ak-



**Zespół Downa to bardzo ekskluzywna mutacja, wymaga poświęcenia mnóstwa czasu i zaangażowania.**

tywni: rehabilitacja, kontrole medyczne, suplementy, zioła – stosujemy jako nasze odkrycie pierzge, pyłek pszczeli – utrzymujący metabolizm komórek w równowadze. Codziennie rano przed posiłkiem podają też euthyrox, hormon tarczycy, którego organizm Jonatana nie produkuje w dostatecznej ilości, a jego zbyt niski poziom może doprowadzić do upośledzenia umysłowego. Łatwo o czymś zapomnieć, coś odpuścić, zaniedbać, a konsekwencje mogą być poważne. – Rygor codziennej pielęgnacji, poświęcenie i miłość dają fenomenalne wyniki – twierdzi Kobas. – Ale wyobrażam sobie rodziny, które nie mają czasu, możliwości, energii albo informacji, jak trzeba się takim dzieckiem zajmować. Zespół Downa to bardzo ekskluzywna mutacja, wymaga poświęcenia mnóstwa czasu i zaangażowania. Najlepiej, jeśli rodzice mogą być przy dziecku non stop na zmianę z rehabilitantami, zwłaszcza w pierwszym okresie życia. I mają odpowiednie fundusze na taki luksus, bo państwo nie jest w stanie pomóc i w praktyce zostawia takich rodziców jak my na łaskę losu. Nie podobają nam się to, ale daje też siłę do szukania alternatywnych rozwiązań. Przy czym nie można też zapomnieć o sobie, o własnych planach. Nie można doprowadzić do wyjąłowania życia z marzeń – wiemy to dzięki doświadczeniom innych rodziców osób z ZD – to się pojawia jako podstawowe ostrzeżenie.

## Tłuste włosy i inne stereotypy

– Kiedy urodził się Jonatan, wpadłam w panikę. To, co wiedziałam o rodzicach dzieci niepełnosprawnych, było przerażające. Koniec własnego życia, 24-godzinna opieka, brzydkie ciuchy, tłuste włosy, samotność, na twarzy wypisana rozpacz – wspomina Ola. – To wszystko stek bzdur i stereotypy, z dużym zaangażowaniem kulturowane przez



Z pochylnią, po której chłopiec może się wspinać, z lustrem, w którym może obserwować twarz. Oboje są mocno zaangażowani w jego rozwój, poświęcają mu maksimum czasu. Sprzyja im to, że mają wolne zawody i pracują w domu, wymieniając się obowiązkami. – Mieliliśmy taki moment paniki, jak to będzie, czy finansowo damy radę – wspomina Kobas. Jak dodaje: – Baliśmy się, że rehabilitacja, leki, wizyty u lekarzy będą bardzo kosztowne. A Ola dopowiada: – I rzeczywiście to kosztuje, ale też w jakiś magiczny sposób mamy teraz finansowo lepszy czas. Jedną z naszych przyjaciółek okazała się specjalistką NDT-Bobath i poświęca nam dużo więcej czasu, niż przewiduje pomoc państwowa. Podejrzewamy, że to sprawka kosmicznej energii Jonatana.

Ale szło nie tylko o obawy związane z finansami. – Żeby wytrzymać, musieliśmy stworzyć sobie narrację alternatywną, która pozwoliła nam się uwolnić od standardowego martyrologicznego myślenia i działania – wspomina Ola. – Dopiero kiedy zaczęliśmy opowiadać sobie o planecie T21, o małym kosmitku, który z niej do nas przybył, zaczęliśmy wracać do normalnego funkcjonowania. – To fascynujące, że komórki Jonatana są zmutowane, być może to nowy gatunek, poprawiony homo sapiens! – śmieje się Kobas. I po chwili wyjaśnia: – Zastanawia nas, dlaczego od tysięcy lat natura z uporem proponuje taką mutację genu. Dlaczego do 21. pary chromosomów dodany jest jeszcze jeden? Może to dane poprawiające ludzką naturę? Może to nie wada, tylko korekta genetyczna? Jonatan urodził się fizjologicznie zdrowy. Bez uszkodzeń narządów wewnętrznych.

W skali Apgar dostał 10 punktów. On nie jest chory, zespół Downa to nie choroba – podkreśla Kobas Laksa. To mutacja genetyczna, która może powodować choroby, wadliwe funkcjonowanie komórek, układu nerwowego. To wpływa na osobowość i podejście do świata. Zmienia perspektywę i odczuwanie czasu, ale poza tym to są osoby z talentami i sukcesami w wielu dziedzinach,

w tym zaskakująco wielu aktorów! Wyobrażam sobie znakomity stand-up w wykonaniu osób z ZD!

### Niepełnosprawny system

Według Oli niektórzy rodzice mają taką filozofię: „niech down pozostanie downem” i nie chcą – w ich przekonaniu na siłę – włączać dzieci w funkcjonowanie tej „normalnej” części społeczeństwa. Ale są też rodzice walczący z systemem niemocy, próbujący coś zmienić. – Nie mówimy: „To nieuleczalne”, tylko zmieniamy to, co da się zmienić, z czym da się pracować. Wierzymy, że nie tylko nasze dziecko, ale przede wszystkim system, który je wyklucza, jest niepełnosprawny – dodaje Ola. Czasem ciężko jej o tym pogadać z koleżankami, które mają jedno lub dwojkę normalnych – zwyczajnych dzieci. To trochę tak jak z macierzyństwem w ogóle. Nie da się opowiedzieć, jak to jest, komuś, kto nie ma dzieci. Ale oni nie szukają też na siłę kontaktów z rodzicami dzieci z ZD. – Poznaliśmy się i jeśli zadziała normalna międzyludzka chemia, to się przyjaźnimy, a jak nie, to wymieniamy doświadczenia – bo to zawsze się przydaje – opowiada Kobas. Ale tak naprawdę bardzo tęsknimy za standardem, za normalnością, chociaż wiemy też, że tej normalności nie ma. Nie mieliśmy wyboru, pokłękaliśmy czerwona pigułkę i biegniemy za białym królikiem – puentuje.

### Sztuce i telepatia

Ludzi z ZD się infantylizuje. Może tylko Teatr 21 jest próbą zobaczenia ich inaczej, w jakimś ludzkim świetle. Ale w porównaniu z tym, jak się ich traktuje w Stanach, w Niemczech, w Kanadzie, co oni tam osiągają... To były dla Oli i Kobasa wskazówki, drogowskazy, że można zrobić bardzo dużo. Słyszeli o chłopaku, który był kształcony metodą Glenn Domana, skończył informatykę i pracuje w zawodzie. Są nauczyciele asystujący z ZD, opiekunowie osób starszych z ZD, sprzedawcy z ZD, dyrygent, aktorzy, bibliotekarz. – Więc można! Da się! Sprawdźmy to! – cieszy się Ola. – Sugerowanie, że praca

**Dopiero kiedy zaczęliśmy opowiadać sobie o planecie T21, o małym kosmitku, który z niej do nas przybył, zaczęliśmy wracać do normalnego funkcjonowania.**

bardzo inteligentne stworzenia i potrafią zauważyć, jakie to wygodne, kiedy wszystko się za nich robi. Jakby mówiły: „OK, ja jestem głupim dzieckiem, róbcie ze mną, co chcecie, a ja nie będę robił nic”. Spójrz na Jonatana, który potrafił trzymać łyżeczkę przy jedzeniu już w ósmym miesiącu życia, sam pić z kubeczka w szóstym. Ale nagle mu się odechciało. Cofa rączki, jakby chciał powiedzieć: „Ja tego nie będę robił, zróbcie to za mnie”.

Te dzieciaki trzeba traktować z dużą uwagą i szacunkiem. Ich głowy są równie chłonne jak ich rówieśników. Dzieci zresztą najwięcej przyswajają do szóstego – siódmego roku życia. Są wtedy całkowicie otwarte na wszelkie informacje, uczą się bez większego wysiłku. – To najlepszy czas, aby zacząć czytać i liczyć – tak twierdzi Glenn Domman, którego metody stosujemy w rozwoju Jontka. To, czego dziecko szybko nauczy się w tym okresie, procentuje w całym przyszłym życiu. Zrobiliśmy sami komplety do nauki czytania i liczenia i stosujemy tę metodę od ósmego miesiąca. Nasz mały mistrz reaguje na tabliczki z wyrazami jak na odśloniętą do karmienia pierś.

### Nie wyrećcać!

Szkodliwe jest natomiast przejęcie kontroli nad życiem dzieci z ZD. To są



seriale, pisma dla pań i kampanie społeczne. Ale właśnie z taką wizją zdecydowałam się rok temu i za nic na świecie nie chciałam taka być. Żeby odzyskać siły, musiałam sobie powtarzać: to jest moje dziecko, ale to nie jestem ja. Ono się urodziło i ma wadę genetyczną, ale ja nie mam i będę dalej normalnie żyć. Inaczej bym się z tego nie wygrzebała – wspomina Ola. I zwraca uwagę na niewiarygodnie duże wsparcie i dobrą energię, które otrzymują od wszystkich znajomych, znajomych znajomych i nieznajomych.

Odkąd Jonatan przyszedł na świat, drzwi ich mieszkania się nie zamykały. Wszyscy chcieli go poznać. To pozwoliło im stanąć na nogi. Ale wiedzą, że nie każdy ma ten luksus, słyszeli sporo historii o znikających przyjaciółach, a nawet rodzinie!

### Paczka pieluch od państwa

Pojawienia się dziecka z trisomią w rodzinie nie da się przyjąć ot tak, po prostu. To wydarzenie przewracają-

ce do góry nogami dosłownie wszystko. – Nie jesteśmy już tymi samymi ludźmi – mówią Ola i Kobas – poszerzamy naszą wiedzę o funkcjonowaniu mózgu, budowie komórek nerwowych, współczesnych sposobach edukacji. Ważne, by nie odpuścić, zwłaszcza przez pierwsze lata. Nie wystarczy tylko rehabilitacja czy farmakologia. Potrzebna jest codzienna obserwacja, nieustanna czujność, uwaga i poszukiwania, by na bieżąco wiedzieć, co jeszcze da się zrobić. Takim dzieciom jak Jonatan państwo gwarantuje dwie godziny rehabilitacji tygodniowo plus zasiłek pielęgnacyjny w wysokości 150 zł miesięcznie. – To jest śmieszne, kompletnie nieadekwatne do potrzeb. To jałmużna, wystarczy na dwie paczki pieluch – złości się Kobas. Jeśli dziecko zostanie oddane do domu opieki, koszt jego utrzymania to ok. 4 tysiące złotych – gdzie tu logika?

### Narracje alternatywne

Ola z Kobasem zbudowali w domu specjalny plac zabaw dla Jonatana.

Metoda Castillo-Moralesa. Metoda ustno-twarzowej terapii regulacyjnej polega na stymulacji mięśni biorących udział w procesie mowy: mięśni oddechowych i klatki piersiowej, mięśni kontrolujących ustawianie głowy, mięśni twarzy i jamy ustnej. U noworodków, niemowląt nieprawidłowe napięcie tych mięśni prowadzi do trudności w domykaniu ust, uchwyceniu piersi, ssaniu, polykaniu, później w życiu. Te same partie mięśni biorą udział w produkcji dźwięków mowy.

## „Mongol” i „down”

Jeszcze dziewięć lat temu w Warszawie proponowano rodzicom dzieci z ZD zabieg podcinania języka. Żeby uniknąć tego wypadania, charakterystycznego dla „downów”. Takie dzieci powszechnie nazywano „mongołami”, także w medycynie. – To pech, że ta mutacja ma nazwę „zespół Downa” (od nazwiska brytyjskiego XIX-wiecznego lekarza Johna Langdona Downa, znanego z pracy wśród dzieci umysłowo chorych, który dał jej szczegółowy opis w publikacji „Observations on an Ethnic Classification of Idiots” w 1866 r. – przyp. red.) – mówi Ola. I precyzuje: – Ten „down” jest językowo zbyt poręczny. Łatwo go użyć jako wyzwiska, no i w samej nazwie jest ten „dół”, coś, co jest „nisko”. Gdyby to był na przykład „syndrom zwiększonej wrażliwości” albo „zespół Fontarellego”, mógłby budzić zupełnie inne skojarzenia.

## Chcę kawy, jestem pobudzony

– Ludzie z ZD są z natury pogodni, więc traktuje się ich jak wieczne dzieci – przypomina Ola. – Odmawia im się prawa do negatywnych emocji, seksu, miłości, do dojrzewania i dorosłości. To nieprawda. Ostatnie Nowe Horyzonty, konkurs filmów o sztuce, wygrał film o punkowej kapeli chłopaków z zespołem Downa z Finlandii. Są brudni i wkurwieni na system, który wtłacza ich w rolę infantylnych, naiwnych miśków. Śpiewają: „Chcę kawy, chcę kawy, a oni mi nie dają, bo jestem taki pobudzony”. Świetnie! Albo: „Zastanawiam się, po co na świecie są pedikiurzystki, nienawidzę chodzić na pedicure!”. Grają ostrą muzykę i są bardzo samodzielni. Mieszkają w ośrodku dla dorosłych z ZD. Mają w nim swoje mieszkania, są za nie odpowiedzialni. Mogą pracować, robić coś razem. Dostają kieszonkowe, mają opiekunów dbających, czy chodzą zabiegi medyczne i czy dbają o siebie. Marzymy o tym, żeby podobne mieszkania powstały w Polsce. Żeby samodzielność osób z ZD i jakość ich życia była możliwie najwyższa. ☺



# Kosmitek Jo!

Fragmenty zapisków, które Kobas Laksa publikuje na Facebooku od momentu urodzenia się synka.

**22.02.2012 r., godz. 21.31**

narodziny przez cięcie cesarskie w szpitalu im. świętej rodziny przy ul. mada-lińskiego w warszawie

**9 marca 2012 r.**

dwa tygodnie oczekiwania na wynik testów genetycznych. dziś potwierdzone przypuszczenia. kosmitek jonatan aleksander przybył z planety trisomia 21. szok, płacz i stres nieporównywalny z niczym wcześniej. wciąż nie wiemy, co myśleć i jak to będzie. jedno, co wiemy, że będzie kochany nie mniej niż inne maluchy. ps. jonatan zachowuje się, jakby miał wyniki testów w nosie, żadnych chorób i wad fizjologicznych :) niedługo pępkowe i szampan!

**21 marca 2012 r.**

przewidywany czas narodzin jonatana aleksandra został wyznaczony na dziś. nasz mały nauczyciel pojawił się miesiąc wcześniej, ale wytrąbił dwa solid-

ne mleczne toasty z tej okazji. dzięki za pępkowe prezenty, informacje w temacie t21 i wsparcie, jakiego się nie spodziewaliśmy: \*\*\*

**24 maja 2012 r.**

pierdolona służba zdrowia. ani w tym służby, ani zdrowia. pozdrawiam wszystkich lekarzy z powołania, których spotkać to jak los na loterii.

**1 lipca 2012 r.**

jo! prezentuje fryzurę przyszłości, spod której wyłania się powoli blond trawnik. sprawdzamy siatki centylo-we – włosy, ciężar ciała, koordynacja ruchowa – wszystko w normie i to z zapasem! full kontakt, w tym głosowe modulacje, od których robi się ciepło w brzuchu.

**30 lipca 2012 r.**

jonatan melodeklamuje od samego rana! tak już od kilku tygodni! zbitki głosek

z prychaniem, wzdychaniem i zaśmiechem sprawiają, że poranki są najpiękniejszą częścią dnia :) potem kolejno próby ogarnięcia się w higienie osobistej, śniadanie i rehabilitacja – 5,6 godzin dziennie. może wyglądać to jak zabawa, ale każde dotknięcie, przewrót, tarmoszenie ma za zadanie uruchomić jo! do samodzielnego poruszania. widząc, ile wysiłku wkłada w najprostsze czynności i ile sprawia mu to satysfakcji, podskakujemy z radości, kiedy sam decyduje się na aktywność. na planecie t21 musi być inny rodzaj grawitacji. jo! czasem tęsknie spogląda gdzieś w kierunku kosmosu. gdyby go tak zostawić, patrzyłby godzinę albo wieczność.

**27 sierpnia 2012 r.**

jo! rozwiewa wątpliwości. komunikacja optyczna i telepatyczna na wysokim poziomie. trzy tygodnie temu wątpliwości, czy w ogóle coś widzi, bo oczy w bok naszytwno albo w oczopląs, brak reakcji na przedmioty i twarze. ale już pełne spojrzenie, rozpoznawanie się w lustrze, uśmiech na widok pochylających się głów i wodzenie wzrokiem, ściąganie ze stołu przedmiotów – ogólna rozróżba. wciąż dużo roboty, ale to jak z każdym bobasem w tym wieku :) full kontakt i radość! jo!

**31 października 2012 r.**

w poprzednich odcinkach: 22.02.2012 o 21.31 na planecie ziemia pojawił się jonatan – kosmitek z planety t21. radość, a chwilę potem cios w epicentrum oczekiwań. niedouczeni lekarze współczująco machający głowami, wzruszające próby poklepywania po plecach dały nam kopa. jesteśmy rodzicami nieposłusznymi! nie zgadzamy się z ogólnie dostępną wiedzą, szukamy tam, gdzie zespół downa nie jest wyrokiem. oglądamy z zachwytem zdjęcia dzieciaków z trisomią, którym zaserwowano nie tylko opiekę medyczną na wysokim poziomie, ale też miłość w najpełniejszym tego słowa znaczeniu. historie nie tyle wzruszające, ile brutalnie piękne. to działa! jonatan sunie do przodu jak burza.

i jeszcze prośba. zamknij oczy na chwilę i wyślij, ile możesz, energii na adres: jonatan jo! kosmitek z t21. dzięki – to też działa!

dla tych, którzy energii potrzebują, zapraszamy do nas – jo! podłączony jest bezpośrednio pod kosmos. spełniają się życzenia szeptane w jego obecności ;)

**2 stycznia 2013 r.**

długa przerwa w działaniu kosmitka jo! leżakowanie, kaszel, duszności. podejrzenie o zapalenie płuc, oskrzeli. zdarza się. wizyta u lekarza, jednego, drugiego, trzeciego. dziesięciu lekarzy to inna diagnoza, inne leki, inne podejrzenia. recepty na ponad 200 złotych idą do kosza – większość „leków” to chemiczna awantura na sterydach. niektóre polecane przez koleśki na siłowniach. to może antybiotyk? hehe. dziękujemy. dla wszystkich zainteresowanych medycyną naturalną mamy przepisy na zioła, kurs stawiania baniek, polecamy opary czosnkowe na katar, dużo czułości, intuicji i mądrości.

co się okazało? anemia. nikt na to nie wpadł? nikt państwu nie powiedział, że wcześniakom szybciej wyczerpuje się żelazo? no nikt.

aleksandra więcka – zrobiła badania krwi po telepatycznej sugestii jontka o piątej nad ranem, kiedy przelewał się przez ręce i mało nie wypłuł płuc po próbie nafaszerowania go sterydem. jo! w świetnej formie! znów idzie jak burza. radość i duma! kto był u nas, ten wie!) zapraszamy!

**5 lutego 2013**

pasja, fascynacja odmiennością i rodzajnym się w mozole nowym człowieku – może nawet nowym gatunku człowieka. poznajemy (głównie przez sieć) podobne dzieciaki z całego świata, których talenty i uroda lśnią na tle schematycznego myślenia o niepełnosprawności. osoby z trisomią kończą studia, zostają aktorami, muzykami, rehabilitantami. w polsce jest tragicznie. uczymy lekarzy, co powinni mówić do rodziców takich jak my, nie pleść bzdur, nauczyć się z farmakologii, ziołolecznictwa, magii i kultury osobistej ;)



dlatego zapraszamy cię. przyjdź. poznaj jo! zbieramy doświadczenia i siły na założenie własnej fundacji wspierającej rozwój dzieciaków – nie tylko z zd. ostatni artykuł w „polityce” o niepełnosprawności w polsce odbiera złudzenia – jest źle, będzie jeszcze gorzej. projekt ustawy dotyczącej niepełnosprawnych, regulującej prawne i finansowe aspekty niepełnosprawności przepadł w ławinie pseudopatriotycznego głędzenia o pierdołach.

zbroimy się w metody, które dalekie są od konwencjonalnej medycyny i schematycznego standardu opieki nad dzieckiem. i mamy wyniki! wspaniałego dziecka. naprawdę wyjątkowego. to cenne tak bardzo, że aż chciałoby się mieć go tylko dla siebie. ale jo! nie pozwala zamknąć się w katakumbach. przyciąga do siebie ludzi jak lep. śni się i mówi w snach! to wiemy z porannych esemesów i telefonów. hehe. jonatan mem.

a my cieszymy się z najprostszych jego wyczynów, które innym dzieciakom przychodzi na „pyk”. cieszymy się, że sylabizuje, raczkuje, prostuje nogi do stania, że sam się pluska w wannie i wydziera na całe gardło. miliony godzin spędzonych z nim i niemal stuprocentowe zaangażowanie przynoszą wyniki. najważniejsze jest pierwszych sześć, siedem lat. potem cały potencjał, z jakim przychodzimy na świat, krystalizuje się, twardnieje, odłączamy się od kosmosu.

tęsknimy za normalnością i coraz dalej od tej normalności jesteśmy. nic takiego nie istnieje. jesteśmy bliżej gwiazd i planet. bliżej t21 – rodzinnej planety jo! ☺



ZEBRAŁY: KAMILA GĘBSKA, GRAŻYNA RASZKOWSKA, ILUSTRACJA KAROLINA KOTOWSKA

## Skromna pomoc państwa dla dzieci z zespołem Downa

## Konieczne badania

Lista badań, które trzeba przeprowadzić zaraz po urodzeniu dziecka z zespołem Downa, jest długa. Wadzie genetycznej towarzyszą często poważne schorzenia.

→ Maluchy trzeba zdiagnozować pod kątem problemów wymagających natychmiastowego leczenia. Do najczęściej występujących problemów zalicza się wrodzone wady serca i układu pokarmowego.

i mogą zostać zdiagnozowane już przed porodem. Zanim skończy się okres noworodkowy, dziecko powinno mieć wykonane: **EKG, RTG klatki piersiowej, echo serca i badania przewodu pokarmowego.**

Wady serca dotyczą niemal połowy urodzonych dzieci z zespołem Downa. Na ogół nie wymagają natychmiastowego zabiegu i z czasem same się wyrównują, choć zdarzają się również przypadki bardziej złożone, kiedy konieczna jest natychmiastowa interwencja kardiologiczna.

→ Każde dziecko z zespołem Downa musi być również obserwowane i zdiagnozowane pod kątem innych, dodatkowych zaburzeń, które często nie ujawniają się zaraz po urodzeniu. Są to: **zaburzenia funkcjonowania tarczycy** – zaleca się dwukrotne w roku badanie hormonów tarczycy (HT), **zaburzenia słuchu i wzroku, epilepsja.**

→ Wady górnego odcinka przewodu pokarmowego dotyczą około 10–12 proc. dzieci

## Możliwe świadczenia

Rodzice niepełnosprawnego dziecka otrzymują państwową pomoc pod warunkiem dopełnienia wielu formalności.

→ Potrzebne jest **orzeczenie o niepełnosprawności dziecka**, które wydaje komisja ds. orzekania o niepełnosprawności działająca przy miejskich ośrodkach pomocy społecznej lub powiatowych centrach pomocy rodzinie. Dopiero na podstawie tego orzeczenia instytucje samorządowe i pomocowe w ogóle mają prawo udzielać wsparcia.

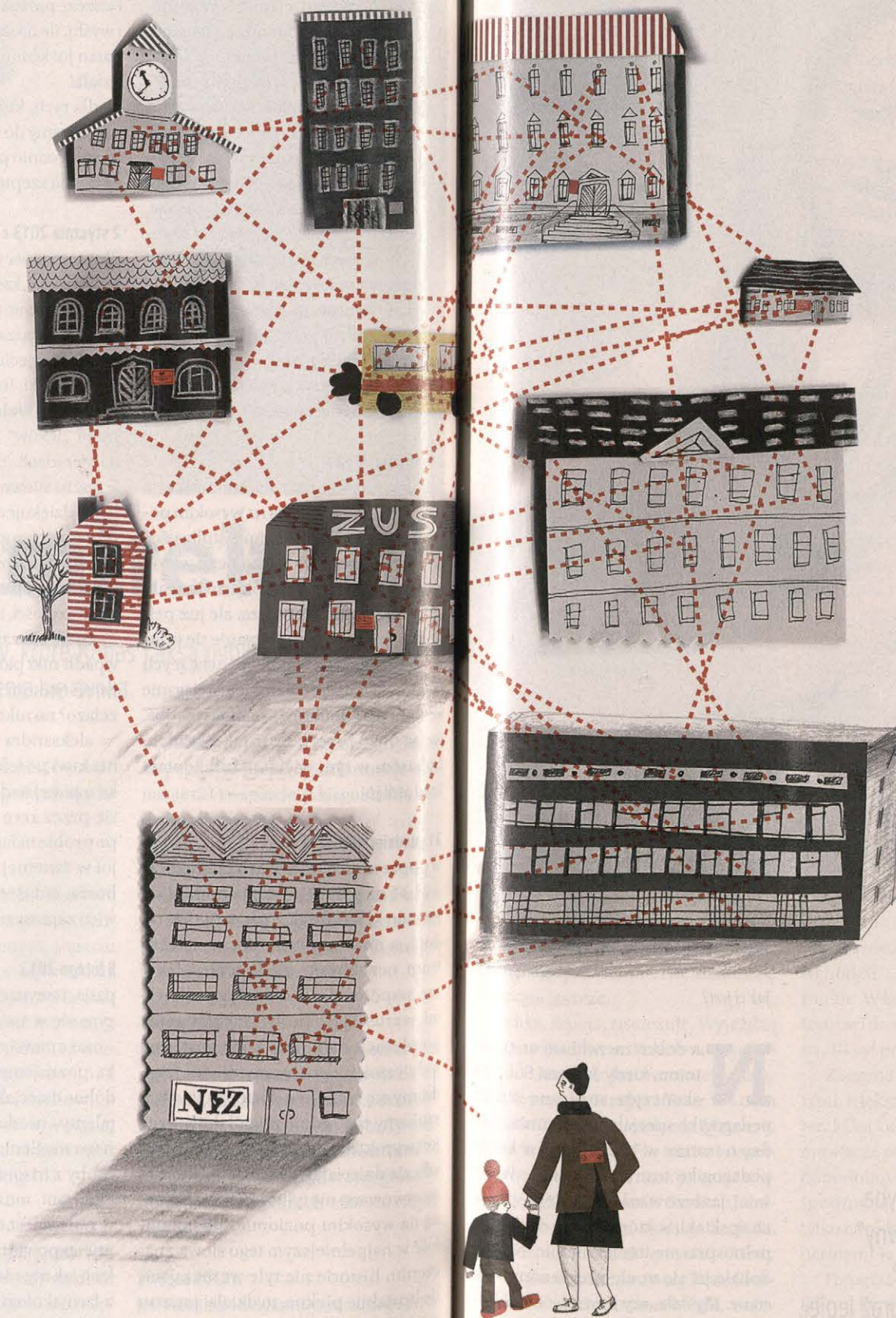
**623 zł netto** na osobę w rodzinie. Zasiłek rodzinny przysługuje do 18. roku życia, a jeśli ktoś się uczy – nawet do 24. Wypłacany jest rodzicom, prawnym lub faktycznym opiekunom dziecka oraz pełnoletniej osobie uczącej się.

→ Jedną z form pomocy udzielanej rodzicom jest finansowanie przez gminę **transportu dziecka do szkoły**. Niestety, taka pomoc kończy się wraz z jego edukacją, tj. najpóźniej w 24. roku życia. Potem rodzice sami muszą pokrywać koszty dowozu np. na warsztaty terapii zajęciowej, mimo że nie wszyscy mogą sobie na to pozwolić.

→ Rodzice niepełnosprawnego dziecka mogą też liczyć na **zasiłek pielęgnacyjny**. Jest przyznawany tak samo jak zasiłek rodzinny, by chociaż częściowo ulżyć w wydatkach związanych z koniecznością zapewnienia opieki i pomocy w związku z niezdolnością dziecka do samodzielnej egzystencji. Jego wysokość to dzisiaj **153 zł**.

→ Najważniejszą pomocą finansową dla rodziców są **świadczenia rodzinne**. Należą do nich: zasiłki rodzinne, dodatki do zasiłku rodzinnego (m.in. z tytułu kształcenia i rehabilitacji dziecka). Celem zasiłku rodzinnego jest choćby częściowe pokrycie wydatków na utrzymanie dziecka. Od początku 2013 r. wzrosło kryterium dochodowe przyznawania zasiłku. Obecnie w przypadku wychowywania niepełnosprawnego dziecka wynosi ono

→ Z kolei **świadczenie pielęgnacyjne** związane jest z rezygnacją z zatrudnienia lub innej pracy zarobkowej w związku z koniecznością opieki nad niepełnosprawnym dzieckiem. Otrzymuje się je wtedy, gdy istnieje konieczność stałej lub długotrwałej opieki, zwłaszcza gdy orzeczony został znaczny stopień niepełnosprawności. Jego wysokość wynosi **520 zł**. Przysługuje tym rodzinom, w których miesięczny dochód netto na osobę nie przekracza **583 zł**. Wypłacany jest zarówno rodzicom, jak i faktycznemu opiekunowi dziecka.



## Opieka zdrowotna i edukacja

→ W czasie wakacyjnym można korzystać z **turnusu rehabilitacyjnego**. Jest to zorganizowana forma aktywnej rehabilitacji połączona z wypoczynkiem. Taki wyjazd ma jeden cel: ogólną poprawę sprawności psychofizycznej oraz rozwijanie umiejętności społecznych uczestników turnusu. Udział w turnusie rehabilitacyjnym jest raz w roku dofinansowywany przez Państwowy Fundusz Rehabilitacji Osób Niepełnosprawnych (PFRON). O dopłaty można się ubiegać w powiatowych centrach pomocy rodzinie lub przez pracowników socjalnych, którzy opiekują się danym terenem. Do udziału w turnusie rehabilitacyjnym kieruje lekarz.

PFRON udziela także wsparcia finansowego na sprzęt rehabilitacyjny.

→ Osobom opóźnionym umysłowo w stopniu znacznym lub głębokim przysługują **bezpłatne usługi dentystyczne** wykonywane w znieczuleniu ogólnym (w gabinetach, które podpisały kontrakt z Narodowym Funduszem Zdrowia).

→ Zanim niepełnosprawne dziecko rozpocznie naukę, może uzyskać wykwalifikowaną pomoc w ramach tak zwanego **wczesnego wspomagania rozwoju**. Może być ono organizowane w przedszkolu, szkole podstawowej, w specjalistycznych ośrodkach oraz w publicznej poradni psychologiczno-pedagogicznej. Dyrektor danej placówki powołuje zespół specjalistów, którzy przygotowują indywidualny program dla dziecka. Co ciekawe, zajęcia mogą być też prowadzone w domu rodzinnym, w szczególności z dziećmi, które nie ukończyły trzeciego roku życia. Zajęcia mają charakter indywidualny, a organizuje się je w wymiarze od czterech do ośmiu godzin w miesiącu. Wskazania do takich programów, a także do nauczania w szkole specjalnej i **klasach integracyjnych** wydaje poradnia psychologiczno-pedagogiczna działająca na danym terenie.

## Łaskawość fiskusa

Opiekun dziecka z zespołem Downa może skorzystać z ulg i odliczeń od podatku.

→ Od dochodu można odliczyć wydatki poniesione na **cele rehabilitacyjne** oraz te związane z ułatwieniem wykonywania czynności życiowych. Wydatki te odlicza się od dochodu w roku, w którym zostały poniesione, ale tylko wtedy, gdy nie były finansowane ze środków zakładowego funduszu rehabilitacji osób niepełnosprawnych lub Państwowego Funduszu Rehabilitacji Osób Niepełnosprawnych albo nie zostały zwrócone podatnikowi w jakiegokolwiek innej formie.

→ Kiedy dziecko staje się osobą dorosłą, najczęściej nie jest zdolne do podjęcia pracy albo ta zdolność jest w znacznym stopniu ograniczona. Dlatego osoby pełnoletnie z zespołem Downa mogą się ubiegać o przyznanie **renty socjalnej**. Jest to świadczenie alternatywne dla osób, które nie nabyły uprawnień do renty z tytułu niezdolności do pracy. Przyznawane i wypłacane jest przez Zakład Ubezpieczeń Społecznych po uprzedniej ocenie lekarza.

## Dzieci w statystykach

→ Według danych z 2010 r. opublikowanych przez zespół Polskiego Rejestru Wrodzonych Wad Rozwojowych w latach 2005–2006 **częstość występowania zespołu Downa na terenie Polski utrzymywała się na poziomie ok. 12 przypadków**

**na 10 tys. urodzeń**. Z danych tych wynika też, że najczęściej chorobę tę obserwuje się w Irlandii – od 19,9 do 31,3 przypadków na 10 tys. urodzeń. Równie dużo jest ich na Malcie – 24,6 na 10 tys. urodzeń.

Źródło: Stowarzyszenie Rodzin i Opiekunów Osób z Zespołem Downa „Bardziej kochani”, ZUS



MIKE URBANIAK, ZDJĘCIA KUBA OSTAŁOWSKI

# 21 powodów do szczęścia

Kiedyś w stołecznym Biurze Kultury Justynie Sobczyk powiedziano, że chyba pomyliła adresata, bo to raczej sprawa dla Biura Polityki Społecznej. „Downy” to nie kultura, „downy” to problem społeczny. Dzisiaj już dostaje wsparcie z funduszy kulturalnych, jednak ciągle zbyt małe. Ale **Teatr 21** gra, i to coraz lepiej.

*Wyobraź sobie, że grasz w tym serialu  
Sni ci się po nocach, że jesteś postacią,  
której nie ma*

*Jak ci jest?*

**N**a dobre zaczęło się osiem lat temu, kiedy Justyna Sobczyk skończyła rozliczne studia: pedagogikę specjalną w Toruniu, wiedzę o teatrze w Warszawie i w końcu pedagogikę teatru w Berlinie. Wcześniej, jeszcze w szkole średniej, poszła na spektakl, w którym grały osoby niepełnosprawne intelektualnie. Nie podobalo jej się to, ale ziarno zostało zasiane. Myślała, czy można inaczej. Bał, wiedziała, że tak. Kiedy zdawała na aka-

demie, jej znajomy doradzał: „Powiedz na egzaminie, że chcesz robić teatr z niepełnosprawnymi”. Nie rozumiała dlaczego. Jeszcze.

Szuka, szpera, riserczuje. Wyjeżdża podczas studiów w Polsce na stypendium do Niemiec. Już wcześniej widziała na festiwalu Terapia i Teatr w Łodzi belgijski TarTar i holenderski Matwerk. W Berlinie odkrywa, że teatr z niepełnosprawnymi aktorami może mieć własną scenę i publiczność. Czyli że można. Ogląda i studiuje, studiuje i ogląda. I już wie, co chce robić w życiu. – Kiedy zobaczyłam po raz pierwszy Teatr RambaZamba na Prenzlauerbergu, onie miałam. Na scenie niepełnosprawni

intelektualnie grali spektakl, i to na poważnie. Nie żadne: a teraz chłopczyk z „downem” opowie wierszyk. Chłonełam w Berlinie wszystko, także spektakle Franka Castorfa i Rene Polescha, nie wychodziłam z Schaubühne. W Polsce swój teatr zaczął robić Grzegorz Jarzyna. Zrozumiałam, że może być fajnie, że teatr współczesny daje mi nieograniczone możliwości.

*Nigdy, nigdy nie poznasz prawdziwej miłości  
Nigdy, nigdy nie zaznasz prawdziwej radości  
Nigdy nie będzie tak źle i tak wesoło jak  
w życiu*

Justyna wraca do Polski z mężem. Ona – pedagoga teatru, on – mediator. Kiedy rodzi się ich dziecko, pielęgniarka środowiskowa pyta ze zdziwieniem: „Jeszcze raz, jakie macie zawody?”. Brzmiały jakoś tak niepoważnie. Ale Justyna zaczyna rozglądać się za pracą w zawodzie. Spotyka Macieja Nowaka, dyrektora Instytutu Teatralnego, który po półgodzinie daje jej pracę. – Ale od razu zaznaczyłam, że jak chce mnie zatrudnić, to musi wiedzieć, że dwa razy w tygodniu prowadzę teatr z niepełnosprawnymi – mówi. W instytucie zajmuje się edukacją teatralną, po godzinach robi własny teatr.

Stworzyła go sama. Ot, zwyczajnie, poszła do Zespołu Szkół Specjalnych „Dać szansę” na warszawskim Mokotowie i zaproponowała zajęcia teatralne. Dostała grupę dzieciaków z różnymi rodzajami upośledzenia intelektualnego i świetlicę, do której cały czas ktoś wchodził i wychodził. Warunki były trudne. W końcu dyrektorka szkoły dała teatrowi do dyspozycji salę gimnastyczną. To był prawdziwy luksus.

Zaczyna się żmudna praca z aktorami, większość ma zespół Downa, jest też kilka osób z autyzmem. Znajomi mówią, że podziwiają ją za ten nieprawdopodobny wysiłek pracy z niepełnosprawnymi, za heroiczną postawę. Ona tylko na nich patrzy z uśmiechem: – Jaki heroizm? Ja to uwielbiam.

Fotograf Oiko Petersen, autor projektu „Downtown”, w którym udział (w sesji modowej) wzięły osoby z ze-

**To nie jest jakiś tam teatrzyk, ale poważna teatralna praca. Teatr 21 to zespół bezlitosny dla siebie i społeczeństwa.**

społem Downa, zauważa: – Praca nad wystawą, która trwała rok, dała mi wiele radości, ale czułam także zmęczenie. Odczuwa je wiele osób pracujących na co dzień z osobami niepełnosprawnymi intelektualnie. A Justyna, odnosząc wrażenie, nie tylko nie wyczerpuje swoich baterii, ale je wręcz nieustannie doładowuje.

*Ja cię proszę, ja cię błagam, daj mi zagrać  
w tym serialu*

*Może spróbuje... Może się uda  
Po prostu wejdę w rolę i wyjdę  
Wejdę i wyjdę, wejdę i wyjdę  
Na krótko, na chwilę  
Na krótko, na chwilę*

Grupa zaczyna działać pod nazwą Teatr 21, która pochodzi od dodatkowego 21. chromosomu. To jego obecność powoduje zespół wad wrodzonych. Teatr działa wbrew trudnym warunkom: nie ma odpowiedniej przestrzeni i pieniędzy, ale zaczyna przyciągać coraz więcej profesjonalistów, którzy z niepełnosprawnymi intelektualnie aktorami chcą pracować. Scenografka Agata Skwarczyńska: – Praca z naszymi aktorami jest niezwykle inspirująca i traktuję ją poważnie. Tylko wtedy to, co robimy, może się bronić artystycznie. To nie jest jakiś tam teatrzyk, ale poważna teatralna praca. Czuję, że rozwijam się razem z nimi, dajemy sobie dużo wzajemnie. Różni nasz teatr od innych to, że musimy być bardziej czujni w stosunku do aktorów, bo to przede wszystkim oni mają tworzyć sztukę.

Pierwszą premierą teatru były jasełka („Wiadomości nie z tej ziemi”, „Czekamy, czekamy...”), ale – jak zaznacza Justyna – zrobione alternatywnie, żadnej sztampy. Potem zauważyła, że wszyscy aktorzy i aktorki nieustannie się w sobie

Na zdjęciu Maja Kowalczyk w tle od lewej: Grzegorz Brandt, Magdalena Świątkowska, Daniel Krajewski, na drugim planie: Anna Łuczak.

Najbliższe spektakle Teatru 21 można obejrzeć **19, 20 i 27 marca o godz. 18** na scenie Instytutu Teatralnego w Warszawie. Więcej informacji na: [www.teatr21.waw.pl](http://www.teatr21.waw.pl).

zakochują, więc postanowiła poruszyć temat miłości. Tak powstał spektakl „Orfeusz + Eurydyka = WNM”. – W przypadku osób z zespołem Downa Wielka Nieskończona Miłość jest zwykle Wielką Niespełnioną Miłością – zauważa reżyserka.

Rok później Teatr 21 wystawia „Lot nad Panamą” na podstawie bajki Janoscha „Ach, jak cudowna jest Panama”. Wielkim sukcesem była „Alicja” inspirowana „Alicją w Krainie Czarów” Lewisa Carrolla pokazywana w ramach Małych Warszawskich Spotkań Teatralnych.

Paweł Sztarbowski, wicedyrektor Teatru Polskiego w Bydgoszczy: – Widziałem ich wszystkie przedstawienia i jestem zachwycony tym, jak to się rozwija. Aktorzy wychodzą na scenę ze swoimi problemami, opowiadają o tym, jak są traktowani przez społeczeństwo, jak są marginalizowani. To mi się wydaje kluczowe dla narracji Teatru 21. To zespół bezlitosny dla siebie i społeczeństwa. Pamiętam, że w „Alicji” kwiaty grane były przez osoby, które bardzo niewyraźnie mówiły. Nagle dotarło do mnie, że one mówią swoim językiem. To było genialne. Alicję grała z kolei dziewczyna z autyzmem, więc była Inna wobec Innych. Żaden profesjonalny aktor by tego nie zagrał. To naprawdę niezwykła robota teatralna.

Dziewczyna z autyzmem to Marta Stańczyk, jej Alicja zachwycała widzów. – Marta ma wspaniałą wyobraźnię plastyczną. Staramy się ją wykorzystywać tak często, jak się da – mówi Agata Skwarczyńska.

– I działać tak, żeby aktorom przede wszystkim pomagać – dodaje Paweł Andryszyk, autor muzyki do spektakli teatru. – Muzyka musi być prosta, nieskomplikowana, co nie znaczy, że zła czy tandetna. W naszych spektaklach często prowadzi aktorów przez całość, bo określone dźwięki mówią im na przykład, że zaczynamy następną scenę. No i najważniejsze są emocje, bo nasi aktorzy wyrażają je na sto procent: jak są smutni, to naprawdę



Na pierwszym zdjęciu poniżej: Aleksander Orliński, w tle Grzegorz Brandt, Aleksandra Skotarek, Barbara Lityńska. Na drugim zdjęciu poniżej: od prawej: Barbara Lityńska, Anna Drózd, Daniel Krajewski, na drugim planie: Michał Pężyński. Na zdjęciu po prawej: Piotr Swend, i od prawej: Teresa Foks (jako książkę William), Maja Kowalczyk, Magdalena Świątkowska, Grzegorz Brandt, Aleksandra Skotarek.



są smutni, jak się cieszą, to na całego. Są mistrzami wyrażania uczuć. Kiedy przyszedłem lata temu pierwszy raz do teatru, to po paru minutach już byli do mnie przytuleni.

*Nigdy nie będzie jak w prawdziwym serialu. Kapujesz? Nigdy, nigdy... Kapujesz?*

Aktorzy Teatru 21 są rzeczywiście bardzo kontaktowi, rozmowni i towarzyscy. Wyglupiają się, dużo żartują, opowiadają o swoim życiu, pracy w teatrze, marzeniach. Można z nimi siedzieć do nocy.

**Piotr Swend**, czyli Maciek z „Klanu”, najślyniejsza osoba z zespołem Downa w Polsce: – Chciałbym być aktorem, właściwie to trochę nim jestem. Jestem też sławny, ludzie proszą mnie o autografy. **Maja Kowalczyk**: – Ja też się czuję gwiazdą. **Aleksandra Skotarek**: – Publiczność bardzo lubi nasze spektakle. Przychodzą przyjaciele i znajomi, a czasami nawet prawdziwi aktorzy.

**Piotr**: – Ja się najbardziej stresuję, że zapomnę tekstu.

**Daniel Krajewski**: – Teraz gramy w nowej sztuce. Cieszę się, że jesteśmy aktorami i pracujemy z zawodowymi twórcami.

**Aktorzy Teatru 21 wyglupiają się, żartują, opowiadają o swoim życiu, marzeniach. Można z nimi siedzieć do nocy.**

**Piotr**: – Kiedy zacząłem grać w „Klanie”, to miałem osiem lat. Przyszedł pan i powiedział, że ja bardzo nadaję się do filmu. Dali mi do przeczytania tekst i zacząłem grać. Oni byli zaskoczeni, że ja czytam.

**Magdalena Świątkowska**: – Była u nas ostatnio telewizja i robiła o nas program.

**Daniel**: – Ja powiem szczerze, uwielbiam „Klan”, ale jak pani Justyna zaproponowała nam teatr, to też się bardzo ucieszyliśmy.

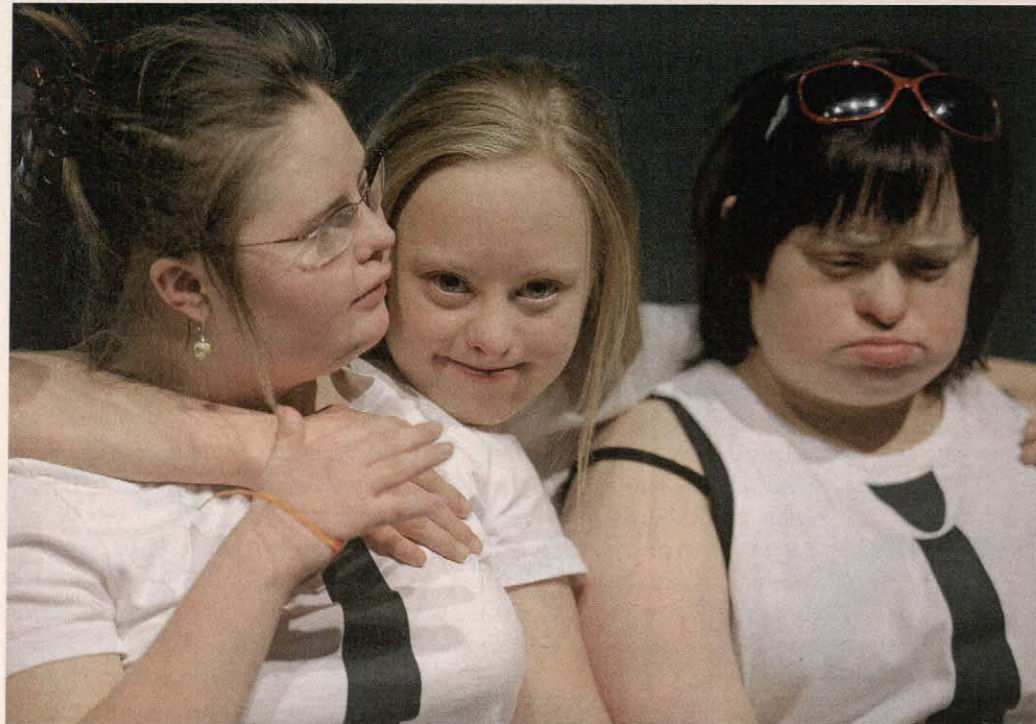
**Piotr**: – Mam w „Klanie” dziewczynę i zaręczyliśmy się.

**Maja**: – Ja też mam chłopaka.

**Aleksandra**: – Ja też.

**Magdalena**: – I ja.

**Aleksandra**: – A nasz nowy spektakl jest o dorosłości. I ja mam bardzo trudny tekst, którego muszę nauczyć się na pamięć.



**Magdalena:** – A ja gram scenę o miłości. I to jest bardzo piękne. Chciałabym mieć męża i dom, i pracę.

**Daniel:** – Ja szukam w spektaklu pracy i mówię, jakie mam mocne strony, ale ludzie ciągle mi odpowiadają, że się odezwą w przyszłości.

**Piotr:** – Jak zarobię pieniądze, to zabiorę moją mamę do Ameryki. I chcę mieć ślub, wesele, zaręczyny i przyszłość.

**Magdalena:** – Chciałabym pojechać z moim chłopakiem nad morze, ale tylko we dwoje.

**Aleksandra:** – Ja też chcę do Ameryki pojechać i wziąć ślub, mieć pracę i grać w naszym teatrze. I uwielbiam moich kolegów.

**Daniel:** – A ja jestem Żydem i chciałbym zabrać wszystkich moich przyjaciół do Izraela.

**Piotr:** – I do Lublina, bo to takie piękne miasto.

*Nigdy, nigdy nie będzie tak źle i tak wesoło  
Nigdy, nigdy nie usłyszysz słowa: O miłości  
ty moja*

*Nikt cię naprawdę nie pocałuje  
Nie obudzisz się w prawdziwym łóżku*

– Pamiętam, jak po jednym spektaklu podeszła do mnie Stanisława Celińska i powiedziała, że oni są wspaniali i że bardzo mi gratuluje, i że musimy



to robić nadal – mówi Justyna, która poczuła, że trzeba teatr wyprowadzić ze szkoły. Choć bardzo się bała, bo szkoła dawała jednak wszystkim poczucie bezpieczeństwa. „Pani Justyno, pani rozbudza w nich marzenia” – słyszała od czasu do czasu. No i co?

Zaczyna szukać pieniędzy na kolejne przedstawienia. Składa wnioski o granty, których pozyskiwanie nie jest łatwe. Kiedyś w stołecznym Biurze Kultury powiedziano jej, że chyba pomyliła adresata, bo to raczej sprawa dla Biura Polityki Społecznej. „Downy” to nie kultura, „downy” to problem społeczny. Teraz to się zmieniło, biuro wspiera teatr finansowo, z ostatnim spektaklem włącznie.

Na zdjęciu powyżej: Barbara Lityńska, Maja Kowalczyk, Anna Drózd. Na drugim zdjęciu: Daniel Krajewski, Maja Kowalczyk, Aleksander Orliński, Teresa Foks, Aleksandra Skotarek, Grzegorz Brandt, w drugim planie: Anna Łuczak.

Ten rok jest przełomowy, większość aktorów skończyła szkołę. Szkolnictwo specjalne jest do 24. roku życia, a potem są warsztaty terapii zajęciowej. Osoby niepełnosprawne intelektualnie mają w nich być przez trzy lata przygotowywane do pracy, której w większości nie dostają. Mówi o tym po części najnowszy spektakl teatru pod tytułem „...I my wszyscy”. Justyna: – Praca jest ich wielkim marzeniem. Michał, jeden z aktorów, dostał ostatnio zatrudnienie w szpitalu wojskowym na zmywaku i nie posiadał się ze szczęścia, bo nie będzie musiał brać więcej pieniędzy od mamy.

*Ja cię proszę, ja cię błagam, daj mi zagrać  
w tym serialu*

*Może spróbuję... Może się uda...*

*Po prostu wejdę w rolę i wyjdę*

*Na krótko, na chwilę...*

*Na krótko, na chwilę*

Fundamentem Teatru 21 jest traktowanie aktorów jak pełnoprawnych, dorosłych ludzi. Nie ma tam żadnego tak zwanego gestu serca, który promowany jest nieustannie przez różne wielkie fundacje i media. Pokazuje się w nich osoby niepełnosprawne intelektualnie jako biedne dzieci, które czekają tylko na to, jak ze wzruszenia złapiemy się za serce i powiemy, jak pięknie zaśpiewały nam pioseneczkę. – To nie ja! – mówi Justyna. – To nie jest mój gest. My robimy poważny teatr. Być może nigdy nie będziemy mainstreamem, nigdy nie zostaniemy zaakceptowani przez „prawdziwy” świat teatralny, ale też nie mamy takiej potrzeby. Robimy po prostu swoje. Kiedyś jedna z dziewczyn prowadzących zajęcia w warsztatach terapii zajęciowej powiedziała mi: „Ale Justyna, ty chyba w to nie wierzysz? Po co ktoś miałby oglądać niepełnosprawnych?”.

– Otóż wierzę i stawiam moich aktorów w świetle reflektorów. A oni grają. W dodatku świetnie. 📺

Śródytęły to słowa, które do spektaklu „...I my wszyscy” napisała aktorka Teatru 21 Barbara Lityńska.



## NOWY NUMER

w sprzedaży od 28 lutego, a w nim m.in.:

- prof. Antony Beevor / Upadek Stalingradu nie oznaczałby jeszcze niemieckiego zwycięstwa
- prof. Grzegorz Motyka / To Borowiec stworzył „pierwszą UPA”, ale banderowcy ukradli mu nazwę
- Michał Kurkiewicz / O tym, jak katolicki ksiądz z sowieckiej partyzantki został kapelanem berlingowców



Available on the  
App Store



Google play

POBIERZ APLIKACJĘ  
NA SWÓJ TABLET

www.historia.uwazamrze.pl

DOMINIKA KAŹMIERCZYK

# Czas sąsiadów

Podobno Polacy nie lubią działać wspólnie. Jednak ostatnio coś zaczyna się zmieniać. Poznajemy sąsiadów, organizujemy się i coraz częściej **razem tworzymy wielkie rzeczy**.

**W** małych miejscowościach niełatwo wyciągnąć ludzi z domu. Wprawdzie wszyscy się znają, ale potrzebna jest iskra, żeby stworzyli coś wspólnie. W kaszubskim Karwnie impulsem stał się projekt stworzenia Wioski Fantazji. – Chciałam stąd jak najszybciej wyjechać – opowiada Katarzyna Chrzan, mieszkanka popegeerowskiego Karwna. 200-osobowa wieś na Kaszubach nie zachęcała młodzieży do pozostania. 90-procentowe bezrobocie, marazm, życie na zasiłku.

Pięć lat temu pojawiła się jednak szansa na dofinansowanie dla wsi. Chodziło o to, by zmobilizować ludzi do pracy, zintegrować społeczność, wśród której nie działały żadne organizacje, mieszkańcy nie znali się nawzajem, żadnych wydarzeń, rocznic, świąt nie obchodzili wspólnie. – To była najgorsza wioska w całej gminie, sprawiająca kłopoty – tłumaczy Katarzyna, obecnie pracownica pomocy społecznej – wszyscy wspominali za to PRL, kiedy nasz PGR był najlepszy w województwie. Mój ojciec dostał wtedy mieszkanie, pieniądze na ślub. Potem wszyscy przeszli na garnuszek opieki społecznej, siedzieli po domach, klepali biedę i myśleli, że tak będzie już zawsze. Trudno było przekonać decydentów, że lekiem na całe zło dla Karwna mogłaby zostać Wioska Fantazji. – Takich tematycznych wiosek powstało już trochę w Polsce, ale my byliśmy pierwszą miejscowością, która zdobyła na ten cel pieniądze z Gminnego Ośrodka Pomocy Społecznej i potraktowała ten projekt jako panaceum – opowiada Katarzyna, która jako młoda mieszkanka Karwna została jego „beneficjentką”. – W koń-

Kiedy w Karwnie powstała Wioska Fantazji i do wioski zaczęli przyjeżdżać turyści, młodzi mieszkańcy przestali wstydić się swojej „wiejskości” i zaczęli traktować ją jako atut. Do pomysłu szybko przekonali się też starsi mieszkańcy tej popegeerowskiej wsi. Skończyły się czasy marazmu i zamknięcia w rodzinnych kręgach. Sąsiedzi zaczęli się ze sobą spotykać.

cu udało się wynegocjować, że przez pierwsze trzy lata będziemy zdobywać potrzebne umiejętności pod okiem socjologa Wacława Idziaka, który rozkręca w Polsce ideę wiosek. Przyjeżdżał do nas z grupą wolontariuszy instruktorów, którzy uczyli nas sztuki cyrkowej, zonglerki, gry na bębnach, tworzenia biżuterii z filcu, za pomocą gorącego żelazka, różnych gier czy tańca hula. Nie wierzyłam, że to może kogoś zainteresować. Do momentu, kiedy w gospodarstwie Kazimierza Papugi zorganizowaliśmy mikołajki. Przyjechało kilkaset osób z okolicznych miejscowości i miasteczek, a Mikołajki z Fantazją stały się coroczną tradycją Karwna. Dzieciaki z miasta skakały na sianie, były wniebowzięte, że mogły przejechać się zrobionym ze starego wozu agrobusem, a nasza młodzież przestała się wstydić swojej „wiejskości” i coraz częściej traktuje ją jako atut. Zorganizowaliśmy gry terenowe, dzięki którym można poczuć się jak w zaczarowanym świecie bajek, spotkać księżniczkę, maga czy samego Świętego Mikołaja. Tutaj wszystko może się zdarzyć.

Według Pawła Jordana, współtwórcy m.in. Ruchu Inicjatyw Społecznych BORIS i Centrów Aktywności Lokalnej, Polacy zaczynają działać. – Jest coraz lepiej. Powoli otwieramy się na innych. Polacy zrozumieli, że oprócz pracy, dóbr materialnych, rodziny czy dumy z ojczyzny potrzeba dobrych relacji sąsiedzkich, lokalnych, środowiska, w którym chce się żyć, a wspólnie łatwiej rozwiązywać problemy – mówi Jordan, ale równocześnie zastrzega: – Oczywiście na tle innych krajów eu-

ropejskich wciąż wypadamy blado. Tylko 15 proc. Polaków działa społecznie, w porównaniu z 30 – 50 proc. innych Europejczyków. Winna jest nasza historia. Zabory, komuna, zmiana rzeczywistości w latach 90.

## Otwieranie Karwna

Kazimierz Papuga kiedyś pracował w pegeerze, potem dzierżawił ziemię, wreszcie wykonywał prace interwencyjne, zachorował na zapalenie płuc, miał problem z alkoholem, a w końcu trafił na „opiekuńczy”. – Kiedy zaproponowali mi, żebym przyjmował ćwiczące zonglowanie czy gry na afrykańskich bębnach dzieciaki, a potem gościł grupy turystów, myślałem, że to żart – wspomina. – Na czele grupy przez wieś szedł Idziak, a za nim dzieci. Wyglądało to tak, jakby im rozdawał cukierki. Pomyślałem sobie: „Co ja będę robił z dziećmi?”, ale potem to mnie wciągnęło. Ciągłe coś w gospodarstwie dobudowuję, ulepszam, na ile mogę, strugam ptaszki z drewna. Tylko pieniędzy brak. Gdyby nie to, zbudowałbym kilka pokoi dla gości i wyremontował kuchnię.

We wsi powstało pięć agroturystyk, żeby gościć przyjeżdżających do Wioski, a jedna pani zajęła się cateringiem. Kilkanaście osób zaczęło zarabiać. Powstał zespół bębniarski Pajku-Pajku, trzech mężczyzn wyspecjalizowało się w pokazach tańca i sztuczek z ogniem, czyli tzw. fireshow. A poza tym ludzie wreszcie wyszli do siebie z domów, uwierzyli, że mogą coś zmienić w swoim życiu, ktoś znalazł pracę, inni założyli działalność budowlaną i naprawczą. – Mieszkańców integruje coroczna wakacyjna Fantazja-



da, czyli impreza, na której organizujemy paradę cyrkowców przez wieś, śpiewamy tradycyjne pieśni karwieńskie, bierzemy udział w warsztatach. To tak jakby Karwno było zamkniętą konserwą, którą udało się otworzyć – opowiada Katarzyna Chrzan.

Piotr Jakubowski najbardziej zainteresował się grą na bębnach i wraz z siódmką rówieśników nastolatków założył zespół bębniarski. Teraz studiuje i pracuje jako opiekun dziecięcy, a z bębnami zwiedził całą Polskę. Grał dla prezydenta Bronisława Komorowskiego i występowa-

wał na międzynarodowych festiwalach. – Najpierw sami nauczyliśmy się grać, a teraz uczymy innych, prowadzimy warsztaty, pokazy. Nie zarabiamy kokosów, ale dorabiamy, robiąc coś, co nas pasjonuje – mówi Jakubowski.

Do Wioski Fantazji przyjeżdżają dzieci, dorośli, a także rodziny, które przechodzą kryzys i chcą odbudować relacje. – Zasada jest taka, że sami sobie gotują, mieszkają w dość spartańskich warunkach, biorą udział w grach, uczą się od naszych instruktorów tego, czego chcą: origami, tworzenia biżute-

rii, jazdy na nartach wieloosobowych. Mają też spotkania z terapeutą, tworzą totem rodziny, uczą się budowania granic w sianie – opowiada Papuga, który z utęsknieniem czeka na wiosnę i lato, żeby znów ugościć turystów.

– Zmieniło się też podejście do pracowników socjalnych – dodaje Katarzyna Chrzan. – Kiedyś wszyscy się przed sobą wstydzili, że korzystają z ich pomocy, teraz stali się znajomymi, przyjaciółmi, z którymi razem chodziło się na szrudłach i kręciło diabło i którzy naprawdę chcą pomóc, a nie tylko odłębnić godziny pracy.

– W Karwnie udało się zaktywizować społeczność zgodnie z nową polityką pomocy, a nie opieki społecznej – ocenia Jordan. – Pozostaje utrzymanie trudnej równowagi między wspieraniem a zostawianiem samodzielności mieszkańcom. Nie można wszystkiego za nich robić, a jednocześnie nie powinno się ich zostawić samym sobie.

## Multimedialna księga Pogorzyc

W Pogorzycach pod Chrzanowem mieszka 1200 osób. Niby wszyscy się znali, ale ostatnio chcą się znaleźć w Multimedialnej Księdze. – Wchodzą do Internetu, oglądają. Starszym nagrałam kilkadziesiąt płyt, żeby mogli na DVD odtwarzać. Albo wnuki im pokazują. „Przekładałam kartki, jak w normalnej książce, nie wiedziałam, że tak można” – opowiada Zdzisława Musiał, sołtys wsi. – I dziwi się, że w Pogorzycach mieszka wielokrotny zdobywca ogólnopolskich pucharów w zawodach gołębi Bolesław Curyło oraz zafascynowany pszczołami Tadeusz Greń. 16-letni Michał Hycki jeździ konno i jest w kadrze narodowej, a w zeszłym roku został młodzieżowym wicemistrzem Polski. Wśród nastolatków najbardziej trendy jest zapisać się do młodzieżowej drużyny pożarniczej. Tego wszystkiego można się dopiero dowiedzieć z Wielkiej Multimedialnej Księgi Pogorzyc. Jak powstała?

Trwało to trzy miesiące. Mieszkańcy przeprowadzali ze sobą wywiady, robili zdjęcia, a dzieci narysowały wizerunki Pogorzyc, na których widać staw.



– To kolejna duma wsi – podkreśla Musiał. – Członkowie Związku Wędkarskiego tak się zaangażowali, że wykopali go własnymi rękami, pięknie zagospodarowali teren wokół i hodują ryby.

Sąsiedzka mobilizacja związana z powstaniem księgi sprawiła, że w Pogorzycach drugą młodość przeżywają organizacje rodem z PRL-u: Koło Gospodyń Wiejskich, Ochotnicza i Młodzieżowa Straż Pożarna, Towarzystwo Wędkarskie i lokalny klub sportowy. We wszystkich, z wyjątkiem Koła, prezesem przed długi czas był poprzedni sołtys. – Nie będę oceniać dlaczego, ale od kiedy każdy klub zyskał odrębnego lidera, obserwujemy błyskawiczny rozwój. 15 proc. mieszkańców Pogorzyc należy do któregoś ze stowarzyszeń, często do kilku naraz – mówi pani sołtys. – Bardzo ważne jest tworzenie własnej, lokalnej tożsamości, co udało się dzięki Księdze – dodaje Jordan. – Ludzie zobaczyli się nawzajem i jest im łatwiej wspólnie się angażować, tworzyć dobre lokalne relacje.

### Moda na strażaka

Pogorzycycka młodzież garnie się do straży. Nie chcą jak ich babcie działać w Kole Gospodyń, które w Księdze opisuje pani Aniela Szkółka, prawie

80-letnia mieszkanka Pogorzyc, najstarsza członkini klubu. Działa w nim od początku jego powstania. – My sprowadzały gęsi, kaczki i na wycieczki my jeździły, i tu się chodziło, i wieńce my wiły. A przede wszystkim jeszcześmy miały dużą ulgę z Króla – dyrektora Stelli (w zakładach materiałów ogniotrwałych – przyp. red.) on nam dawał orkiestrę, chodzili z nami, gdzieś szły czy na zabawę, czy w Stelli my się spotykały, to wszędzie ta orkiestra z nami była – wspomina pani Aniela i dodaje: – Wtedy nie było rajtek, nie było kawy, tośmy sprowadzały, no to już to Koło dostało i członkiń dużo było.

Dziś już nie brakuje ani kawy ani rajtek, a dziewczyny wolą chodzić w ognioodpornych kurtkach i spodniach nomenach oraz w hełmie howerze z przyłbicą na głowie. – Na obozie mega było. Straszny rygor, mieliśmy w nocy alarmy i musieliśmy robić pompki, ale mi się strasznie podobało, a najbardziej ratownictwo medyczne – opowiada na potrzeby Wielkiej Księgi Magdalena Król.

Działalność w OSP przypomina udział w amerykańskim filmie akcji. A wszystko to dzięki prezesowi, emerytowanemu strażakowi zawodowemu Tomaszowi Tyborowskiemu.

Mieszkańcy warszawskiego osiedla na Bielanych wzięli zielen w swoje ręce i poczuli, że podwórko należy naprawić do nich, lokatorów. Wspólnie sadzą kwiaty, organizują podwórkowe zabawy i przywiązują gapiów z sąsiednich dzielnic.

– Kiedy już w coś wchodzę, to całym sobą. Prezesem zostałem przez przypadek, chciałem pomóc koledze z OSP. Młodzież nie ma w Pogorzycach zbyt wielu rozrywek, chłopcy grają w piłkę w klubie KS Pogorzanka. Nie mamy nawet świetlicy. Kiedyś, za komuny była klubokawiarnia, biblioteka w starym dworze, ale teraz we dworze zrobili mieszkania socjalne dla tzw. śmietanki towarzyskiej z Chorzowa. My wynajmujemy stary garaż, mamy samochód, ale taki, którym nie można jeździć na duże pożary. Mimo to powstała trzy lata temu młodzieżowa drużyna i ma już sukcesy. Wygrała gminne zawody, które polegają na rozwijaniu linii gaśniczej i tzw. biegu z przeszkodami – opowiada Tomasz Tyborowski, po czym dodaje: – Faktycznie, zapisało się do straży wiele dziewczyn, są na tym samym poziomie co chłopcy, a często osiągają lepszy czas.

Kiedy w wiosce wyje syrena, to znak, że trzeba jak najszybciej znaleźć się w prowizorycznej stróżówce i przebrać, bo jeśli nie będzie wystarczającej liczby dorosłych strażaków, młodzi też mogą jechać na akcję. – Jeździmy z reguły do palących się traw, ale obstawiamy także różne wydarzenia, na przykład mecze, robimy pokazy ratownictwa

medycznego w szkołach. Cała nasza młodzież pokończyła kursy ratownictwa – kontynuuje swoją opowieść Tyborowski.

Prezes OSP organizuje też obozy szkoleniowe i narciarskie dla podopiecznych. Fundusze na nie zbierają, na przykład chodząc po domach i sprzedając za „co łaska” samodzielnie zrobiony kalendarz ze zdjęciami młodych strażaków. – Postanowiłem poszukać sponsorów wśród prywatnych firm – dodaje Tyborowski. – Najpierw było mi wstyd, ciężko prosić o pieniądze, ale się przełamałem, a kiedy burmistrz Chrzanowa dowiedział się, że pomagają nam firmy, to zasponsorował dla każdego członka profesjonalne stroje.

### Zrzutka na zieleń

– Wymienianie się ciuchami, tzw. swap party, wymiany: wyjście z psem za lekcję angielskiego, robiące obecnie furorę w wielkich miastach to codzienność w małych miejscowościach – mówi Maria Rauch z Warszawy. – Moja znajoma z małego miasteczka opowiadała mi, że u nich nie potrzeba do tego specjalnych imprez, plakatów czy portali internetowych. Po prostu wszyscy się znają, kobiety wymieniają odzież i ciuszkami dla dzieci, sąsiedzi wyprowadzają sobie nawzajem psy. W mieście jest trudniej o sąsiedzkie kontakty, a także więcej ciekawych wydarzeń w różnych częściach miasta. Zamiast wyjść z dziećmi na podwórko, można je zawieźć na zajęcia pozalekcyjne na drugą stronę Warszawy. My zaczęliśmy myśleć, jak ożywić nasze podwórko, po tym jak musieliśmy stoczyć walkę o jego wygląd.

Maria i jej mąż są z zawodu architektami, dlatego może tym bardziej są wyczuleni na estetykę otoczenia. Spojrzeli ze zgrozą przez okna nowego, kupionego zimą mieszkania, gdy tylko spadł pierwszy śnieg. Ziemia, brak trawy, brzydkie, gołe chodniki. Mieli dwa wyjścia: przejść nad tym do porządku dziennego i przyzwyczaić się albo działać. Znaleźli sojuszników.

– Wprowadziliśmy się pół roku później. Postanowiliśmy zrobić zrzutkę w bloku na zieleń. W krótkim cza-

sie zebraliśmy tysiąc złotych. To dużo, zwłaszcza że przy Żeromskiego mieszka sporo starszych, biednych ludzi – wyjaśnia Anna Sujka. – Posadziliśmy trawę, krzewy, kwiaty. Zrobiliśmy to w porozumieniu z administracją, przedstawiliśmy im nawet plan nasadzeń. To był dobry pomysł, bo starsi mieszkańcy byli zniechęceni, że gdy przed remontem zasadzili na trawniku prywatne kwiatki, to im je administracja skosiła wraz z trawą. Do ochrony drzewek i krzewów, które wcześniej były niszczone przez nieznaną sprawców, bardzo zapaliły się dzieci. One także z zapalem sadziły kwiaty i trawę.

– Na pierwsze nasadzenie przyszło ponad 30 osób, to naprawdę dużo – mówi Rauch. – Nie spodziewaliśmy się takiego odzewu.

### Plac zabaw i fontanna

A potem samo poszło: tworzenie wspólnego, osiedlowego klombu z kwiatów przyniesionych przez mieszkańców, wspólne koszenie trawy i podlewanie roślin, wizyty sąsiadów z innych podwórek, którzy wpadli na pomysł, by piękne kwiaty posadzić także przy pobliskich śmietnikach. Wzięli zielen w swoje ręce i poczuli, że podwórko należy naprawdę do nich, lokatorów. Pomyśleli wtedy o zorganizowaniu letniego placu zabaw z chodnikowym graffiti i miniparkiem linowym, a wcześniej Dnia Sąsiada z wystawą zdjęć podwórkowych, muzyką, degustacją sąsiedzkich potraw, podchodami dzieci kontra dorośli i sadzeniem pelargonii w starych śmietnikach. Najnowszy projekt to budowa fontanny – instalacji z rur, okienek na zdjęcia i efektów dźwiękowych w miejsce prawdziwej fontanny, która dawniej szemrała na podwórku. Projekt architektoniczny wymyślili najmłodszy mieszkańcy, oczywiście podczas podwórkowych warsztatów, a inicjatywę zdecydowało się sfinansować miasto.

– Jeżeli administracja widzi, że mieszkańcy sami coś tworzą, o coś dbają, mają pomysły, a nie tylko przychodzą z żądaniem, to naprawdę można sporo zyskać – mówi Anna Sujka. – Na przykład udało nam się doprowadzić do tego,

by podwórko było częściej sprzątane. Kiedy sadziliśmy kwiaty przy śmietniku, postanowił nas odwiedzić burmistrz dzielnicy. Zyskaliśmy sławę w okolicy, a na nasze akcje przychodzą ludzie z innych części Bielanych.

### Zostań sąsiadem

Jak przełamać marazm, pokonać wstyd i zrobić coś wspólnie? Kornelia Zagórska z organizacji Q-Ruch Sąsiedzki, która zainspirowała mieszkańców Bielanych do organizacji Dnia Sąsiada, podaje prostą receptę: – Wywieś ogłoszenia o zebraniu sąsiedzkim. W pobliskiej kawiarni czy bibliotece. Na początku może nikt nie przyjdzie, potem pojawiają się ze trzy osoby, a jeszcze później znacznie więcej. Zresztą nawet w trzy osoby można zrobić coś wspólnie i przyciągnąć innych. Dzień Sąsiada, który jest obchodzony w ostatni wtorek maja to idealny pretekst. Pomyślcie, co kto może zorganizować, ugotować, czy ktoś z sąsiedztwa gra na jakimś instrumencie, może urządzać pokaz swoich umiejętności, przeprowadzić warsztaty? Ktoś przyniesie stare zdjęcia – radzi Kornelia i zapewnia: – W tym dniu sąsiedzi poznają się nawzajem. Zaczynają się regularnie spotykać i rozwiązywać razem ważne dla siebie problemy. Wypróbowałam. Działa nawet na moim blokowisku z wielkiej płyty.

Nie dziwi się temu Paweł Jordan, ale zastrzega, że wciąż musimy w Polsce pracować nad zaufaniem: – Obcokrajowcy często mówią mi, że Polacy są kreatywni, mają świetne pomysły, ale boją się zaufać drugiemu człowiekowi i wyjść z inicjatywą. Brakuje aktywistów społecznych, którzy ukierunkują, wciągną i zaangażują innych. Na szczęście powoli zaczynają się pojawiać i oto mamy efekty. ☺

Zrzutka w bloku na zieleń to dobry pomysł na zintegrowanie sąsiadów.



PATRYK CHILEWICZ

# Jak zjednoczyły nas drzewa

Drzewo stało się świętym obiektem **miejskiego kultu zieleni**. Gniew wywołany ich wyrzynką jest coraz większy i ponad podziałami – na pikie ty przychodzą zarówno sympatycy lewicy, prawicy, jak i anarchiści czy artyści.

Jedną z najgłośniejszych ostatnio spraw była ta poświęcona „rewitalizacji” Ogrodu Krasieńskich w Warszawie. Miasto postanowiło wyciąć ponad 300 drzew w zabytkowym parku, który przetrwał nawet drugą wojnę światową. W obronie publicznego dobra szybko stanęli okoliczni mieszkańcy. Zaczęli organizować pikie ty i demonstracje. Oddolny ruch poparli ludzie kultury, sztuki i polityki od prawa do lewa: Anna Grodzka, prof. Paweł Śpiewak, Ogię rd Łukaszewicz, Maja Komorowska, Bronisław i Dawid Wildsteinowie, Janusz Palikot, Wojciech Malajkat, Kazimiera Szczuka czy prof. Magdalena Środa. Drzewa w Ogrodzie Krasieńskich połączyły zwaśnione środowiska w konkretnym celu. W liście do prezydent Hanny Gronkiewicz-Waltz pisali: „Latem 2012 roku wycięto blisko 6000 drzew po praskiej stronie Wisły. Zimą wycięto ponad 1/3 drzew w Ogrodzie Krasieńskich. I zawrzało z powodu drzew. Gniew ludzi jest wielki. I będzie coraz większy wobec zaniedbań i arogancji urzędników (...). Zlekceważono mieszkańców podczas konsultacji społecznych w 2011. Okłamano nas. Mówiono o kilkudziesięciu drzewach do wycięcia, wycięto ich aż 337, w tym kilkanaście kwalifikujących się na pomniki przyrody”.

– Warszawa to kanał, a politycy mają kompleksy. Nie chcą niczego więcej poza dostojnym przechadzaniem się betonowymi alejkami. To, co stało się w Ogro-

dzie Krasieńskich, to skandal – oburza się Malga Kubiak, undergroundowa artystka, która zaangażowała się w obronę miejskiej zieleni. Razem z Karolem El Kashifem, również aktywistą miejskim, poszli przysłuchiwać się obradom rady miasta. – Dyskusje dotyczyły bezprawnej wycinki 337 drzew, w większości zdrowych. Z opowiadania Renaty Kaznowskiej (dyrektor Zarządu Terenów Publicznych – przyp. red.) wynikało, że specjalistycznej ekspertyzy nie było. Nic w jej argumentacji się nie zgadzało. Podczas dyskusji nieporuszona została sytuacja dewastacji starych, lecz zdrowych drzew, środowiska naturalnego kaczek, ptaków, jeży, ślimaków czy nawet psów wizytujących teren. Przecież każdy ma w parku swoje miejsce. Coś takiego jak ekosystem nie było przez polityków brane pod uwagę – komentuje.

Urzędnicy z Zarządu Terenów Publicznych odpierają zarzuty aktywistów, twierdząc, że renowacja Ogrodu w ich założeniu jest słuszna i potrzebna. Na stronie internetowej ZTP pojawiło się wiele oświadczeń i wyjaśnień całej

**337 ściętych drzew w warszawskim Ogrodzie Krasieńskich pobudziło mieszkańców do działania – aktywizacja w sieci i na ulicach jest wielka, a petycje w obronie zieleni podpisują warszawiacy ponad podziałami.**

Uciekanie w gęszcz przyrody to marzenie mieszczuchów. Zdjęcie z projektu „365 drzew” Cecylii Malik, artystki, która angażuje się w akcje w obronie przyrody.

sprawy. Pracownicy wyjaśniają, że żadne drzewo nie było uznane za pomnik przyrody i nie zostały one ścięte z myślą o budowie apartamentu. Dalej można przeczytać, że „prowadzona kampania dezinformacji wprowadzaniem mieszkańców w błąd nastawiona jest na wywołanie efektu medialnego i niepokoju”. Jedno jest faktem: te 337 ściętych drzew pobudziło mieszkańców do działania – aktywizacja w sieci i na ulicach jest wielka, a petycje o ochronę zieleni podpisują wcześniej niezaangażowani warszawiacy.

Po wycince gniew mieszkańców wcale nie ucichł. Wręcz przeciwnie – zaczęto zapalać znicze w intencji ściętych drzew, organizować performanse, jak ten, w którym symbolicznie pochowano sowę mającą dom w Ogrodzie, lecz także organizować się – oczywiście w Internecie. W facebookowej grupie „Zielona moc” zgromadzonych jest prawie 1500 aktywistów, którzy wymieniają się linkami, spostrzeżeniami, pomysłami na akcje i protesty. Z tej i innych podobnych nieformalnych grup dowiadują się o kolejnych planach miasta – na fali popularności tematu Ogrodu Krasieńskich wypłynęła wycinka drzew w stołecznym Ogrodzie Saskim, która też spotkała się ze zdecydowanymi reakcjami mieszkańców.

## Drzewa czy garaż?

Sprawa Ogrodu Krasieńskich nie jest odosobniona. W Łodzi głośno było o likwidacji terenów zielonych jednej z największych spółdzielni mieszkaniowych w kraju – „Śródmieście”. – W czerwcu 2011 r. spółdzielnia zaskoczyła nas próbą ogrodzenia skweru oraz parkingu, na którym od 30 lat mieszkańcy zostawiali swoje samochody. Dowiedzieliśmy się, że auta mają być zabrane, bo w tym miejscu stanie wielopoziomowy garaż, a drzewa rosnące pośród miejsc parkingowych i część drzew ze skweru, gdzie powstanie apartamentowiec, zostaną ścięte – opowiada Anna Ginalska, jedna z mieszkanki spółdzielni zaangażowanych w obronę tamtejszej zieleni.

Sprawa sporu między spółdzielnią a mieszkańcami ciągnie się już prawie

dwa lata. Doszło do absurdu, w którym mieszkańcy podali do sądu własną spółdzielnię, która pieniądze na rozprawy pobierała z ich czynszu. Po roku przepychanek Ginalska wraz z mieszkańcami postanowiła poprosić o pomoc Klub Gaja wspierający proekologiczne akcje. – Aktywiści do nas przyjechali, a ich ekspertyza wykazała, że wycinka drzew spowoduje naruszenie i wręcz likwidację miejsc lęgowych ptaków. Gaja wystąpiła jako strona przeciw spółdzielni, jednak ta postanowiła przed ogłoszeniem wyroku samowolnie ściąć drzewa. Pod osłoną nocy pojawili się mężczyźni z piłami, którzy obudzili okolicznych mieszkańców. Przestraszeni przez obrońców drzew uciekli, nie kończąc wycinki – opowiada Ginalska.

Sprawa wciąż jest w toku. Ostatnia rozprawa sądowa zakończyła się ugodą, w myśl której spółdzielnia zobowiązała się do niewycinania w przyszłości jakichkolwiek drzew na spornym terenie, a lokatorzy mogą dalej domagać się przywrócenia skweru do stanu poprzedniego. Aktywiści obecnie czekają na kolejne terminy rozpraw.

## Zieloni artyści

Temat drzew i zagospodarowania miejskiej zieleni nie jest obcy artystom. Joanna Rajkowska swoim Dotleniaczem wzbudziła nie małą sensację. Jej projekt zainstalowany na placu Grzybowskiem w centrum Warszawy został ciepło przyjęty nie tylko przez krytyków, lecz także przez okolicznych mieszkańców, którzy w letnie dni przychodzili nad obiekt



GRAZYNA MYSLIŃSKA/FORUM

z kocami i spędzali wspólnie czas. Gdy projekt dobiegł końca, ludzie domagali się kontynuacji. Okazało się, że nawet w warszawskim Śródmieściu pełnym kawiarni, klubów i innych miejsc, gdzie można spędzać wspólnie czas, ludzie są spragnieni sąsiedztwa przyrody.

Z kolei Anna Myca postanowiła w 2007 r. przyozdobić zaniedbane filary wiaduktu w centrum stolicy. Zainstalowała na nich sztuczny bluszcz, który ożywił jedno z największych skrzyżowań w mieście.

Dwa lata później Paweł Althamer stał się projektantem „Raj” w Parku Rzeźby na Bródnie. Panujący tam unikatowy mikroklimat, rzadko spotykane odmiany drzew i krzewów, fontanny oraz liczne ławki stały się miejscem okupowanym przez pragnących zaznać spokoju mieszkańców. Co ciekawe, stołeczne Bródno, stereotypowo kojarzone

Warszawiacy, którzy protestowali przeciw wycince drzew w Ogrodzie Krasieńskich, napisali do prezydent Hanny Gronkiewicz-Waltz list: „Gniew ludzi jest wielki. I będzie coraz większy wobec zaniedbań i arogancji urzędników”.

z wielkimi blokami i przemocą, okazało się równie wrażliwe na przyrodę jak bardziej „elitarnie” dzielnice. „Raj” był miejscem, o które dbał nie tylko artysta, lecz również mieszkańcy. Ci reagowali na rzadkie próby wandalizmu, czując się związani z namiastką żywej przyrody w zaniedbanym dotąd parku.

– Znaczenie terenów zielonych w mieście jest fundamentalne. Człowiek nie może żyć bez natury, musi mieć miejsce, gdzie może odpocząć na świeżym powietrzu w ciszy i pięknie. Tereny zielone są mieszkańcom miast potrzebne do normalnego, zdrowego funkcjonowania. Moja przyjaciółka Monika Drożyńska powiedziała mi kiedyś: „Miasto to nie firma, miasto jest po to, aby mieszkający w nim ludzie byli szczęśliwi”. A ludzie nie mogą być szczęśliwi bez drzew i trawy, po prostu bez terenów zielonych w mieście – mówi Cecylia Malik, artystka żywo zainteresowana naturą. Jak tłumaczy: – Moja przygoda z zielenią miejską zaczęła się od projektu artystycznego „365 Drzew”, podczas którego każdego dnia wspinałam się na jedno drzewo i codziennie fotografię to uwidaczniającą wrzucałam na Facebooka. W ten sposób dzień w dzień pokazywałam inne miejskie drzewo. Projekt zyskał aprobatę w sieci, poznałam dzięki niemu wielu ekologów, którzy zaczęli mnie prosić, abym weszła na konkretne drzewo, bo urzędnicy chcą je wyciąć – opowiada Malik. Za realizację tego projektu artystka otrzymała ty-

tuł Kultury Roku 2010, a fundacja Bęc Zmiana wydała album, w którym można zobaczyć wszystkie fotografie. 12 marca w krakowskim Bunkrze Sztuki otwiera się nowa wystawa artystki „Rezerwat Miasto”, w której ponownie poruszy temat natury w przestrzeni miejskiej.

## Objąć drzewo, obejść prawo

O drzewach w mediach robi się głośno, gdy wybucha awantura w ich obronie, taka jak ta przeciw wycince w Ogrodzie Krasieńskich. Ale społecznicy i entuzjaści robią swoje po cichu. Regularnie gminy organizują akcje sadzenia drzew. 10 października na całym świecie obchodzi się Dzień Drzewa, który służy propagowaniu zieleni miejskiej. W tę sprawę bardzo zaangażowany jest m.in. Klub Gaja, który od 11 lat organizuje akcje wkopywania sadzonek. Do tej pory udało im się posadzić 314 tys. drzew. Wydaje się, że to dużo, lecz według statystyk rocznie na świecie pod topór idą lasy o obszarze Polski.

– W takim mieście jak Łódź rocznie wycina się około 10 tys. drzew, lecz sadzi o wiele mniej. Prawo nakazuje, by każde wycięte zostało zastąpione nową sadzonką, lecz łatwo je obejść – mówi Anna Ginalska. I ma rację. Ustawa o ochronie przyrody dokładnie wskazuje, że każde drzewo ścięte trzeba zastąpić innym. Ma się na to trzy lata – tyle czasu prawo daje przesadzonemu lub nowemu drzewu na zakorzenienie się w innym miejscu. W razie gdy właściciel posesji nie zastosuje się do rozporządzenia, czekają go kary – te są różne w zależności od rodzaju i wielkości drzewa. Obowiązek zapłacenia grzywny umarza się po pięciu latach, a nie jest trudno przedłużyć ten okres. Sama ustawa daje wiele możliwości: od wnoszenia o braku wolnych funduszy na zapłatę kary, po dochodzenie, czy ścięte drzewo nie było chore i nie zagrażało pobliskim budynkom (wtedy nie wnosi się żadnych opłat). Jak pokazuje przykład łódzkiej spółdzielni „Śródmieście”, patenty działają, a drzewa ścina się nawet wtedy, gdy zostanie to sądowo zakazane.

W pogoni za zyskiem zapomnieliśmy o przestrzeni służącej relaksowi, niekoniecznie na drugim końcu świata. Najnowsze badania Charlesa Watsona z Uniwersytetu Kalifornijskiego w Los Angeles jasno wskazują, że długi spacer lepiej wpływa na nasze zdrowie niż ciężkie godziny w siłowni – chudniemy proporcjonalnie tyle samo, lecz nie narażamy serca na przeciążenia i nie skacze nam, jak fanom siłowni, poziom insuliny. Nie na darmo nasze babcie mówiły, że „przewietrzają one mózgi”. Tylko gdzie spacerować w mieście?

## Przyroda vs. supermarket

Jednym z najciekawszych obiektów parkowych w Polsce jest działający od kwietnia do października Ogród Doświadczeń im. Stanisława Lema w Krakowie. Dzieci spędzają czas na świeżym powietrzu, a przy tym poznają podstawowe prawa fizyki. Prosto i przyjemnie. Pomysł umieszczenia instalacji edukacyjnych w parkowej przestrzeni miasta powstał już w 1924 r. w Norymberdze. Jego autorem był Hugo Kukulhaus, pedagog i matematyk. Po śmierci naukowca grupa pasjonatów zafascynowana jego twórczością wymogła na władzach miasta stałą działalność Pola Doświadczeń Zmysłowych. I tak od 1996 r. dziedzictwo niemieckiego twórcy wciąż rozwija się o innowacyjne pomysły (jak kawiarenka dla osób niewidomych), przyciągając tym samym sponsorów.

Parków tematycznych działających w Polsce nie brakuje – są te poświęcone historii regionów, faunie i florze, a także czysto rozrywkowe, np. z miniaturami słynnych budowli. Zimą eksponaty trafiają pod dachy, więc parki działają sezonowo. Miastom prócz tego typu atrakcji potrzeba stałych, działających również zimą obiektów. Bo jak twierdzi Cecylia Malik: – O zieleni w mieście trzeba pisać, mówić, bronić wszystkich skwerków i każdego drzewa, a przede wszystkim pokazywać piękno przyrody miejskiej i podmiejskiej. Samemu chodzić na spacer, włożyć się, wiosną robić pikniki i wypoczywać ze znajomymi w parkach, nad miejską rzeką, a nie w supermarketach. ☞

## Zielone projektowanie



ANTOINE LORIGNIER/AFP

### → NA WIADUKCIE KOLEJOWYM

High Line to wyjątkowy nowojorski park zasadzony w miejscu nieczynnej linii kolejowej w dzielnicy Chelsea. Mieszkańcy okolicznych domów zjednoczyli się i zawalczyli, by nie burzyć charakterystycznej estakady, lecz przekształcić ją w unikatową na skalę światową trasę spacerową, która rocznie przyciąga ok. 3 milionów ludzi. Na estakadzie wykorzystano samosiewne gatunki roślin, które porastały dawniej High Line. Rośliny zostały tak dobrane, że kwitną od kwietnia aż do listopada. [www.thehighline.org](http://www.thehighline.org)



WORLD LANDSCAPE ARCHITECTURE

### → NA BARCE

Projekt „Seeds of Change” powstał we współpracy projektantki Gitty Gschwendtner z brazylijską artystką Marią Therez Alves. Śledząc historię angielskich statków handlowych, odkryli, że od XVII w. aż do początków wieku XX były one obciążane ziemią. Po przybyciu do portu wyrzucano do rzeki niepotrzebny balast wraz z ukrytymi w nim nasionami roślin. W nawiązaniu do tej historii powstał pływający ogród-barka, w którym znajdziemy egzotyczne niegdyś rośliny, które z czasem na dobre zadomowiły się w Anglii. Cumuje w porcie pomiędzy Bristol Bridge a postojem taksówek przy Castle Park Water.



BEW

### → W KORYCIE RZEKI

Malowniczy parkowy szlak spacerowy biegnie przez centrum Walencji. Po gigantycznych powodziach na początku lat 50. ubiegłego wieku Hiszpanie postanowili zmienić bieg rzeki Turii i wyprowadzić ją poza miasto. W osuszonym korycie stworzono park oraz wiele ciekawych instytucji kultury. Miasto Sztuki i Nauki zaprojektował słynny hiszpański architekt Santiago Calatrava. Spacer korytem rzeki należy do jednej z większych atrakcji miasta.

## Wielkie drzewa

→ **Dąb Bartek** (na zdjęciu) – najstynniejsze drzewo w Polsce. Od około 700 lat rośnie między Zagnańskiem i Samsonowem (gmina Zagnańsk), w województwie świętokrzyskim. Obecnie zagrożony zawaleniem. Ministerstwo środowiska wstępnie przeznaczyło 2 mln zł na budowę łuku, na którym podwieszane byłyby gałęzie tego giganta.

→ **Platan** – Drzewo Roku 2012. Klub Gaja co roku ogłasza konkurs na drze-

wo roku z okazji Święta Drzewa (10 października). W zeszłym roku konkurs zwyciężył 200-letni Platan z Kóz z województwa śląskiego.

→ **Hyperion** – najwyższe drzewo świata odkryte w 2006 r. w Redwood National and State Park w Kalifornii, ta sekwoja liczy 115,61 m.

→ **The Karri Knight** – najwyższe drzewo w Europie. Ten 72-metrowy eukaliptus różnobarwny rośnie w de Canas w Portugalii.



CEZARY POLAK

# Google polskiej humanistyki

Pomnikowa postać nauki. Autorka niewygodnych pytań i gorzkich odpowiedzi. Charyzmatyczna wychowawczyni zastępów wybitnych badaczy literatury, pisarzy i feministek. W książce „Niedobre dziecię”, wywiadzie rzece w serii „Janion. Transe – Traumy – Transgresje” udzielonym Kazimierze Szczuce, **prof. Maria Janion** odkrywa nieznane oblicze.

**P**rzypominacie sobie szarżę Jacka Nicholsona w „Lśnieniu”, usiłującego sforsować drzwi toalety, w której przed opętanym mężem schroniła się żona z synem? Pamiętacie przeżenie malujące się na twarzy kilkuletniego dziecka? Wiedzieliście o tym, że być jak Maria Janion oznacza doświadczyć strachu w czasie, gdy jest się wobec niego bezbronnym, we wczesnym dzieciństwie – bać się tak jak Danny w filmie Stanleya Kubricka? I mieć ojca alkoholika, który przepija otrzymany w posagu majątek ziemski i znęca się nad rodziną? „W mojej pamięci zapisała się straszna scena, kiedy ojciec dobija się do drzwi domku, a może pokoju, w którym kryjemy się z bratem i z mamą”. „(...) Na drzwiach była tak zwana zaszczepka, czyli haczyk. Pod wpływem tego walenia wszystko się trzęsie, a ja – zdrętwiała – obserwuję zaszczepkę. Puści czy nie puści” – wyznaje Kazimierz Szczuce.

Dramatyczne doświadczenia z tamtego okresu będą miały kolosalny wpływ na osobowość i wybory światopoglądowe przyszłej uczonej. Zaryzykuje, że określiły także jej zainteresowania badawcze. Po traumie z dzieciństwa, po tym, jak maltretowana matka nie znalazła pomocy ani wsparcia duchowego wśród kleru, pozostał jej trwały uraz

do Kościoła. „Księża dość jasno jej wtedy przekazali swoje stanowisko – że jest, razem z nami, dziećmi, przeznaczona do wykończenia, że nie ma od tego odwrotu. Dźwigaj swój krzyż, kobieto, i tyle. O rozwodzie albo odejściu nawet nie myśl...”. Jako kilkulatek na własnej skórze boleśnie odczuła, na czym polega uwikłanie w patriariat i nierówność płciową – problemy, które w przyszłości staną się osiami jej aktywności naukowej i społecznej.

## Kwestia przetrwania

Ludwika Janionowa zdecydowała się jednak na desperacki krok. Postawiła wszystko na jedną kartę i bez grosza przy duszy wraz z dziećmi uciekła z rodzinnych Baranowicz do Wilna. Miasto nad Wilią będzie dla Marii Janion miejscem na Ziemi, z którego – w sensie duchowym – nigdy nie wyjechała. Na razie jednak Misia, jak nazywano ją w rodzinie, cierpi biedę i doświadcza kolejnego bolesnego rozstania. Matka oddaje ją na odchowanie do lepiej sytuowanej rodziny w Siedlcach. Rozłąka trwa sześć lat. „To była kwestia fizycznego przetrwania. Konieczność” – wspomina.

Misia źle się uczy, kradnie czekoladki w sklepach, zostaje przyłapana i publicznie upokorzona. Namiętnie czy-

## MARIA JANION

ur. 1926 r. Badaczka polskiej literatury i kultury, zwłaszcza XIX i XX w. Profesorka Instytutu Badań Literackich Polskiej Akademii Nauk. Ma na koncie kilkadziesiąt książek, kilkaset rozpraw, recenzji i artykułów. Działaczka opozycyjna, społeczna, ceniona wykładowczyni i mentorka.

JACEK DOMIŃSKI/REPORTER



ta prasę i książki, ale ta pasja nie robi na nikim wrażenia. Wujostwo planuje wykształcić krewniaczkę na krawcową i szybko wydać za mąż. Przed losem fraucymeru ratuje ją matka. W 1937 r. Misia wraca do Wilna. Pożera książki i nadal fatalnie się uczy. Zostaje nawet na drugi rok w szóstej klasie, co w kontekście jej osiągnięć naukowych brzmi niewiarygodnie. W Wilnie przeżywa pierwszą fascynację erotyczną, do której impuls daje wizyta w kinie na projekcji „King Konga”. „O co w tym chodzi? Dlaczego małpa? Nie umiem rozebrać tego po freudowsku” – mówi. Notabene do fascynacji postacią King Konga przyznaje się także Tadeusz Różewicz, ulubiony poeta Marii Janion.

Paradoksalnie dzięki wybuchowi wojny dostaje się do upragnionego gimnazjum im. Piotra Skargi. Wrześniowa klęska i okupacja wyrównały podziały stanowe – po wkroczeniu Armii Czerwonej słynna szkoła (przynajmniej na jakiś czas) stała się egalitarna. Po inwazji nazistowskich Niemiec Maria Janion doświadczy kolejnej traumy, która zderminuje jej twórczość. Jako nastoletnia dziewczyna obserwuje exodus wileńskich Żydów wyprowadzanych z getta w Ponarach na miejsce egzekucji. Poprzysięga, że ich pomści. Słowa dotrzyma i powetuje Holocaust tak, jak na humanistkę przystało. Zaprzyjaźni się z ocalałcami z Zagłady – Anielą Kott (siostrą Jana Kotta), Aliną Brodzką, Samuelem Sandlerem. Będzie uczyć studentów, że antysemityzm jest hańbą człowieka. W epoce Gomułki taka postawa – najdelikatniej mówiąc – jest mało komfortowa.

Na fali antysemickiej nagonki w marcu 1968 r. traci posadę w gdańskiej Wyższej Szkole Pedagogicznej. Ona i jej



Najstarsze zdjęcie Marii Janion, jedno z jej ulubionych. Powyżej: z przyjaciółką Maryną Żmigrodzką w okolicach Budapesztu.



przyjaciółka Maria Żmigrodzka są nazywane „duchowymi Żydówkami”. Jeden z ubeków próbuje udowodnić, że jest Żydówką biologiczną, bo urodziła się w Mońkach (miasteczko na Podlasiu), a Moniek to przecież żydowskie nazwisko.

Bo być jak Maria Janion oznacza doświadczać dyskomfortu wynikającego z zadawania trudnych, niepopularnych pytań i udzielania równie niełatwych odpowiedzi, gorzkich do zaakceptowania przez rodaków.

### Rozgorączkowana romantyczka

Najważniejszego aktu zemsty na naziściach i antysemitach wszelkiej maści Maria Janion dokonała w jesieni życia. Najpierw napisała o tematach żydowskich w twórczości i biografii Mickiewicza w książce „Do Europy tak, ale razem z naszymi umarłymi”, a potem wydała „Bohatera, spiszek, śmierć. Wykłady żydowskie”. Zdmaskowania antysemickich fobii Stanisława Staszica i Zygmunta Krasińskiego oraz prekursorskiego charakteru antysemityzmu jego sztandarowego dzieła, „Nie-Boskiej komedii”, w którym po raz pierwszy w literaturze polskiej pojawia się teza, że Żydzi

chcą wykorzystać rewolucję do zdobycia panowania nad światem, do dziś nie mogą uczonej darować niektórych (nie tylko prawnicowi) aktywiści.

Kiedy Maria Janion zaczęła być tą Marią Janion, której książek, jeśli chce się uchodzić za humanistę, nie wypada nie znać i która zabiera głos nie tylko w sprawach literackich i nie tylko w murach uniwersytetów? Ponadakademicki rezonans oraz ogólnopolską siłę rażenia swoich poglądów badaczka ujawniła w „Gorączce romantycznej” (1975). W rozprawie akcentowała wolnościowe i rewolucyjne tendencje tamtej epoki, kwestionowała utarte schematy interpretacji i oceny oraz rehabilitowała twórców niesłusznie skazanych na zapomnienie lub kwalifikowanych jako epigonów i autorów drugiego sortu. To dzięki prof. Janion nie tylko poloniści odkryli tzw. czarny romantyzm z jego frenetycznymi arcydziełami: „Zamkiem Kaniowskim” Seweryna Goszczyńskiego oraz „Marię” Antoniego Malczewskiego, pierwszą polską powieścią poetycką, na czele. Żeby być jak Maria Janion, trzeba umieć czytać ostrożnie i szukać wartościowych treści, także poza kanonem i giełdą literacką.

### Popkultura w służbie humanistyki

Ale przełomowym dziełem, które uczyniło z prof. Marii Janion postacią w kręgach humanistycznych niemalże kultową, było seminarium w Gdańsku, do którego badaczka wróciła po tym, jak na bazie WSP powstał samodzielny uniwersytet. Plonem tych zajęć była seria „Transgresje”, w ramach której w latach 80. ukazały się tomy „Galernicy wrażliwości”, „Odmieńcy”, „Osoby”, „Maski” i „Dzieci” (a w planach byli jeszcze: „Błuzniery”, „Aktorzy”, „Wygnańcy”, „Sobowtóry”, „Wizjonerzy”, „Wampiry” i „Tragiccy”).

„Transgresje” były pionierską na naszym gruncie próbą uprawiania refleksji humanistycznej. Zawierały artykuły Marii Janion oraz jej uczniów i studentów, fragmenty literackie, a także zdjęcia i rysunki. Ich przedmiotem i tematem były zarówno dzieła kultury wysokiej, jak i masowej, której większość środowiska akademickiego odmawiała jakiegokolwiek wartości, a jeśli niektórzy przyznawali, robili to raczej ze wstydem.

„To było jak zew krwi. Nagle spotkałam mój klan, moje plemię. Do 20. roku życia czułam się wyobcowana, inna. Bo czytałam. A na tym seminarium była Maria Komornicka, która postanowiła zamienić się w Piotra Odmieńca Własta, i wychowany bez kontaktu z ludźmi Kasper Hauser” – mówiła w jednym z wywiadów Izabela Filipiak.

Poetka Anna Janko twierdzi, że: „Szczęśliwi są Mistrzowie, Mentorzy, Nauczyciele, którzy potrafią skupić wokół siebie chłonne młode umysły. Janion była z nami szczęśliwa. (...) Była zarzewiem, inspiracją, inicjacją. (...) Jej ślad jest do dziś wyraźny i łatwo rozpoznawalny w sposobie myślenia i pisania tych, którzy niegdyś byli jej studentami, bez względu na to, czy się do tego przyznają czy nie. Mamy ją we krwi”.

Anna Czekanowicz, poetka i tłumaczka, zwraca uwagę na pozanaukowy wpływ, jaki literaturoznawczyni wywarła na swoich uczniach: „Maria Janion zawsze była istotą dwoistą: z jednej



Maria Janion, Kazimiera Szczuka, „Janion. Transe – Trauma – Transgresje 1. Niedobre dzieci”, Wydawnictwo Krytyki Politycznej, 2012

Kazimiera Szczuka rozmawia z prof. Janion nie tylko o literaturze i nauce. Dzięki temu poznajemy również życie prywatne badaczki.

strony badaczką, z drugiej – kobietą skłonną do ryzyka. Kiedy na przełomie lat 70. i 80. rozmawiała w Gdańsku ze swoimi studentami, tak naprawdę prowadziła nie szkołę literaturoznawców, ale szkołę życia. (...) Pytaniem nieodgadnionym zostaje: jak wiele Maria Janion wiedziała (wie) o swojej niesłychanej mocy”.

Inny uczeń badaczki, prof. Bogusław Żyłko, pisze, że „trudno wymienić jakiś znaczący kierunek w dwudziestowiecznej humanistyce, który nie przyciągnąłby uwagi Marii Janion” – zaczęła od marksizmu, by po latach dojść do postmodernistycznego feminizmu.

### Wybuch mesjanizmu w religii smoleńskiej

Z okazji jubileuszu 85-lecia policzono, że prof. Janion wychowała blisko pół tysiąca uczniów – magistrów, doktorów, profesorów. Wbrew obiegowej opinii silną reprezentację stanowią mężczyźni – wśród nich są m.in. pisarze Stefan Chwin i Marek Bieńczyk. Spotkanie z charyzmatyczną profesorką zmieniło biografie wielu z nich. Bieńczyk, laureat Nike 2012, wspominał w wywiadzie radiowym, że kiedy przedstawił jej kiedyś wstępny rozdział swojego doktoratu, Marian Janion przeczytała notatki,



STEFAN MASZEWSKI/REPORTER

po czym zawiązywała: „Pan będzie pisał”. „To było bardzo ważne, że dostaliśmy od niej nowe papiery na drogę” – mówił autor „Tworek”.

Każda książka Marii Janion po 1989 r. wywoływała dyskusje społeczne. Najbardziej polemizowano z tezą o końcu paradygmatu kultury romantycznej, zawartą w „Projekcie krytyki fantazmatycznej. Szkicach o egzystencji ludzi i duchów” oraz zbiorze „Czy będziesz wiedział, co przeżyłeś”. I to jest chyba jedyny przypadek, kiedy uczona w pewnym sensie się pomyliła. Żyrowany przez środowiska prawnicze kulturowe powstaniowych oraz postsmoleński ferment jest formą odrodzenia romantycznego zaszczepienia.

„Kiedy teraz, na starość, obserwuję wybuch mesjanizmu w religii smoleńskiej, muszę przyznać, że w dzisiejszym świecie jest to rzecz zdecydowanie dziwaczna. (...) Przeświadczenia mistyczne (...) tutaj wpasowane zostały w techniczne, lotnicze sprawy (...)” – mówi Kazimierz Szczuka.

### Do sypialni między książkami

Bycie jak Maria Janion oznacza wierność swoim poglądom – także w sferze obyczajowej. Rozmowa sędziwej profesorki z ulubioną uczennicą jest tego dowodem. Janion przyznaje się do fascynacji kobietami, dementuje środowiskowe pogłoski o rzekomych związkach z Aliną Witkowską i Marią „Maryną” Żmigrodzką. Wyraźnie rozgranicza sferę prywatną i publiczną.

Jeśli ktoś na uparte szuka sensacji, niech obejrzy dokument Agnieszki Arnold. Dokumentalistka odwiedza Marię Janion w domu. Małe mieszkanie na warszawskiej Ochocie zawalona jest po sufit książkami. Publikacje piętrzą się wszędzie, również w kuchni i łazience. W jednej ze scen profesorka, żeby ułożyć się do snu, toruje sobie drogę wśród sterty tomów. Pod wrażeniem erudycji swojej mistrzyni Marek Bieńczyk nazwał ją kiedyś „Google'em przed Google'em”. Jeśli chcecie być jak Maria „Google” Janion, musicie mieszkać jak w bibliotece. ☞

KATARZYNA SROCZYŃSKA, ILUSTRACJE DAWID RYSKI

# Trening życia

Albo inspiracja, albo desperacja – to dwie siły, które popychają nas do skorzystania z **life coachingu**.

**D**wie kobiety siedzą w restauracji. „Jedzenie tu jest naprawdę okropne” – mówi jedna. A druga dodaje: „I w dodatku porcje takie małe”. Ten żart Woody Allen w filmie „Annie Hall” pointuje gorzko: „Tak właśnie myślę o życiu. Jest pełne bólu, cierpienia i nieszczęść, a na dodatek tak szybko przemija”. Do niedawna snobowaliśmy się na takie żarty o terapeutach, psychoanalitykach i psychiatrach, dzięki którym czuliśmy się na warszawskim placu Zbawiciela, w Sopocie czy na krakowskim rynku prawie jak w Nowym Jorku. Od kiedy jednak bywanie na targu z ekożywnością i bieganie stało się bardziej modne niż opowiadanie żartów przy wódce, pojawił się nowy bohater rozmów: coach. I nie chodzi wcale o trenera z siłowni.

Coaching to – jak definiuje Piotr Pilipczuk, jeden z pierwszych polskich coachów – proces, którego głównym celem jest wzmacnianie i wspieranie człowieka w samodzielnym dokonywaniu zamierzonej przez niego zmiany. – Coaching bardziej skupia się na teraźniejszości, na posiadanych zasobach, na możliwościach i na tym, jak osiągać cele, w odróżnieniu od terapii, która częściej koncentruje się na leżących w przeszłości przyczynach obecnych problemów – mówi dr Lidia Czarkowska, coach, psycholożka i socjolożka, szefowa Centrum Coachingu w Akademii Leona Koźmińskiego w Warszawie.

– Panująca obecnie moda na coaching sprawia, że coraz więcej osób

testuje tę metodę ludzkiego potencjału na sobie. I bardzo dobrze, bo dopiero przez osobiste doświadczenie można przekonać się, na czym polega unikalna skuteczność coachingu – dodaje.

## Iść do przodu

Coaching to druga po IT najszybciej rozwijająca się branża na świecie. Z szacunków Polskiej Izby Firm Szkoleniowych wynika, że w Polsce pracuje dziś około 3 tys. coachów.

Najbardziej popularny jest coaching biznesowy. Pracodawca funduje go menedżerom w ramach ich rozwoju zawodowego. Różnica między life a business coachingiem często polega jednak na tym, kto płaci: indywidualny klient czy firma. – Niezależnie czy jest to coaching prowadzony w firmie, czy opłacany bezpośrednio przez klienta, to i tak od trzeciej sesji coachingowa praca obejmuje całość życia, bo nasza skuteczność i poczucie spełnienia w każdej roli, czy to zawodowej, czy prywatnej zależy od wewnętrznej spójności z tym, kim jesteśmy – mówi Lidia Czarkowska. O tym, że rośnie też popularność life coachingu, świadczy liczba osób, które chcą się go uczyć (żeby potem z niego żyć). – Coraz więcej osób zapisuje się na studia podyplomowe z life coachingu, które prowadzimy w Collegium Civitas. Podczas pierwszego naboru trzy lata temu zgłosiło się 18 osób, ostatnio prawie 60 – mówi Kaja Kozłowska, coach i socjolog z Centrum Life Coaching Polska.



Na coaching najczęściej zgłaszają się 20-, 30- i 40-latki. Są to osoby po studiach, wśród nich więcej jest kobiet. – Zwykle przychodzą do mnie z polecenia albo znajdują mnie przez Internet. Pomagam im wydobyć to, co mają w tyle głowy, uświadomić sobie swoje talenty. Ostatnio miałam klientkę, która straciła pracę z powodu reorganizacji w firmie. Uznała, że to dobry moment, żeby się zastanowić, co tak naprawdę jest jej pasją – mówi Iwona Kubiak, life coach i wykładowca w Collegium Civitas. Jak tłumaczy: – Moi klienci są skoncentrowani na rozwoju i chcą iść do przodu. Czego oczekują od life coacha?

## Przykry smak niespełnienia

Coachowie podkreślają, że zajmują się celami, a nie problemami, ale klienci uparcie przychodzą z problemami. Zdaniem Lidii Czarkowskiej trzy najczęstsze to brak równowagi między życiem prywatnym i zawodowym (przepracowani ludzie chcą się zająć życiem prywatnym, a kobiety po urlopach macierzyńskich zastanawiają się, jak wrócić do pracy), kwestie związane z relacjami oraz kryzysy zdrowotne i finansowe (do coacha można się zwrócić o pomoc i gdy firma się wali, i gdy chce się schudnąć). Na Zachodzie w ramach coachingu istnieje wiele specjalizacji, choćby diet coaching czy money coaching. Podobnie zmienia się rynek także w Polsce. Pojawiają się oferty skierowane do konkretnych grup albo dotyczące konkretnych problemów, na przykład coaching rodzicielski, relacji czy skierowany do osób chorych.

– Ostatnio trzech moich klientów zaczęło od tego, że ich problemem jest niskie poczucie własnej wartości. Sądę, że w ten sposób chcą powiedzieć: „Czuję się niespełniony”. Tak tłumaczą potrzebę zmian – mówi Iwona Kubiak.

Rośnie popularność coachingu rodzicielskiego. – Nawet prowadzenie samochodu wymaga nabycia wiedzy teoretycznej i praktycznej przed otrzymaniem uprawnień. Mierziło mnie, że można zostać rodzicem, nawet jeśli nie ma się zielonego pojęcia o wychowywaniu dziecka – mówi Gabriela Więckowska, która najpierw trafiła na warsztaty

z coachingu rodzicielskiego, a potem zdecydowała się na sesje indywidualne. – Miałam 32 lata, półroczne dziecko i wróciłam z dwuletniego pobytu za granicą. Musiałam sobie wszystko od nowa poukładać – opowiada Więckowska.

Wśród klientów Kai Kozłowskiej, która specjalizuje się w coachingu rodzicielskim, przeważają matki. Czasem przychodzą rodzice bardzo małych dzieci, bywa, że niemowląt, z pytaniem, jak w przyszłości rozmawiać z dzieckiem. Często – tak jak Gabriela Więckowska – najpierw trafiają na warsztaty, na których uczą się słuchania, świadomej obecności, szacunku dla cech, temperamentu i zdolności dziecka. Mamy maluchów szukają pomocy, gdy zastanawiają się, czy, kiedy i jak wrócić do pracy, jak zorganizować życie w domu i w firmie, żeby zadowolone były i one same, i domownicy, i pracodawca. Przychodzą, gdy muszą wybrać nianię albo przedszkole, a potem kiedy martwią się o to, jak ich dziecko funkcjonuje wśród rówieśników.

– Miałam świadomość, że aby umieć zadbać o dziecko, trzeba zadbać o siebie. Coach był nieocenioną pomocą w określeniu moich prawdziwych potrzeb i ponumerowaniu celów – Gabriela Więckowska nie kryje entuzjazmu dla tej metody. Ale nawet jej zwolennicy nie twierdzą, że coaching jest panaceum. Kiedy szukamy konkretnej wiedzy i umiejętności, lepiej pójść na szkolenie, a gdy chcemy przyjrzeć się własnym emocjom, warto poszukać terapeuty. Coach może komuś zalecić pójście na szkolenie, zasugerować terapię albo dać dobrą książkę do poczytania.

Więckowska, zanim trafiła do coacha, chodziła na terapię. – To zupełnie co innego. Terapeuta zajmuje się poważnymi problemami i grzebie w człowieku. Coach pomaga uporać się nawet z tak banalnymi sprawami, jak zmywanie garów! Co się jednak stało, że potrzebujemy profesjonalnej pomocy w codziennym życiu?

## Paradoks wyboru

Świat daje nam coraz więcej możliwości. Od naszych wyborów i działań zależy więcej, niż zależało dawniej. Psycho-

log Barry Schwarz, autor książki „The Paradox of Choice”, obliczył, że kiedy robi zakupy w supermarkecie – nie tak znowu wielkim – wybiera między innymi spośród 285 rodzajów ciastek, 75 gatunków mrożonej herbaty i 175 typów sosów do sałaty (a na koniec spośród 40 różnych past do zębów). A to przecież stosunkowo błahe codzienne wybory, przed którymi stajemy. Dawniej w sprawie zamążpójścia czy ożenku trzeba było zdecydować tylko „z kim”, bo wiadomo było, że tak i że jak najwcześniej. Dziś ta sama kwestia wymaga dziesiątek decyzji przez wiele lat: czy w ogóle, małżeństwo czy związek partnerski, ślub cywilny czy kościelny (w jakim kościele?), zaraz po studiach czy może później, a i opcji z kim jest coraz więcej. Im więcej możliwości wyboru, tym więcej wolności – to dogmat, który wyznajemy wszyscy bez względu na religię i poglądy polityczne. Zdaniem Schwarza to przekonanie ma jednak ciemną stronę: zbyt dużo decyzji do podjęcia oznacza paraliż. System się zawiesza. Codziennie docierają do nas 34 gigabajty danych (co można porównać do 100 tys. słów). Efekt? Otepienie intelektualne i emocjonalne – żeby przetworzyć tyle informacji, trzeba wyłączyć niektóre funkcje umysłu, na przykład te związane z empatią, altruizmem i tolerancją.

A że w coraz większym stopniu stajemy się twórcami własnej rzeczywistości, potrzebujemy większej świadomości, spojrzenia na życie z dystansu. Tyle że pędzimy przez nie w takim tempie, że w końcu łapiemy się na tym, że mamy perspektywę chomika w kołowrotku. Coaching pozwala się zatrzymać, i to w towarzystwie kogoś, kto będzie jak lustro odzwierciedlał naszą sytuację:

#### Ile to kosztuje i dlaczego tak drogo

Sesje life coachingu są tańsze niż coaching biznesowy – jedna kosztuje 250-300 zł (w biznesowym stawki są nawet dziesięciokrotnie wyższe). – Cenę kształtuje rynek. Kursy dla coachów są drogie, więc także ich praca sporo kosztuje – mówi Iwona Kubiak. Sesje terapeutyczne są tańsze, ale krótsze (zwykle 50-minutowe, a coachingowe trwają nawet półtorej godziny). – Na pewno też w coachingu efekty osiąga się szybciej niż w terapii – dodaje Kubiak.



życie, myśli, dylematy, emocje. – Coach jest jak uważne i zarazem magiczne lustro, które pozwala w procesie coachingu dostrzec siebie, po to, aby móc wyjść poza ramy bieżącej rzeczywistości. Tego na pewno nie dają warsztaty czy szkolenia – mówi Lidia Czarkowska. – Life coaching zatrzymuje w pędzie, w którym nie ma często ani sekundy na refleksję typu: „O co mi właściwie chodzi, po co robię to wszystko, co robię?” – dodaje Gabriela Więckowska.

#### Być i działać

Coach, którego podstawową metodą pracy jest rozmowa, zadawanie pytań i uważne słuchanie (wielopoziomowe, jak mówią specjaliści, bo obejmujące nie tylko słowa, ale także m.in. emocje), przypomina trochę starożytnego filozofa. – W coachingu nie chodzi o tworzenie nowych prawd, ale o odkrywanie tych odwiecznych. To kolejny sposób, adekwatny do naszej epoki i naszych czasów. Każda epoka ma przecież swoich odkrywców prawd odwiecznych. Teraz w tej roli występują coachowie razem z klientami – mówi Czarkowska.

Jak przyznaje Więckowska: – Udało mi się osiągnąć etap, w którym sama umiem się zatrzymać i przeprowadzić ze sobą minicoaching, ale ze sprawami większego kalibru zgłaszam się do spe-

cialisty. Z kolei Iwona Kubiak uważa, że dzięki coachingowi nauczyła się, jak przekładać idee na działanie. – W wypadku wielu moich klientów jest odwrotnie: to ludzie czynu, bardzo aktywni, którzy potrzebują więcej refleksji i samoświadomości. Coaching pozwala znaleźć równowagę między działaniem a byciem – mówi Iwona Kubiak. Te wyznania brzmią pięknie. Tyle że jedna z definicji coachingu mówi, że jego celem jest zwiększanie osobistej efektywności. A to już niepokoi. Korzenie tej metody sięgają sportu (za jednego z pionierów coachingu uważa się trenera tenisa Timothy'ego Gallweya) i może dlatego niektórzy obawiają się, że pod jej wpływem podzielią los enerdowskich pływaków.

– Jeśli jedyną miarą coachingu miałoby być tylko wzrost efektywności zewnętrznej, to rzeczywiście można by się zapędzić w kozi róg – przyznaje Lidia Czarkowska. Taki coaching mógłby się stać sposobem na ciągłe dokręcanie sobie śruby i narzędziem dla korporacji do manipulowania pracownikami. – Podstawowym celem i dla mnie istotą coachingu jest jednak podnoszenie jakości życia, bycie w zgodzie ze sobą i odkrywanie odpowiedzi na pytanie: po co tak naprawdę żyję, po co to wszystko? Pytanie zadawane tyle razy, aż dochodzi się do poziomu: czemu większemu niż ja ma to służyć? Wtedy może nastąpić głęboki wgląd w wartość naszych doświadczeń i początek świadomego działania zamiast nieustannej gonitwy za kolejnymi zadaniami – mówi Czarkowska. Ostatnio prowadzi między innymi coaching grupowy dla artystów, którzy jednocześnie są przedsiębiorcami i ze sztuki chcą się utrzymywać. Jak większość z nas szukają więc równowagi między samorealizacją i biznesem, między byciem i działaniem. Woody Allen, do którego wielu nadsłucha słabość (nawet jeśli regularnie uprawiają jogging i zdrowo gotują), w kwestii tej równowagi przypomina: „Życie jest zbyt krótkie, żeby je tracić na dyskusje o życiu. Lepiej je przeżyć”.

Autorka jest redaktorką naczelną magazynu „Coaching”

**Miarą mojego sukcesu jest spełnienie. Czy jestem spełniony? Zawodowo na pewno tak. Wiem jedno: tacy ludzie, jak ja, potrafią budować imperium.**

*Sukces to rzecz osobista. Dowiedz się, czym tak naprawdę jest dla projektanta*

**Roberta Kupisza.**

**NOWY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY.**

*Czytaj m.in.:*

**Gołota vs. Saleta**

*Tylko dla nas SPOWIEDŹ przed wyjściem na ring*

**Auta za miliony**

*TAJEMNICA klubu dżentelmenów kierownicy*

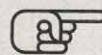
**10** najgroźniejszych **LUDZI** świata



**SUKCES. MAGAZYN LUDZI WYJĄTKOWYCH**

www.sukcesmagazyn.pl





ROZMAWIA PAWEŁ T. FELIS

# Nie chcę się już ścigać

Steven Soderbergh zawsze powtarza, że to nie my wybieramy role, tylko role wybierają nas. Coś w tym jest – mówi **Matt Damon**, odtwórca głównej roli i współscenarzysta filmu Gusa Van Santa „Promised Land”. Mogłem zagrać w „Tajemnicy Brokeback Mountain”, „Obywatelu Milku” czy „Avatarze”, ale nie zagrałem. Widocznie tak miało być.

„Ludzie filmu nie chcą już opowiadać bezpiecznych historyjek. Po apatii, która trwała od wielu lat, znowu przyszedł czas na kino zaangażowane” – mówili sześć lat temu, kiedy rozmawialiśmy przy okazji filmu „Dobry agent”. Co się od tamtej pory zmieniło?

Mnóstwo. Wtedy w Ameryce żyliśmy absurdalną wojną i oburzaliśmy się głównie na upojonych władzą polityków. Ale za chwilę okazało się, że ta siatka manipulacji i gry o wpływy idzie znacznie dalej. Bo tworzy skomplikowaną, polityczno-gospodarczą, wirtualną piramidę, która prędzej czy później musi runąć. I runęła.

## Przyszedł kryzys.

I dotknął wszystkich. Wydaje się, że recesja odbiła się głównie na wielkich miastach, ale naprawdę potworna jest na prowincji. Widzieliśmy to doskonale w czasie zdjęć do „Promised Land”: ludzie tracą swoje farmy, dorobek pokoleń, coś, czym zajmowali się całe życie. Kiedy jedziesz do tych miejsc, patrzysz na życie, które tam umiera. Ludzie rozpaczliwie próbują się więc czegoś złapać. Nie wierzą już w amerykański sen, a jednocześnie co chwilę pojawia się ktoś, kto próbuje sprzedać jakiś nowy mit.

Stąd się wzięła historia o korporacji, która próbuje skupować na prowincji ziemię pod wydobycie gazu łupkowego?

Tak naprawdę najpierw chcieliśmy zrobić film o elektrowniach wiatrowych. Czyli o ludziach, którzy zgadzają się wybudować na swoich ziemiach wieże-turbiny, bo wiedzą, że nie będą musieli nawet pracować, żeby mieć z tego zysk. Razem z Johnem Krasinskim, z którym pisaliśmy scenariusz, doszliśmy do wniosku, że to świetna metafora korporacyjnego, kapitalistycznego świata, który zarabia na tym, że sprzedaje „nic”. Operuje czymś wirtualnym i na tym zbija fortuny lub je traci. Ale gdy zaczęliśmy robić dokładniejszy research, okazało się, że sprawa wcale nie jest tak jednoznaczna. I zajęliśmy się gazem łupkowym.

Niektóre organizacje ekologiczne oskarżyły was zresztą, że krytykując firmy zajmujące się gazem łupkowym, działacie na korzyść tradycyjnych, paliwowych potentatów.

„Promised Land” nie jest ani reklamą, ani antyreklamą gazu łupkowego. W ogóle nie o to chodzi! To w gruncie rzeczy klasyczna opowieść o facecie, o „obcym”, który przyjeżdża do małego miasteczka i próbuje się w nim odnaleźć. Spotyka lu-

## MATT DAMON

Urodził się 43 lata temu w Cambridge, Massachusetts. Aktor, scenarzysta i producent filmowy. Laureat Oscara wraz z Benem Affleckiem za najlepszy scenariusz do filmu „Buntownik z wyboru”.

dzi zupełnie innych, niż się spodziewał, i sam okazuje się inny, niż myślą miejscowi. Najpierw próbuje ich uwodzić, kogoś udawać. Ale w końcu pod wpływem mieszkańców się zmienia, tak jak oni zmieniają się dzięki niemu. Gaz łupkowy jest tu tylko pretekstem: tak naprawdę interesowała nas amerykańska tożsamość.

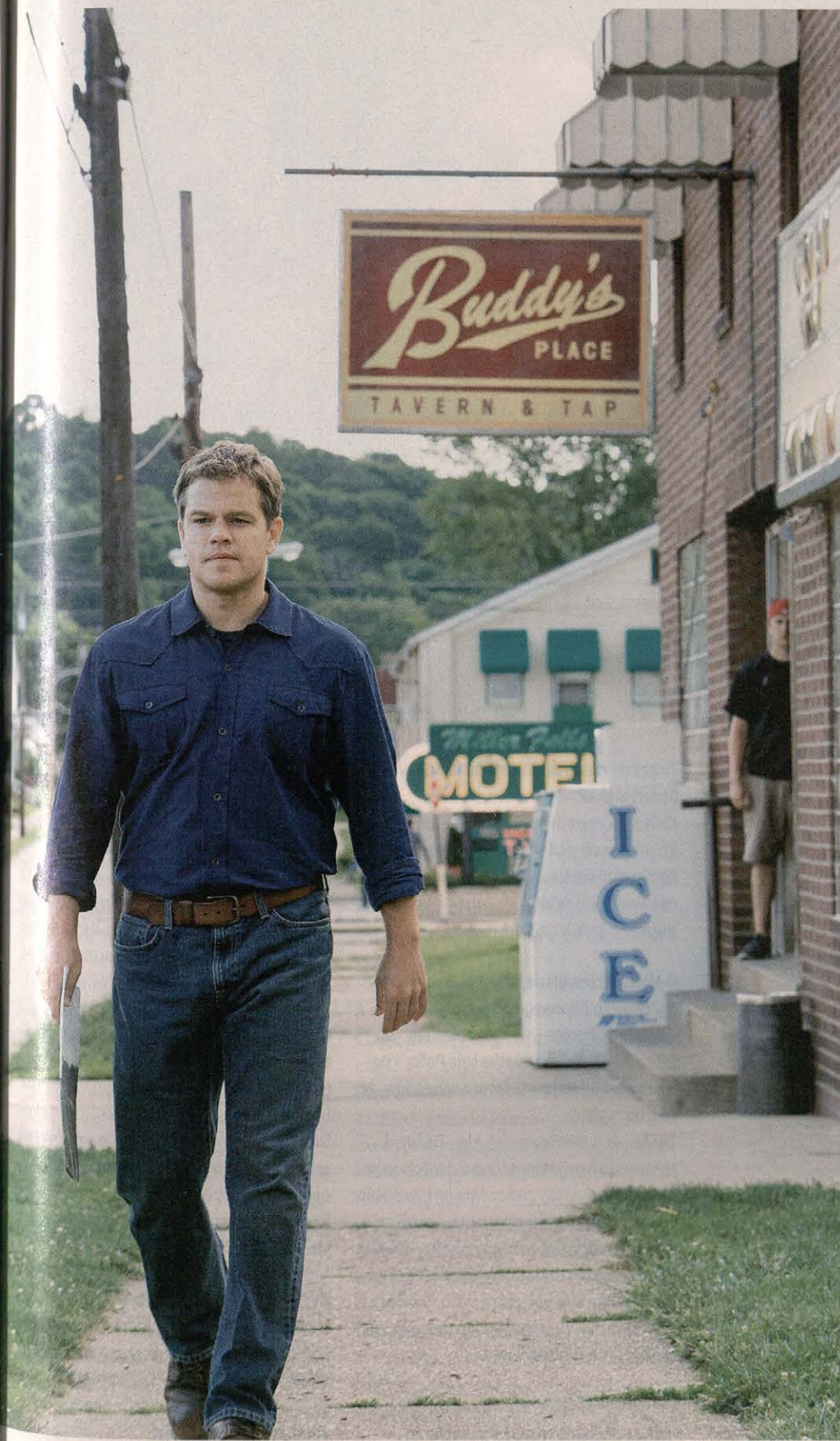
## To znaczy?

Chcieliśmy opowiedzieć o tym, skąd się ten kraj wziął, w jakim miejscu jest teraz i dokąd zmierza. Z jednej strony mamy tu pokolenie, które próbuje wpływać na innych perswazją, manipulacją, handlowymi trickami. Z drugiej – starego Franka, którego gra Hal Holbrook. Właśnie dlatego, że potrzebowaliśmy kogoś, kto będzie symbolem starej Ameryki: kraju, w którym było jeszcze miejsce na rozsadek i głos autorytetu.

Z tego zderzenia wynika głównie, że źródłem problemów USA jest krótkowzroczność.

Bo tak jest. Skąd się wziął kryzys? Głównie stąd, że politycy kompletnie odczyli się patrzeć na świat w dłuższej perspektywie. Naszą polityką rządzą wybory, więc ludzie z kongresu nie robią nic poza tym, że przychodzą do biura i pobierają pensje. Po co rozwiązywać

„Promised Land” to klasyczna opowieść o facecie, o „obcym”, który przyjeżdża do małego miasteczka i próbuje się w nim odnaleźć.



jakieś długofalowe problemy, skoro za chwilę i tak w polityce może ich nie być? Myślenie o wspólnocie, o tym, jakie będą konsekwencje takich czy innych decyzji na kolejne pokolenia, stało się archaizmem. I to się zemściło. Kredytowa gorączka, spekulacje kapitałem, szukanie natychmiastowego zysku... Napompowaliśmy balon, który musiał pęknąć. I wszyscy już widzą, że król jest nagi.

Dlaczego sam nie wyreżyserowałeś „Promised Land”?

Splot przypadków. Z powodu mojej choroby przedłużyły się zdjęcia do „Elizjum” Neilla Blomkampa, potem musiałem jechać na dwa tygodnie promować „Kupiliśmy zoo”. Żeby wyreżyserować „Promised Land”, musiałbym od razu zająć się przygotowaniem produkcji. A nie wyobrażam sobie, żeby tak długo nie było mnie obok moich dzieci. John był wściekły, bo zostaliśmy bez reżysera. A ja zadzwoniłem do Gusa Van Santa. Byłem w samolocie, kiedy poprosił, żeby wysłać mu e-mailem scenariusz. A gdy wylądowałem, dostałem od niego wiadomość: „Świetnie, zróbmy to razem”.

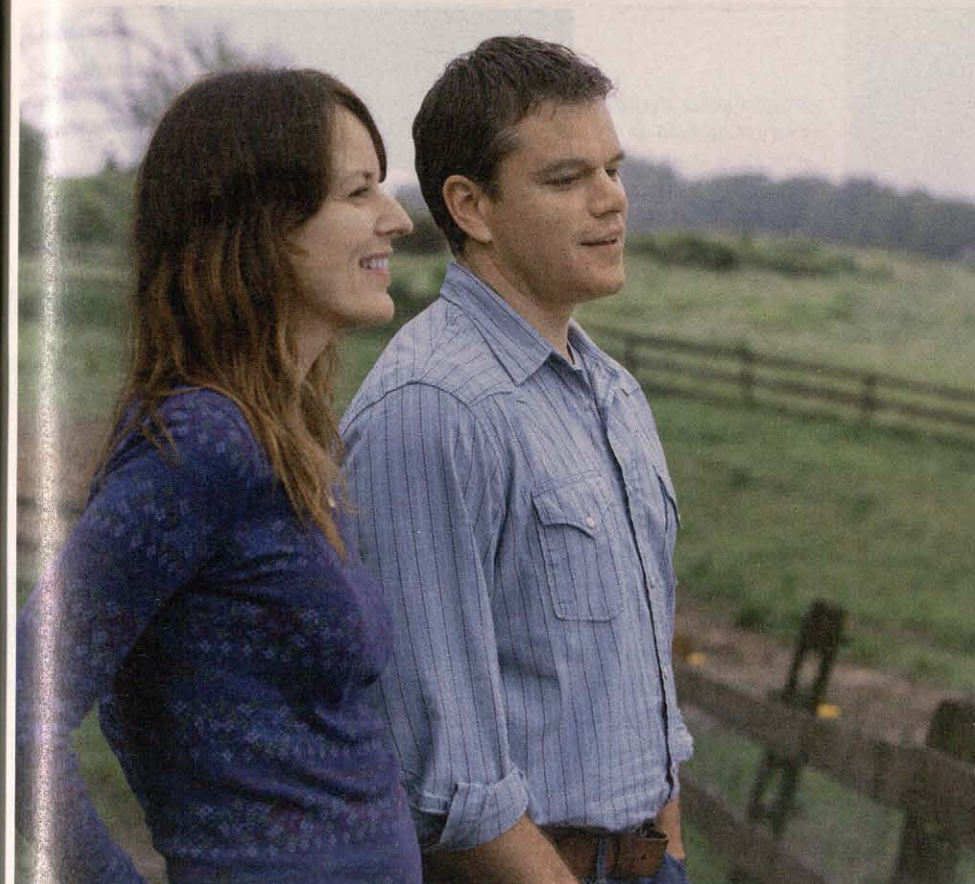
## Żałujesz?

John twierdzi dziś, że najlepszą decyzją, jaką podjęliśmy, było zwolnienie mnie... Do Gusa mam absolutne zaufanie: w końcu to on wyreżyserował każdy z moich trzech scenariuszy. Pewnie sam zrobiłbym to trochę inaczej. Ale na pewno nie tak dobrze.

W jaki sposób kryzys wpłynął na filmowy show-biznes?

Mike Stipe z R.E.M., z którym wczoraj rozmawiałem, opowiadał o tym, jak potwornie zmienił się biznes muzyczny. Bo właściwie nie ma już sposobu, żeby zarabiać na muzyce pieniądze. Chyba że jesteś cały czas w trasie.

Z kinem za chwilę będzie podobnie. Rynek DVD praktycznie przestał istnieć, więc dotychczasowy model dystrybucji – kina, DVD, telewizje – przepadł bezpowrotnie. Zmienił się styl życia. Młodzi



nie potrzebują sali kinowej: wystarczą im komputery, SMS-y i YouTube. Dlatego poradzić sobie mogą tylko małe, skromne filmy, bo nie liczą na wielkie zyski, albo ogromne produkcje, które są w stanie przyciągać do kin tych, którzy na co dzień do nich nie chodzą.

#### A produkcje średniobudżetowe, jak „Promised Land”?

Na nie zdobyć pieniądze najtrudniej. Pod względem skomplikowania produkcji ten film przypominał „Buntownika z wyboru” sprzed 15 lat: dużo trudnych, w scenariuszu pięciostroniowych scen, sporo lokacji, chyba nawet więcej niż wtedy. Tyle że „Buntownika...” kręciliśmy w 48 dni, a „Promised...” w 30. Tak po prostu jest. W pewnym sensie kino „dla dorosłych”, które interesuje mnie najbardziej, przeniosło się do telewizji.

Czego dowodem jest realizowany dla HBO „Behind the Candelabra”, na który podobno żadne studio nie chciało dać pieniędzy.

„Promised Land” otwierał w tym roku festiwal Berlinale, właśnie wchodzi na ekrany polskich kin.

#### To będzie rzeczywiście ostatni film Stevena Soderbergha?

Całkiem możliwe. Kiedy Steven mówi, że po latach poświęconych kinu chciałby skupić się na malowaniu, absolutnie mu wierzę. I wiem, że może być w tym naprawdę dobry.

#### O Michaelu Douglasie, który w „Behind...” gra twojego filmowego partnera, Władzia Valentino Liberace – słynnego pianistę i showmana, którego matka była Polką – powiedziałeś na razie w jednym z wywiadów, że świetnie całuje.

Bo to prawda! (śmiej) Ale „Behind...” to przede wszystkim film o dwóch mężczyznach, którzy przez lata byli w sobie autentycznie zakochani, tworzyli niezwykły, intensywny związek. Trochę jak gejowskie małżeństwo, tylko bez papierka. Niektórych na pewno to oburzy, chociaż film opowiada o tym jak o czymś najbardziej naturalnym.

Często wypowiadasz się o polityce, byłeś jednym z założycieli organizacji Water.org,

#### która walczy o dostęp do czystej wody w Afryce, a ostatnio nawet zapowiedziałeś, że w ramach oszczędności wody nie będziesz korzystał z łazienki. Masz w sobie naturę społecznika?

Nie. Ale jeśli ktoś na świecie rozpoznaje moją twarz, to grzechem byłoby nie wykorzystać tego w dobrej sprawie. Nie jestem ani politykiem...

#### Chociaż Michael Moore sugerował, że powinieneś zostać prezydentem USA.

(śmiej) Na szczęście nigdy nim nie będę... Nie będę też ortodoksyjnym ekologiem. Owszem, nie mam na przykład samochodu, ale nie dlatego, że jestem ideologicznie przeciwny. Po prostu mieszkam w Nowym Jorku, gdzie poruszanie się samochodem byłoby koszmarem.

Niewiele jest o tobie plotek, nie ma też w twojej biografii rzeczy, które mogłyby podważyć wizerunek grzecznego, miłego chłopaka z Hollywood. Poza „klipem” do „I’m fucking Matt Damon” z Sarah Silverman sprzed paru lat.

#### Mam już 42 lata. I całkiem mi z tym dobrze. Naprawdę lubię swoje zmarszczki. A zmiany? Mam nadzieję, że wreszcie uda mi się zająć reżyserią.

Może lekko wtedy przesadziłem. Ale to było naprawdę zabawne... (śmiej) Jeśli pojawiały się jakieś plotki, nigdy ich nie prostowałem: byłem już m.in. chłopakiem Bena Afflecka, potem Gusa Van Santa. I dobrze. Gdybym zaprzeczał, przyznałbym tylko, że w byciu gejem jest coś dziwnego. Więc nie komentowałem.

A że uważają mnie za grzecznego, a właściwie nudnego? W zawodzie aktora nic lepszego nie mogło mi się wydarzyć. Bo dzięki temu ja i moja rodzina mamy spokój. Wokół jest tyle interesujących, prawdziwych gwiazd, które mogą sprzedać nakłady gazet...

#### Jesteś w miejscu, w którym chciałeś być 20 lat temu?

Jestem dużo dalej! Mam żonę i cztery córki, których nie umiem nie rozpieszczać. Uczę się cały czas, jak być ojcem. I coraz częściej przypominam sobie

moją mamę, która na przykład z założenia wychowywała mnie bez zabawek, bo uważała, że zabijają one dziecięcą wyobraźnię.

#### A zawodowo?

Ciągle pracuję, ciągle ktoś o mnie pamięta, ciągle ktoś daje mi też szansę, żeby – jak przy „Promised Land” – zrobić coś swojego. Kiedy razem z Johnem pisaliśmy scenariusz, przypominałem sobie często, jak 15 lat wcześniej pisaliśmy razem z Benem Affleckiem „Buntownika z wyboru”. Bo znowu pracowałem z przyjacielem aktorem, znowu spędzaliśmy razem długie tygodnie niczym niekonwencjonalna para.

#### Co się więc od tamtego czasu zmieniło?

Wtedy byłem kompletnym dzieciakiem. Ani ja, ani Ben nie mieliśmy pojęcia, jak profesjonalnie pisać scenariusz. Odgrzywałem więc przed sobą jakieś sceny,

nagrywaliśmy je, spisywaliśmy, a potem dyskutowaliśmy: „Co z tego może wynikać?”. Gdyby ktoś zobaczył nas przy pracy i usłyszał, że dostaniemy później za ten scenariusz Oscara, wybuchnąłby śmiechem. Dziś chyba umiem trochę więcej.

Ale wtedy z Benem nie chodziło tylko o tekst: to było nasze być albo nie być. Latami czekaliśmy na role, które nie przychodziły. Nie na role wybitne: na jakiegokolwiek duże role. I musieliśmy je sami sobie napisać.

#### Będziecie jeszcze razem pracować?

Mamy kilka projektów, być może któryś dojdzie do skutku. Bardzo bym chciał. Zwłaszcza że to wyjątkowy czas dla Bena, kiedy wreszcie odkleiła się od niego latka „ładnej buzi z kolorowych gazet”. Głupia i nieprawdziwa, bo to jeden z najbardziej inteligentnych i zdolnych facetów, jakich znam. To fantastyczne, że dzięki „Operacji Argo” dostał dwa Złote Globy (dla najlepszego filmu i najlepszego reżysera – red.). Mam nadzieję, że dostanie też Oscara.

#### Ale w twoim dorobku aktorskiego Oscara wciąż brakuje. Może nie zawsze wybierałeś właściwe role?

Steven Soderbergh zawsze powtarza, że to nie my wybieramy role, tylko role wybierają nas. Coś w tym jest. Owszem, mogłem zagrać w „Tajemnicy Brokeback Mountain”, „Obywatelu Milku” czy „Avatarze”, ale z takich czy innych powodów te propozycje odrzuciłem. Widocznie tak miało być, widocznie ktoś inny miał te role zagrać lepiej.

A Oscary? Kiedyś, jako nastolatek, ciągle z kimś rywalizowałem, chorobliwie starałem się być najlepszy. Teraz mi przeszło. Jeśli z kimś się ścigam, to wtedy, kiedy gram na konsoli w ulubioną grę.

#### Czyli żadnych drastycznych zmian po czterdziestce?

Mam już 42 (śmiej). I całkiem mi z tym dobrze. Naprawdę lubię swoje zmarszczki. A zmiany? Mam nadzieję, że wreszcie uda mi się zająć reżyserią. Jak Clint Eastwood, który też zaczął reżyserować w okolicy czterdziestki. I wcale nie zamierza przestać!

ANNA GWOZDOWSKA

# Wybiera Agata Zubel

Nie lubi hałasu, komponuje głównie w podróży, ciągle poszukuje idealnego sposobu przełożenia muzyki, która powstaje najpierw w wyobraźni, na ułomny język zapisu nutowego. Uczy się świata, uwielbia go poznawać. To jej sposób na nieustanne samodoskonalenie, bez którego nie ośmieliłaby się zawracać nikomu głowy swoją osobą.

## 1 Szmery i szelesty

Na początku były skrzypce, ale nauczycielka zawiadowała, że mam wybitne poczucie rytmu i od dziecięcego roku życia zaczęłam grać na instrumentach perkusyjnych. Wiele z nich wydaje nietypowe dźwięki: szmery, szelesty, stukot. To one ukształtowały mój świat brzmieniowy. W muzyce klasycznej perkusja to instrument właściwie XX-wieczny, dlatego literatura na jej temat jest stosunkowo nowa. Można więc powiedzieć, że od dzieciństwa grałam muzykę współczesną. Obracałam się w zupełnie innym świecie dźwiękowym niż moi koledzy pianiści czy skrzypkowie. Najczęściej grałam na marimbie i wi-brafonie, choć musiałam też opanować grę na wszystkich innych rodzajach instrumentów perkusyjnych, np. na bębnach.

## 2 Głosy

Zawsze lubiłam śpiewać, ale najpierw była kompozycja. Zaczęłam układać drobne utwory na perkusję już jako małe dziecko. Wygrałam nawet konkurs kompozytorski. Zainteresował się mną wtedy Jan Wichrowski, wrocławski kompozytor i pedagog. Mogłam więc zacząć taką nieformalną naukę kompozycji w relacji mistrz – uczeń, jeszcze zanim podjęłam studia. Zresztą kierunek studiów był oczywisty: kompozycja. Ale w czasie studiów dostałam zamówienie na napisanie utworu dla śpiewaczki

muzyki współczesnej. To był mój pierwszy kontakt z awangardową muzyką wokalną. Skomponowałam „Parlando”. Prawykonanie miało miejsce we Wrocławiu, ale później sama próbowałam je zaśpiewać i o dziwo to się spodobało. Koledzy kompozytorzy zaczęli dla mnie pisać. Ruszyła lawina. Po jakimś czasie doszłam do wniosku, że muszę się nauczyć śpiewać, i tak skończyłam klasyczne studia wokalne.

Teraz już nie potrafiłabym wybrać: śpiew czy kompozycja.

## 3 Warsztat kompozytora

Życie musi się zmieścić w jednej torbie. Dużo podróżuję. Przez ostatnie dwa miesiące spędziłam zaledwie dwa dni w domu. Dlatego mój warsztat kompozytorski to wożony od hotelu do hotelu komputer i papier nutowy. Na początku nie potrafiłam się w ten sposób skupić, ale żeby w ogóle pisać, musiałam się tego nauczyć. Na zamknięte, ciche miejsce do komponowania nie mam przecież szans, bo nadal chcę koncertować. Na szczęście proces twórczy jest mocno rozciągnięty w czasie. Zanim dojdzie do spisywania nut czy podgrywania na fortepianie, utwór powstaje w mojej głowie. Wyobrażam go sobie, to zresztą bardzo przyjemny moment. Powstaje coś, co znam tylko ja. Niestety, to coś w głowie jest dużo bardziej doskonałe niż utwór przełożony na papier. Od idei, która zaświta w umyśle kompozytora, do odbiorcy jest bardzo daleka droga. Tradycyjny zapis nutowy jest tylko ułomną metodą odzwierciedlenia naszych wyobrażeń.

## 4 Artystyczne niebo

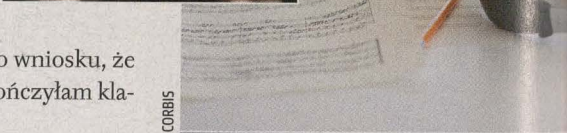
Nie przywiązuję się do miejsc. Jeśli już dokądś podróżuję, to raczej z artystycznej potrzeby. Dlatego jeżdżę do moich muzycznych miast. Zawsze z przyjemnością wracam do Wiednia. Od jakiegoś czasu współpracuję tam z Klangforum Wien, jednym z najlepszych zespołów wykonujących muzykę nową na świecie. To moje artystyczne niebo. Mam też kilka



CLIVE BARDIA/FORUM



TADEUSZ POZNIAK/REPORTER



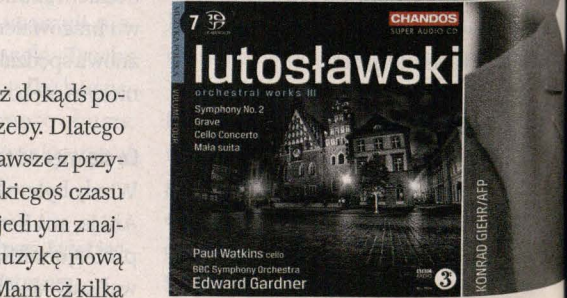
CORBIS



CHRISTOPHE SIDAMON-PERSON/APP

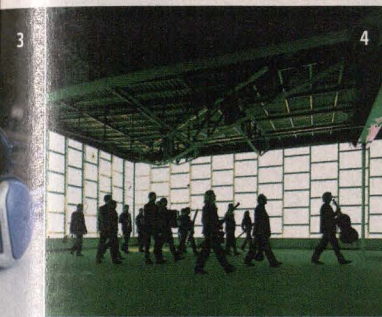


OLBRICHT COLLECTION JANA EBERT

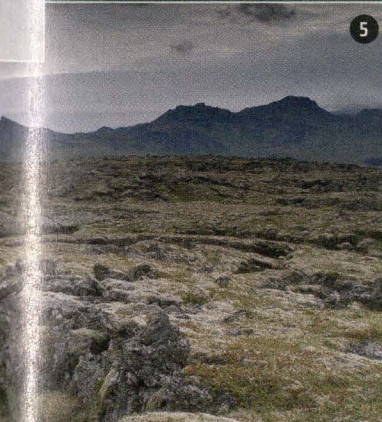


KONRAD GIERBAU/APP

Agata Zubel – kompozytorka i śpiewaczka, doktor sztuki muzycznej, ukończyła szkołę muzyczną (podstawową i średnią) w klasie perkusji, studiowała kompozycję i śpiew na Akademii Muzycznej we Wrocławiu, gdzie obecnie wykłada. Wykonuje zarówno muzykę klasyczną, jak i dzieła współczesne. Od ponad 11 lat współtworzy z Cezarym Duchnowskim duet ElettroVoce. Współpracuje ze znanymi zespołami na całym świecie, m.in. Klangforum Wien, musikFabrik, London Sinfonietta, Eighth Blackbird Ensemble i Seattle Chamber Players. Jest laureatką kilkunastu konkursów (w tym międzynarodowych) – zarówno wokalnych, jak i kompozytorskich. W 2010 r. otrzymała Fryderyka w kategorii muzyka współczesna za płytę „Cascando”. Obecnie pracuje nad utworem do poezji Tadeusza Dąbrowskiego, który będzie miał premierę w kwietniu br. na Festiwalu Prawykonaw w Katowicach.



MATERIAŁY PROMOCYJNE



CORBIS



ANTOINETTE ARRAGUI/APP

innych domów muzycznych na świecie, m.in. Seattle Chamber Players, z którymi występowałam już kilka razy. W przyszłym roku znów tam jadę. W moim rodzinnym Wrocławiu dobrze czuję się na uczelni. To miejsce przyjazne kompozytorom. Zresztą to tam narodziło się ElettroVoce, czyli nasz duet z Cezarym Duchnowskim.

## 5 Oczy i uszy otwarte

Podróże mnie inspirują. Dzięki kontaktowi z różnymi kulturami i klimatami umysł, oczy i uszy otwierają się na nowe, różne, inne. Dla artysty to szalenie istotne. Poznawanie świata jest sposobem na pracę nad sobą, na samodoskonalenie. To jest mój imperatyw. Inaczej nie śmiałabym zawracać światu głowy moją osobą. Jakiś czas temu odkryłam Islandię. To miejsce niebywałe. Są tam kolory, których w Polsce się nie spotyka – od czarnego pyłu wulkanicznego po pełną biel. Wspaniała natura: pustkowia, góry, wodospady, a pod tysiącletnimi lodowcami wrzące źródła. Wszystko to zatopione w maksymalnie świeżym, przezroczystym powietrzu.

## 6 Obrazy i dźwięki

Wszelka twórczość jest przetworzeniem abstrakcyjnych bodźców, które docierają do nas z otoczenia. Mnie inspiruje dobry koncert, dobra płyta, ale także malarstwo. Mam w domu mnóstwo albumów z obrazami Gerharda Richtera, niemieckiego malarza współczesnego. Duże wrażenie zrobiła na mnie również twórczość Leszka Kowalczyka, który maluje obrazy pod wpływem muzyki. Inspiracja może więc działać w dwie strony. Jego obrazy mają często odpowiedniki w konkretnych utworach muzycznych. Kilka lat temu wystawiał swoje dzieła w czasie Warszawskiej Jesieni. To wtedy zobaczyłam je po raz pierwszy i się zachwyciłam. W dodatku okazało się, że jemu podoba się muzyka Agaty Zubel. Namalował obraz do mojej kompozycji „Opowiadania”. Oczywiście wisi u mnie w domu.

## 7 Wibracje

Z kompozycją jest tak, że musi trafić na odpowiedni rezonans w słuchaczu. Tylko wtedy mamy wrażenie,

że została stworzona dla nas. Mnie jest bliska muzyka Witolda Lutosławskiego, także dlatego, że tak jak on urodziłam się 25 stycznia. Trudno jednak lubić całą twórczość jakiegoś kompozytora bez wyjątku. Ze względu na szczególne wycucie brzmienia lubię też Gérarda Griseya. Oczywiście Bach i Chopin byli genialni, ale mam takie poczucie, że nam, żyjącym tu i teraz, najbliższa jest muzyka, która powstaje współcześnie. Jesteśmy innymi ludźmi, żyjemy w innych czasach, w świecie komórek, samolotów i samochodów, który nas kształtuje i zmienia. Dlatego choć lubię utwory Bacha czy Mozarta, to przyznaję, że nie jestem ich w stanie w 100 proc. zrozumieć.

## 8 Słowo i muzyka

Każdy artysta musi znaleźć własnego poetę, który w nim rezonuje. W mojej twórczości ważny jest Samuel Beckett. Jest dla mnie osobowością artystyczną, która najlepiej odpowiada temu, czego szukam w połączeniu słowa z muzyką. A czego szukam? Myślę, że abstrakcji w słowie. Muzyka jest z założenia dużo bardziej asemantyczna niż język, a ja nie chcę tworzyć muzyki ilustracyjnej. Dlatego wszystko, co ma wektor przeciwny, tak mnie interesuje. Do tej pory napisałam trzy utwory do tekstów Becketta: „Not I”, „Cascando” i „What is the word”.

## 9 Na scenie

Przywiązuję dużą wagę do stroju, który noszę na scenie. W muzyce współczesnej panuje bardzo duża różnorodność stylistyk, ale wielka suknia z trenem do mojej muzyki z pewnością nie pasuje. Na potrzeby każdego utworu trzeba najczęściej znaleźć odpowiedni strój. To olbrzymie wyzwanie. Moja szafa zaczyna powoli pękać w szwach. Często przywożę suknie z podróży. Jedną z ostatnich przyjechała z Islandii i jest uszyta ze skór.

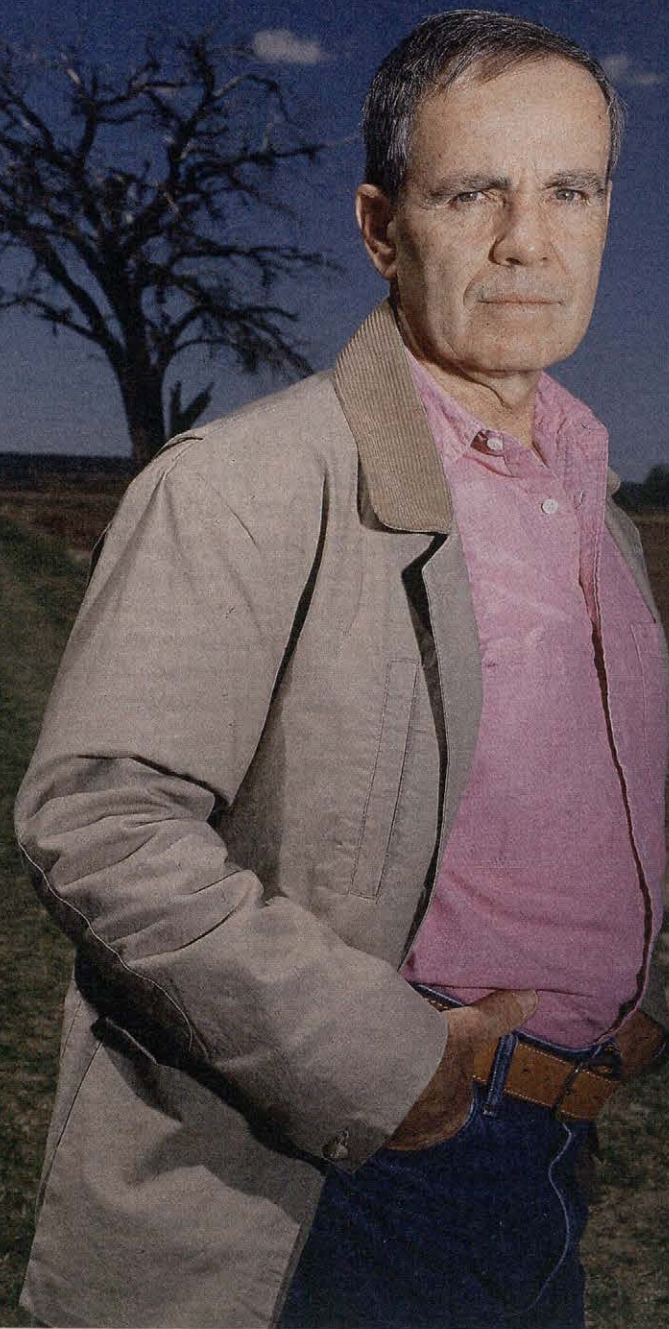
## 10 Wolność

Nie uprawiam sportu, na szczęście moja codzienna praca śpiewaczki jest związana z dobrym oddychaniem. To taka naturalna joga. Jednak na wakacjach lubię pływać na desce. Sam na sam z morzem i wiatrem – to wspaniałe uczucie.



MARCIN KUBE

# Ulubiony brutal Ameryki



Cormac McCarthy przez całe życie unikał sławy, ale wystarczył jeden telewizyjny wywiad, by stał się najpopularniejszym amerykańskim pisarzem. Właśnie ukazuje się jego nietłumaczona wcześniej na polski powieść „Sodoma i Gomora”.

na swoje książki?”. Choć wcześniej doceniali go krytycy i czytelnicy, to sławy, jaka przysłała po tym wywiadzie, nawet sobie nie wyobrażał i nieszczerdnie jej pragnął. Nie jest co prawda tak skryty jak Salinger, który żył w odosobnieniu, czy Thomas Pynchon, człowiek zagadka, którego jedyne oficjalne zdję-

cia to fotografie z lat szkolnych. Jednak całą wiedzę, jaką mamy o McCarthy, czerpiemy z jednego wywiadu z 1992 r. dla „New York Timesa” i rozmów, które można policzyć na palcach jednej ręki. Najdziwniejszą spośród nich jest audycja radiowa z 2011 r., w której brał udział także Werner Herzog. W dodat-

ku nie dotyczyła literatury, tylko nauk ścisłych, prehistorii i przyszłości ludzkości.

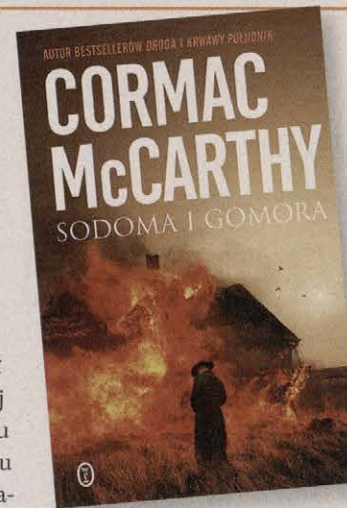
## Okrutny męski świat

W przeciwieństwie do swoich bohaterów, outsiderów i przestępców, McCarthy wychował się w zamożnej rodzinie w Nowej Anglii na Wschodnim Wybrzeżu USA. Urodził się w 1933 r. w domu ze służbą jako trzecie dziecko szanowanego prawnika. Nie poszedł jednak w ślady ojca. Dwa razy rzucał studia. Na początku lat 50. wstąpił do armii i trafił do lotnictwa. Większość służby spędził w bazie na Alasce, gdzie oddawał się lekturze książek. Wśród autorów najbardziej ceni Melville’a („Moby Dick” to jego ulubiona powieść), Dostojewskiego i Faulknera. Krytycy zarzucają mu czasem kopiowanie stylu ostatniego z nich (zwłaszcza jego wad). McCarthy, podobnie jak Faulkner, wpisuje się w literacki nurt southern gothic, w którym nie obejdziesz się bez grozy, tajemniczości i postaci z marginesu społecznego. Pogranicze u McCarthy’ego to świat przemocy i cierpienia.

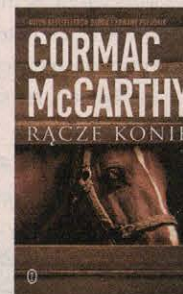
Amerikanin zupełnie nie rozumie dzieł Marcela Prousta i Henry’ego Jamesa. Dostojewski wyznaniem jak na człowieka, którego wpływy krytyk Harold Bloom uznał za mistrza amerykańskiej prozy obok Rotha, Pynchona i De Lillo. Ale McCarthy nigdy nie przejmował się konwenansami. Ignorował środowiska krytyków i literatów. Ci nie pozostawali mu dłużni. Wytykali estetyzację przemocy oraz brak dystansu do prezentowanej wizji okrutnego męskiego świata.

## Włóczędzy i recydywiści

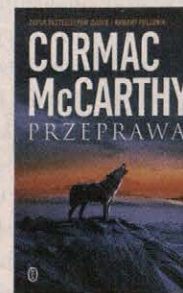
Swoje doświadczenia z lat 60. i 70. opisał w autobiografizującej powieści „Suttree”. Jej bohaterami są ludzie wyrzuceni poza społeczny nawias: włóczędzy i recydywiści. Długo żył bez grosza, mieszkając w podrzędnych motelach, bez stałej pracy, nie stroniąc od alkoholu. Po latach stwierdził, że z tamtego



Cormac McCarthy, „Sodoma i Gomora”, przeł. Maciej Świerkocki, Wydawnictwo Literackie



Cormac McCarthy, „Rączę konie”, przeł. Jędrzej Polak, Wydawnictwo Literackie



Cormac McCarthy, „Przeprowa”, przeł. Robert Sudół, Wydawnictwo Literackie

okresu przeżyli tylko ci przyjaciele, którzy przestali pić.

Pierwsze małżeństwo szybko skończyło się rozwodem. Ma z tego związku syna Cullena. Drugą żonę Annę de Lisle poznał na statku w Europie w 1965 r. On był początkującym pisarzem na stypendium, ona piosenkarką. Razem przez kilkanaście miesięcy podróżowali po Starym Kontynencie. De Lisle wspominała,

że po przyjeździe do Ameryki żyli w biedzie. Mieszkali w stodole i myli się w pobliskim jeziorze. Pieniądze stanowiły dla niego abstrakcję. McCarthy odrzucał propozycje prowadzenia płatnych wykładów, prelekcji i spotkań autorskich. W 1976 r. zamieszkał w pogranicznym El Paso.

Krytycy doceniali jego wczesne powieści. Dostrzegli talent autora „Dziecięcia bożego”, jego oszczędny styl, wyczyszczony z psychologicznej refleksji behawioryzm i symbolikę czerpiącą z Biblii i antyku. Jednak sprzedaż książek nie przekraczała nawet 5 tys. Taki wynik w USA to kłapa. Nawet „Krwawy Południk” z 1985 r., uznawany za jego najwybitniejsze dzieło, sprzedawał się marnie. Sympatię czytelników zdobył dopiero „Rączymi końmi” z 1992 r., które zapoczątkowały „Trylogię pogranicza”. W swoim pierwszym bestsellerze połączył surowy styl i świat przemocy z historią o dojrzewaniu dwóch chłopaków. Odsunął na bok mistykę i symbolizm, dodał więcej akcji, dialogów i bohaterów, którzy wbrew wszystkiemu sprzeciwiają się otaczającemu ich złu. Pokusił się nawet o obcy mu wcześniej wątek romantyczny. Krytyk „New York Timesa” określił powieść jako „przygody Tomka Sawyera i Hucka Finna na koniach”. McCarthy znalazł wreszcie złoty środek, by zadowolić krytyków i przyciągnąć uwagę amatorów literatury.

Ukazująca się właśnie nakładem Wydawnictwa Literackiego „Sodoma i Gomora” jest trzecią częścią „Trylogii” i jednocześnie ostatnią powieścią

Amerikanina nieznaną polskim czytelnikom. To literacki cross-over, który łączy losy Johna Grady Cole’a z „Rączych koni” i Billy’ego Parhama z „Przeprawą”. Kto czytał dwie poprzednie części, nie będzie niczym zaskoczony. Chłopcy tylko nieco zmężnieli. W dzień pracują przy koniach, wieczorami odwiedzają nędzne lokale. Kłopoty pojawiają się, gdy John Grady zakocha się w nastoletniej Meksykance zmuszanej do prostytucji.

## Czarny koń Hollywood

Pierwsze podejście do Hollywood McCarthy miał w 2000 r. „Rączę konie” zekranizował aktor Billy Bob Thornton. W głównych rolach obsadził Matta Damona i Penelope Cruz, ale sukcesu nie było. Druga próba wyszła znacznie lepiej. Bracia Coen zabrali się za średnią jak na tego pisarza powieść „To nie jest kraj dla starych ludzi”. W 2008 r. film dostał cztery najważniejsze Oscary. Nic dziwnego, że błyskawicznie posypały się kolejne produkcje – adaptacja „Drogi” (2009) z Viggo Mortensenem czy wyprodukowany przez HBO dramat telewizyjny „Sunset Limited” (2011).

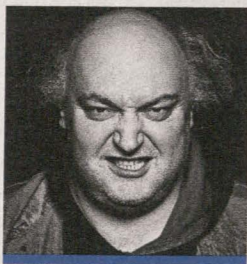
Rok 2013 przyniesie kolejne filmy na podstawie jego tekstów. Ekranizację „Dziecięcia bożego” nakręcił James Franco – aktor i początkujący reżyser, który od dłuższego czasu flirtuje z kinem niezależnym. Na prawdziwy hit zapowiada się druga pozycja, „The Counselor” w reżyserii Ridleya Scotta, do którego McCarthy napisał scenariusz. Michael Fassbender wcielił się w rolę prawnika zamieszanego w handel narkotykami, a w obsadzie są też Javier Bardem, Penelope Cruz i Brad Pitt.

Zainteresowanie pisarzem nie słabnie. Amerykanie czują, że wreszcie mają następcę godnego Hemingwaya. Teraz Hollywood już mu nie odpuści. Kolejne ekranizacje to tylko kwestia czasu, zwłaszcza w przypadku tak sugestywnej i obrazowej prozy, pełnej barwnych postaci. Chyba że autor rzuci wszystko jak Salinger, a dziennikarzy i agentów z Los Angeles będzie witał na swojej posesji wnykami i strzelbą.



Maciej Nowak

# Śląskie fizymatenta



ARTUR KOT

**A może Śląska nie ma w ogóle? Może jest właśnie piątą stroną świata, równie fantastyczną, jak peron 9 i ¾ z Harry'ego Pottera?**

**Ale fajne to było!** Najpierw hekele i żymlök, potem anlauf i fanzor zizałer, no i oczywiście rolady z gumiklyjzy i modro. I jeszcze karminadle z ciaperkapusta. Porządny śląski obiad. Co ja piszę – obiad, dwa albo i trzy obiady, tyle tego żarcia było w Gospodzie pod Młynem na Dąbrówce Małej. Potem spacer po Giszowcu i Galeria Magiel, gdzie hipnotyzuje obraz „Kopalnia” Teofila Ociepki. Pośród pejzażu szybów i hałd spoczywa opasłe cielsko smoka, do którego płomienistego pyska wpływa taśmociąg z węglem. I jeszcze deser w Bifyju przy giszowieckim rynku: krepłe z szolka tyja. A wieczorem premiera w Teatrze Śląskim. Adaptacja powieści Kazimierza Kutza „Piąta strona świata” w reż. Roberta Talarczyka. Też bardzo fajna.

**Oczywiście, odbieram to wszystko z pozycji gorola.** Kutz pisze: „Nie ma co ukrywać, określenie gorol jest obraźliwe, pochodzi od górala, chłopca nie tylko ze wsi, ale i z gór, a więc ciemniaka i prymitywa (...) Gorol to obcy...”. Spojrzenie gorola jest szczególne, bo tak naprawdę Śląska nie tylko nie rozumie, ale nawet nie dostrzega. Niby czai się gdzieś tam na dole mapy, ale gdy jedziesz eleganckim Intercity do eleganckiego Krakówka na premierę w Starym Teatrze, kierowanym przez Jana Klatę (zwanego przez wielu Jankiem), żadnego Śląska przez okna nie widać. Podobnie, gdy zmierzamy do Wrocławia do Teatru Polskiego Krzysztofa (Krzysia!) Mieszkowskiego, Hanysy nie rzucają się w oczy. A może Śląska nie ma w ogóle? Może jest właśnie piątą stroną świata, równie fantastyczną, jak peron 9 i ¾ z Harry'ego Pottera? Może jedzie się tam Hogwart Ekspresem, którego niewidzialne tory biegną równoległe do połączeń TLK?

**Łatwo w to uwierzyć,** oglądając „Piątą stronę świata”. To magiczna kraina, zaludniona Ślązakami, Niemcami, Żydami i Polakami, dla których problemem nie są różnice narodowościowe, ale porządki narzucane przez siły zewnętrzne, nierozumiejące śląskiej logiki. Składają się na nią górnicy – szaleńcy boży, którzy dociekają istoty stworzenia. Czarujące żydowskie prostytutki z Sosnowca. Wrozumiałe żony, które wiedzą, że faceci muszą mieć dwie kobiety. Dziadkowie, którzy potajemnie zabijają żandarmów odpowiedzialnych za śmierć strajku-

Autor jest teatrologiem, szefem Instytutu Teatralnego, smakoszem, autorem barwnych recenzji kulinarnych. U nas pisze o premierach teatralnych.

jących górników. Śląskie matki, aranżujące małżeństwa dzieci. Ojcowie powstańcy (śląscy!) i znawcy alfabetu Morse'a. Argentyńczycy, czarnoskóre Trudy z RPA i małpy, hodowane na strychach dla hecy. „Piąta strona świata” Kutza i Talarczyka to śląski „Skrzypek na dachu”, mitologizująca opowieść o utraconym raj. Porównanie można ciągnąć, bo pieśń kobiet o wyborze między volkslistą a ostfrontem trzyma za gardło nie mniej niż arie Tewjego Mleczarza. A może pójść jeszcze dalej i przywołać inne wielkie dzieło teatru, w którym na wesele ściągają strzygi i duchy z okolicy? Taka scena jest również w „Piątej stronie świata”. Aż strach wypowiadać tytuł owego dzieła.

**Ascetyczny spektakl Talarczyka,** toczący się na pustej scenie, ożywianej przez tylne projekcje i ruch zapadni, budują trzy żywioły. Stale obecny na scenie narrator Dariusza Chojnackiego, który perfekcyjnie trzyma w ryzach całość. Olśniewająca choreografia Katarzyny Kostrzewy, która każdej postaci zaproponowała indywidualną charakterystykę ruchową, a wiele sytuacji opowiedziała wprost językiem tańca współczesnego. Może najbardziej obrazowe będzie wspomnienie audycji w szkole muzycznej, do której staje uzdolniona pianistycznie córka bohaterów. Grająca ją Katarzyna Kowalczyk wytańczy swoje zmagania z koncertem Czajkowskiego! I żywioł trzeci to aktorzy Teatru Śląskiego, dla których ten spektakl to prawdziwe coup de force. Legendarny kutzowski aktor Bernard Krawczyk jako dziadek Wawrzek, skory do bitki, wypitki i honorowych czynów. Grażyna Bułka, Ewa Leśniak, Barbara Lubos, jako żelazne śląskie matki. Ekscentryczny i melancholijny Ojciec Andrzeja Dopierały, filigranowy i kruchy Alojz Bartłomieja Błaszczynskiego oraz somnabuliczny Lucjan Artura Świeśa. Już czuję, że koleżanka redaktorka pieści klawisz delete, by uelastycznie objętość tego tekstu, a przecież muszę jeszcze wspomnieć Andrzeja Warcabę, jako grubiorza-ezoteryka oraz wyrazistego Adama Kopciuszewskiego jako kolaboranta Chroboka.

**Kutz kończy swoją powieść zdaniem:** „Tak wyglądają nasze górnośląskie fizymatenta”. Nie do końca rozumiem, co to znaczy, ale brzmi dobrze. 📖

„Piąta strona świata”  
Kazimierza Kutza,  
adaptacja i reż. Robert Talarczyk,  
Teatr Śląski, Katowice,  
premiera 17.02,  
kolejne spektakle: 21–22.03



# Domowe kapele



**Mają własny sprzęt i studio zaaranżowane w pokoju.**

W dziesiątkach tysięcy polskich domów podłączeni do komputerów, z arsenałem instrumentów, syntezatorów i programów młodzi kompozytorzy tworzą muzykę, która im w duszy gra.

**JERZY ZIEMACKI**

**I**nternet stworzył artystom wyjątkową szansę: dotarcia do odbiorcy wprost. Bez pośrednictwa telewizji, radia, prasy. Debiutującym muzykom nowa sytuacja dała poczucie wielkiej niezależności. Nie zabiegają o uznanie dziennikarzy i recenzentów muzycznych, nie stoją w kolejkach do wytwórni płytowych, przestali się troszczyć o dystrybucję płyt, modlić się o to, by ich teledysk poleciał w TV. Robią, co chcą, i dzielą się tym z innymi. Promują się sami – w największej telewizji świata, czyli na YouTube, w potężnych radiostacjach, takich jak SoundCloud, i na portalach społecznościowych, szczególnie Myspace i Facebooku. Nagrywają płyty za własne pieniądze, sami przywożą je z tłoczni, w dystrybucji pomagają znajomi i przyjaciele. Mają fanów, grają koncerty, zarabiają pieniądze.

**Klepiemy domowe bity**

Domowe Melodie to prawdziwa perełka wśród polskich kapel domowych. Zespół powstał powoli, podczas wspólnego muzykowania Justyny, Kubę i Staszka. – Domowe Melodie to projekt kilkunastu własnoręcznie nabytych i skomponowanych piosenek.

W domu. Razem z płacem, spalonym garnkiem, gorącą i dziurawą skarpetą. Nagrywam. Rejestruję ulotny fragment mojego życia. Po drodze pojawili się moi muzycyści najlepsi – Staszek i Kuba. I tak sobie klepiemy domowe bity – tłumaczy Justyna Chowaniak, wokalistka. Kanał Domowych Melodii na YouTube przekroczył milion odsłon.

Pierwszy koncert zagrali w krakowskim klubie Alchemia. Gdy wyszli na scenę, zobaczyli tłumy ludzi. Bilety na koncert sprzedały się wszystkie. Publikę znała teksty na pamięć. Wszyscy śpiewali. Justyna była poruszona tym, co widzi i słyszy. Przez chwilę nawet przestała grać. Odebrała jej głos. Do tej pory pisała sobie piosenki przy białym pianinie, które kupiła na Allegro. Z przyjaciółmi nagrała kilka z nich i wrzuciła do sieci. W myśl zasady: niech się dzieje!

Ludzie są zachwyceni subtelnością, delikatnością i prostotą poetyckich piosenek Domowych Melodii. „Peszek to przy was mały meszek” – pisze na stronie zachwycony fan. „To najpiękniejsze piosenki w polskim Internecie” – kwituje fanka.

Zespół przyciąga nie tylko muzyką, ale również obrazem. Domowe Melodie dbają o wizualną stronę swojego grania. Ich teledyski urzekają naturalnością. A kręcą oczywiście sami. Budżet – zero złotych. Pierwszy klip do utworu „Zbyszek” został nagrany przypadkiem. Zaprzyjaźniony fotograf robiący zdjęcia zespołowi włączył w aparacie nagrywanie. Zarejestrował kilka minut: śpiewającą Justynę, jej białe pianino, pokój, pralkę, dywan, rzeczy rozrzucone po podłodze, siedzących na stołkach Staszka i Kubę. Justyna pomyślała, że to może być ich pierwszy klip. Bo tacy właśnie są. Naturalni. Teledysk, który powstał przypadkiem, obejrzało niemal 200 tys. osób.

– Nie jesteśmy zbieraczami lajków. Z muzyką jest tak, że jak cię dopadnie, to nie puszcza. Jest jak święte powoła-



Domowe Melodie: Justyna Chowaniak, Staszek i Kuba.

nie – tłumaczy Justyna. I dodaje: – Robilibyśmy to samo dwadzieścia i sto lat temu. Nie tworzymy muzyki dlatego, że jest YouTube. Ale dzięki niemu możemy się nią dzielić.

Domowe Melodie nie dbają o reklamę. Nie interesuje ich udział w programach radiowych i telewizyjnych, niechętnie zgadzają się na wywiad dla prasy. Internet pozwala na bezpośrednią komunikację. Szybszą i bardziej autentyczną. Czuć, że między zespołem a fanami wytwarza się więź życzliwości. Wzajemnego zrozumienia. Zaufania, które nie byłoby możliwe przy udziale pośredników. Internetowi muzycy są wyrozumiali dla swoich fanów: nie mają nic przeciwko ściąganiu płyt z Internetu. Ale życzliwi fani odpłacają się szlachetnością, ślą w e-mailach zapytania, gdzie można kupić oryginał, prze-

lewają pieniądze na konto, przychodzą na koncerty.

Oryginał płyty Domowe Melodie jest do nabycia wyłącznie u muzyków. Każdy egzemplarz przechodzi przez ręce członków zespołu. Wspólnie pakują płyty, adresują koperty, stawiają pieczątki, chodzą na pocztę. Traktują to jak odpoczynek od pracy twórczej. Trochę jak medytację. W dystrybucji pomaga rodzina i przyjaciele. Odbiorcy również oferują pomoc. – Nie chcemy mieć dystrybutora, który odbierze płyty z tłoczni i wszystko za nas załatwi. Tak samo jak nie chcemy mieć nad sobą pana z wytwórni, który powie nam, jak nagrywać, co i jak długo – mówi Justyna. I dodaje: – Wiemy, jak ma brzmieć nasza muzyka, ile ma trwać jeden utwór, jak ma wyglądać teledysk. Nie potrzebujemy ekspertów!

## Płyty ocenia Angelika Kucińska

## ALTERNATYWA

## Supergrupa nie tak super

Co wyjdzie ze skrzyżowania Radiohead i Red Hot Chili Peppers? Na pewno nie to, czego można się było spodziewać po Atoms For Peace. Obsada błyszczy jedynie na papierze. Flea, basista RHCP, Joey Waronker, perkusista Becka i R.E.M. Nigel Godrich, jeden z najbardziej wpływowych producentów swojego pokolenia, nieformalny szósty członek Radiohead. Thom Yorke – wiadomo. Niby supergrupa, a jednak one man show. Bo Atoms For Peace niestety nie przynosi inspirującej konfrontacji muzyków reprezentujących różne estetyki, ich osobowości i doświadczeń. Flea robi, co może, ale jego charakterystycznie pulsujący bas ginie w radioheadopodobnych aranżacjach zdominowanych paranoicznym skomleniem Yorke'a.



Atoms For Peace, „Amok”, XL/Sonic  
👍👍👍



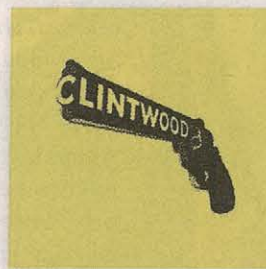
Może to sukces jego dominującej charyzmy, może porażka przepompowanego ego. „Amok” brzmi jak solowa płyta wokalisty Radiohead – tyle że nagrał ją w mocno medialnym składzie. Szkoda, że zapomniał o kolegach. I o piosenkach – bo wielkich wzruszeń tu nie ma. 📺

## POP ROCK

## Między Feelem a piosenką

Clintwood wyciąga średnią z polskiego rocka. I średnia jest tu słowem wytrychem.

To debiut, choć muzykom zespołu daleko do debiutantów, bo półowa przewinęła się przez słusznie zapomniane krajowe składki: od Closterkellera przez Daab po Chłopców z Placu Broni. Tego nie słysząc, uderza za to nieudolny kompromis pomiędzy przyzwoitą piosenką a oczywistym przebojem. Ktoś tu chce być gwiazdą jak Feel, ale bez wstydu, że gra na festynach. I tak coś, co mogłoby się obronić poprockową prostotą (bez obrażania się, taka muzyka jest też potrzebna), dryfuje w kierunku juvenaliowej grafomanii pozabawionej nawet promila charakteru. Nachalne refreny przytłaczają załączki zgrabnych melodii. Takie funkcjonowanie pośrodku mogłoby być nawet interesujące, gdyby nie fakt, że płyta jest – no właśnie – wyłącznie średnia. 📺



Clintwood, „Clintwood”, Pomaton EMI  
👍👍



Patrick Wolf, 2.03., Palladium, Warszawa

## KONCERT

## Dekada w branży

Patrick Wolf nago? Niestety nie wiemy, czy tym razem też zdejmie koszulę (zdarza mu się), ale na pewno obnaży się muzycznie. Brytyjski muzyk zagra w Warszawie akustyczny koncert.

I to jest wbrew pozorom duże wydarzenie, bo ten chłopak bardzo lubi przesadzać – bogatym brzmieniem, pretensjonalnym tekstem czy teatralnym wizerunkiem. Surowe, skromne aranżacje wybrał, gdy zatęsknił za trudnymi początkami kariery – za graniem na ulicy i w obskurnych klubach, w niekomfortowych warunkach, ale dla zaangażowanej publiczności. Dekadę w branży świętował szczególnie wydawnictwem – jesienią ukazał się dwupłytowy album „Sundark and Riverlight” z najważniejszymi utworami Wolfa, ale w akustycznych wersjach. Nagrywał je na analogowym sprzęcie, korzystając z dobrodziejstw Real Studios należących do Petera Gabriela. W studiu wybrnął – największe piosenki Wolfa bronią się w każdej produkcji. Akustyczne koncerty to kolejny etap świętowania dziesięcioletniej obecności na scenie. Czy z umiarem mu do twarzy? Polska publiczność przekona się już 2 marca. → Angelika Kucińska

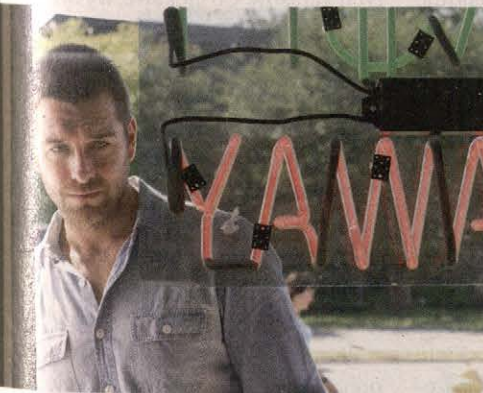
📺📺📺 mistrzostwo 📺📺📺 na piątkę 📺📺📺 warto 📺📺📺 może być 📺📺📺 słabo 📺📺📺 dno

## Katarzyna Nowakowska o serialach

## Seks i przemoc

W moim cotygodniowym eseju serialoznawczym wspominałam już o „Banshee”, ale polska premiera serialu wymaga, by poświęcić mu jeszcze jedną naukową rozprawę.

Lista tego, co najlepiej się sprzedaje (nie tylko w telewizji zresztą), od lat pozostaje niezmienna: seks i przemoc, wiadomo. Alan Ball, który jest jednym z producentów „Banshee”, grając tymi dwiema zmiennymi, stworzył już jedno bardzo dobre, bo świadome swojej niedorzeczności i przegięcia, widowisko „Czysta krew”. Czyli można. Niestety „Banshee” nie ma w sobie tego luzu, dystansu i nawiasu – może dlatego, że Ball jest „tylko” producentem, twórcami serii są zaś telewizyjni debiutanci Jonathan Tropper i David Schickler. To na pewno utalentowani pisarze – co wynika z biograficznych notek na Wikipedii, lecz daje się wyczuć i w serialu. Niestety, gubi ich dosłowność. Jak bijatyka, to krew tryska i słychać trzask łamanych kości, a jak bzykanko, to obowiązkowo stękanie, jęki i pot. I widz koniecznie musi to wszystko usłyszeć, zobaczyć i szkoda, że jeszcze nie polizac (może i do tego dojdziemy).



Prawdopodobnie wychodzi ze mnie zrzędliva stara ciotka, ale seks i przemoc przeszkadzają mi w tej historii. Bardzo intrygującej z założenia, bo świeżo zwolniony z więzienia bandzior (bardzo apetyczny nowozelandzki aktor Antony Starr), który podszywając się pod zabitego szeryfa, zaprowadza westernowo pojmaną sprawiedliwość w miasteczku zamieszkanym częściowo przez Amisów – to niezły poligon doświadczalny dla dobrego serialopisarstwa. Mogłoby z tego powstać jakieś „Breaking Bad Bis”. Ale zamiast seksu i przemocy przydałoby się więcej tzw. myślówy. „Banshee”, Cinemax 2 marca, godz. 22

## Dorota Chrobak o filmach

## DRAMAT

## Tabu

Jeśli są państwo zdania, że sztuka filmowa spsiała i obecnie polega głównie na samopowielaniu, polecam seans „Tabu”. Trudno powiedzieć, że mamy tu do czynienia z filmem sensu stricto. Prędzej skłaniałabym się ku tezie, że jest to inspirowany kinem niemym eksperyment, któremu chyba najbliższe do techniki artystycznej zwanej kolażem. „Tabu” stanowi bowiem – i to całkiem spójną – kompozycję rozmaitych, pozornie niepasujących do siebie elementów (wątków, obrazów, muzyki, upływającego czasu etc.), których tematem przewodnim jest poczucie, że to, co istotne albo już się wydarzyło, albo toczy się gdzie indziej. Seans niczym dwugodziny pobyt w muzeum sztuki nowoczesnej. Ale zdecydowanie warto! 📺



reż. Miguel Gomes, Francja/Niemcy/Portugalia, 2012, Aurora Films, 119 min  
👍👍👍👍

## DRAMAT BIOGRAFICZNY

## Hitchcock

Jest coś osobliwego w tym, że historia powstawania „Psychozy”, kamienia milowego w rozwoju thrillera i horroru, a przy tym dzieła opartego na naprawdę makabrycznych faktach, w ujęciu Sachy Gervasio stała się filmem niemal rodzinnym. A genialny, ale potwornie „ciężki w obsłudze” reżyser jawił się nam jako zdziwaczala, lecz w sumie sympatyczny starszy pan. Nie jest to jednak zarzut. „Hitchcock” to przepysznie zagrana (Anthony Hopkins w duecie z Helen Mirren, ach!) i pełna staroświeckiego uroku opowieść o sile małżeńskiej miłości, do której najlepiej pasuje określenie: przyjemna. Ten film jest jak leniwy spacer w piękny dzień z finałem w postaci filiżanki gorącej czekolady. Nic wielkiego – ale czysta przyjemność. 📺



reż. Sacha Gervasi, USA, 2012, Imperial-Cinepix, 98 min  
👍👍👍

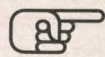
## KOMEDIA OBYCZAJOWA

## Być jak Kazimierz Deyna

Panowie, jak to możliwe, by w tak zakręconym wokół piłki nożnej kraju, filmy o niej kręciły ostatnio wyłącznie panie? W przeciwieństwie do „Skrzydlatych świni” Anny Kazejak, „Być jak Kazimierz Deyna” Anny Wieczur-Bluszcz jest jednak filmem niesłychanie ciepłym, w którym futbolowy „świr” to swego rodzaju życiowa oś, okno na lepszy świat, czy też hobby w najsympatyczniejszym tego słowa znaczeniu. „Być...” nie jest dziełem doskonałym, sporo tu niedoróbek, a dziadzius rebeliant został, mam wrażenie, żywcem skopiowany z „Małej miss”. Ale już dawno nie widziałam polskiego filmu, w którym twórcy mieli tyle wyrozumiałości wobec swoich bohaterów i optymistycznego spojrzenia na świat. 📺



reż. Anna Wieczur-Bluszcz, Polska, 2012, Next Film, 95 min  
👍👍👍



MARIANNA SASKA

# Zwiedzanie na ekranie

W turystyce przewodniki i przewodnicy są passé. Aplikacje mobilne mogą, wiedzą i pokazują więcej.

**T**wórcy aplikacji dążą do tego, aby dostarczyć nam informacje, jeszcze zanim o nie poprosimy, ale najpierw muszą coś o nas wiedzieć. Aby twój telefon zmienił się w osobistego pilota wycieczek, trzeba w nim zainstalować odpowiednią aplikację i udostępnić na swój temat garść informacji. Te najbardziej podstawowe to twoje aktualne współrzędne geograficzne.

Aplikacja Wikitude działa na zasadzie aparatu fotograficznego, z tą różnicą, że na wyświetlaczu oprócz ulic zobaczysz także nałożone na nie informacje.

to też (a może przede wszystkim) sposób na zaprezentowanie superspersonalizowanych reklam użytkownikom telefonów. Marzeniem każdego właściciela lokalnego biznesu jest przecież to, aby trafić do klienta, który akurat znajduje się w okolicy i mógłby być zainteresowany jego produktem. Tak się składa, że nasz telefon wie, gdzie się znajdujemy, a Wielki Brat Google wie, co lubimy i czego szukamy.

## Miasta bez tajemnic

Żeby zapoznać się z dobrodziejstwami wirtualnych przewodników, nie trzeba na szczęście opuszczać Europy. Na podobnej zasadzie co Field Trip działa aplikacja TagWhat (Android, iOS), z której możemy korzystać na całym świecie. Głównym źródłem wiedzy tego kieszonkowego pilota wycieczek jest Wikipedia, ale korzysta on także z innych serwisów. TagWhat jest niezłym źródłem historycznych ciekawostek i wyszukiwarką oryginalnych

miejsc. Będąc w centrum Warszawy, dowiesz się np. o wybuchu w Rotundzie w 1979 r., poznasz historię najważniejszych ulic, a także zostaniesz poinformowany o niedalekim położeniu Złotych Tarasów. Co ciekawe, wyświetli ci się także artykuł z portalu „Huffington Post” o najwęższym domu świata znajdującym się w Warszawie, w którym pomieszkuje pisarz Etgar Keret.

Wyjątkowo fascynującym wirtualnym przewodnikiem jest It Happened Here (Android, iOS), na razie niestety dostępny tylko w największych miastach USA i w Londynie. Aplikacja informuje cię o tym, co zdarzyło się w danym miejscu w przeszłości. Za jej pomocą odkryjesz słynne nowojorskie mieszkanie z serialu „Przyjaciele”, miejsce, w którym Michelle i Barack Obama pocałowali się po raz pierwszy (Chicago, 1989), a także dokładną lokalizację pierwszego morderstwa dokonanego przez Kubę Rozpruwacza (Londyn, 1888). Inne atrakcje to skandale poli-

**Spacerując po mieście, otrzymasz z telefonu sygnał za każdym razem, kiedy znajdziesz się w pobliżu interesującego miejsca. Na ekranie wyświetli się informacja na temat jego historii, architektury i innych ciekawostek.**



tyczne, sceny z filmów, słynne przestępstwa i oczywiście wydarzenia rangi historycznej. Dostęp do serwisu kosztuje 2,99 dol. za każde zwiedzane miasto.

Zdobywającym wielką popularność wynalazkiem jest tzw. augmented reality, czyli rozszerzona rzeczywistość łącząca świat realny z tym generowanym komputerowo. Ta technologia polega na nakładaniu cyfrowych informacji na otaczający nas świat. Na tej zasadzie działa Wikitude, aplikacja, której używasz jak aparatu fotograficznego, z tą różnicą, że na wyświetlaczu oprócz ulic zobaczysz także nałożone na nie informacje. Przykładowo dowiesz się, że w domu, obok którego przechodzisz, mieszkał kiedyś Fryderyk Chopin. Albo że restauracja, do której zamierzasz wejść, została właśnie totalnie zjecha-na na Twitterze.

## Poszukiwacze skarbów

W 2000 r., zaraz po tym, gdy rząd USA udostępnił system GPS do powszechnego użytku, powstał Geocaching. Jest to zabawa polegająca na odnajdywaniu ukrytych na całym świecie skrytek. Bawi się już w nią 5 mln ludzi.

Skrytki znajdują się wszędzie. Jedną kryła się tuż pod moim domem. Codziennie przechodziłam obok niej, nie zdając sobie sprawy, że w żywopłocie ukryte jest tajemnicze pudełko. W pojemniku znajdowała się lista osób, które do tej pory znalazły skrytkę. Umieszczenie skrytek nie jest przypadkowe. – Geocaching oferuje alternatywę dla tradycyjnej turystyki. Dzięki niemu możesz trafić do miejsc, których nie ma w przewodnikach. Jednym z głównych założeń zabawy jest to, że ludzie mieszkający w danej okolicy najlepiej wiedzą, co tak naprawdę warto zobaczyć. To oni tworzą skrytki w miejscach, które chcą pokazać przyjezdnym – mówi Karol Chęciński ze Stowarzyszenia Geocaching Polska Non Profit.

Innymi ideami, którym hołduje Geocaching, są ochrona środowiska





i edukacja. Dzięki nim Stowarzyszeniu udało się nawiązać współpracę z PTTK, Lasami Państwowymi, niektórymi parkami i urzędami. Okazuje się, że nawet miejsca z pozoru niezbyt atrakcyjne turystycznie mogą mieć wiele do zaoferowania. Urząd Dzielnicy Bielany w Warszawie zaangażował się w zabawę i założył 50 własnych skrytek, które przybliżają historię dzielnicy.

### Polski geocaching

Uczestnikami gry są ludzie w każdym wieku, od rodzin z dziećmi po doświadczonych globtroterów. – Najstarszymi uczestnikami, których spotkałem na szlaku, było małżeństwo emerytowanych geodetów. Mają na koncie

Aplikacja Geocaching oferuje alternatywę dla tradycyjnej turystyki. Dzięki niej możesz trafić do miejsc, których nie ma w przewodnikach. Jednym z głównych założeń zabawy jest to, że ludzie mieszkający w danej okolicy najlepiej wiedzą, co tak naprawdę warto zobaczyć, i tam umieszczają skrytki, których szukają gracze.

odnalezienie kilku tysięcy skrytek na całym świecie. Ta para nie korzysta w czasie gry z telefonów ani nawet tradycyjnych odbiorników GPS. W domu oznaczają na mapie położenie skrytek, robią notatki i tak zaopatrzeni wyruszają w teren – opowiada Karol.

W geocaching można bawić się samemu, ale jeszcze większą frajdą jest poznawanie ludzi o podobnych zainteresowaniach. W serwisie Geocaching.com znajdują się filmy przedstawiające historie par, które poznały się podczas zdobywania skrytek i zorganizowanych eventów.

Najbardziej zapaleni gracze stawiają sobie ambitne wyzwania. Grupie Holendrów w ciągu jednej doby udało się

znaleźć schowki w 19 różnych krajach. Podróż zakończyli na południu Polski – Mnie udało się grać w siedmiu krajach w ciągu jednego dnia: z Poznania poleciałem do Monachium, odwiedziłem Oktoberfest, potem odbyłem rajd przez Austrię, Liechtenstein, Włochy i Szwajcarię do Francji – wspomina Karol Chęciński.

W tym roku w Polsce odbędzie się wyjątkowo duży zjazd miłośników geocachingu. W dniach 24–26 maja miejscowość Górzno w województwie kujawsko-pomorskim będzie gospodarzem międzynarodowego pikniku. Podczas imprezy zostanie wypuszczony balon, który ma dotrzeć aż do stratosfery. Po pęknięciu zawarta w nim

skrytka z GPS-em spadnie na ziemię i rozpoczną się jej poszukiwania. Okazuje się, że mała miejscowość Górzno jest stolicą polskiego geocachingu. W jej okolicy znajduje się kilkaset skrytek, które przyciągają turystów z całego świata.

### Tu byłem

Jeśli lubisz spędzać czas na łonie natury, przyda ci się aplikacja Everytrail (Android, iOS). Pomoże ci w znalezieniu także tych mniej utartych szlaków. Użytkownicy aplikacji tworzą własne rekomendacje wycieczek, udzielają rad i informacji na temat okolicy. Niestety, sama aplikacja pozwala na wyszukiwanie szlaków tylko w najbliższej okoli-

cy, więc jeśli planujesz dalszą podróż, użyj najpierw wersji online dostępnej na stronie everytrail.com. Posiadacze iPhone'ów mogą skorzystać z rozszerzonej wersji tej aplikacji dostępnej pod nazwą Trailhead.

Niestety, jako Europejczycy jesteśmy poszkodowani, globalne aplikacje docierają do nas z opóźnieniem. Na szczęście nie brakuje nam rodzimych twórców. Jeśli chcesz odkryć rzadziej odwiedzane przez turystów miejsca w Polsce, wypróbuj aplikacje Polska Niezwykła i Znane Nieznane (obie dostępne na Androidzie i iOS). Programy zostały stworzone przez popularne serwisy internetowe o tych samych nazwach. W tyle za amerykański-

mi odpowiednikami nie pozostaje Tatrzański Park Narodowy, który posiada własną aplikację TatrInfo (Android). Dzięki niej dowiesz się, jakie warunki panują aktualnie w górach, jak zachować bezpieczeństwo na szlaku, gdzie się aktualnie znajdujesz i jaką dalszą drogę obrać.

Warto jednak pamiętać, że sprzęt elektroniczny jest zawodny, zwłaszcza w trudnych warunkach pogodowych. Jeśli w telefonie wysiadzie ci bateria, a tablet wyslizgnie się z ręki i utopi w leśnej strudze, takie old-schoolowe metody jak mapa i kompas mogą uratować coś więcej niż dobrą zabawę. O ile umiemy się jeszcze nimi posługiwać. ☺

WOJCIECH MIKOŁUSZKO

# Rysiu, wróć!

Zimowe liczenie rysia na Mazurach nie rozwiało wątpliwości, czy akcja przywracania dzikich kotów ma szansę na sukces.

Ludziom się wydaje, że wystarczy wypuścić rysie do lasu i problem z głowy. A to wcale nie jest takie proste – wzdycha Stefan Jakimiuk z WWF Polska. Takie wyznaczenie w pierwszej chwili może dziwić. W końcu program, którym kieruje Jakimiuk, chwali się niebanalnymi sukcesami. Jego celem było przywrócenie Mazurom rysia – naszych największych dzikich kotów. Występowały one tam nieprzerwanie aż do końca XIX w. Potem pojawiały się nieregularnie, czasem na dłużej, czasem na krócej. Ostatecznie zniknęły w latach 90. XX w. Do ich eliminacji przyczynił się przede wszystkim nadmierny odstrzał oraz kłusownictwo. Mazurskie puszcze – Piska, Romnicka i lasy napiwodzko-ramuckie – leżały też zbyt daleko od innych kompleksów leśnych, by dzikie koty potrafiły do nich wrócić samodzielnie, bez pomocy ludzi.

Dlatego w 2007 r. dr Andrzej Krzywiński z Parku Dzikich Zwierząt w Kadzidłowie oraz WWF Polska wypuścili na Mazurach rysie z ogrodów zoologicznych na Białorusi. Dziesięć miesięcy temu dołączyły do nich trzy dzikie koty z Estonii. Zostały one zapatrzone w nadajniki, dzięki czemu wiadomo już, że jeden ryś padł, drugi osiadł na Mazurach, a trzeci po długiej wędrówce zawrócił do Puszczy Piskiej. Z kolei losy zwierząt z Białorusi i ich potomstwa można poznawać tylko pośrednio – przez odchody oraz tropy. Dzięki tej metodzie zimą 2011 r. doliczono się ośmiu rysia na Mazurach.

Tegoroczną akcję, przeprowadzoną 11 lutego, utrudnił padający śnieg. Wnioski były więc niejasne i liczenie zostanie powtórzone.

Daleko też do końca programu. – Naturalna śmiertelność młodych rysia może przekraczać nawet 50 proc. Bywa też, że rysie urodzone w jednym lesie rozchodzą się do innych kompleksów leśnych. Dlatego tak trudno stworzyć załóżek przyszłej populacji – tłumaczy Stefan Jakimiuk. – Musimy też dbać o ich bazę pokarmową. Chodzi o odpowiednią liczebność saren, na które rysie najczęściej polują. Sarny musi być dużo, bo jest nią zainteresowany jeszcze i wilk, i człowiek myśliwy. Jak widać nie jest to prosta sprawa...

Jak wyjaśnia dr hab. Krzysztof Schmidt z Instytutu Biologii Ssaków PAN w Białowieży: – Leśnicy mówią, że zwierząt kopytnych jest pełno. Ale w głębi lasu, gdzie polują rysie, nie ma ich wiele. Rysie w Puszczy Piskiej coraz częściej więc wychodzą na polowanie poza las. Może być z tym problem.

Żeby więc akcja się udała, ekolodzy muszą współpracować z miejscowymi leśnikami, stale sprawdzać stan populacji mazurskich rysia, liczyć je i uzupełniać nowymi przybyszami. Wymaga to wiele czasu i pieniędzy. Czy naprawdę warto aż tyle inwestować?

– Ryś jest rodzimym gatunkiem europejskim. Ma swoją funkcję w ekosystemie – odpowiada dr hab. Krzysztof Schmidt. – A jeśli człowiek wyrządził szkodę przyrodzie, wybił zwierzęta, to powinien ją naprawić.



BARTŁOMIEJ KUDOWICZ/FORUM

EWA PANEWKA, WANDA DYSK

## SKYFALL – czyli modana sezon meteorytów

Jeśli więc po ostatnich wydarzeniach w Rosji paraliżuje cię lęk, że przechadzając się ulicami miasta, zostaniesz bezpardonowo zaatakowany przez deszcz kamieni kosmicznych poruszających się w kierunku twojej czaszki z prędkością 108 tys. km/h, zabezpiecz się już dziś. **Oto wielka moda w służbie bezpieczeństwa obywateli.**



**1** Pierwsze miejsce w konkursie na nakrycie głowy najlepiej zabezpieczające w razie nagłego ataku meteorytów bezdyskusyjnie przyznajemy Dodzie. Spektakularny metalowy hełm sprawi, że z nawet najbardziej imponującego kamiennego gradu będziecie sobie mogli spokojnie pożartować. Czaszka pozostaje zabezpieczona doskonale! Mało tego, nawet jeśli w ferworze tej nierównej walki padniecie na płytę chodnikową jak rażeni piorunem, odpowiednio wyprofilowana ostona nosa uchroni was przed złamaniem tego przydatnego narządu. Rynienka wokół hełmu oprócz funkcji ochronnych może służyć do zbierania odłamków meteorytów, które jeszcze przez około 10 lat można z zyskiem sprzedać na Allegro.

**2** U Anny Muchy podpatrzyliśmy rozwiązanie bardziej eleganckie, utrzymane w duchu glamour. Jeśli toczek wzmocnimy jakąś blaszką czy przynajmniej damy pod spód druciany stelaż, możemy wśród spadających meteorytów przechadzać się jak na czerwonym dywanie, spokojnie rozdając uśmiechy uciekającym w popłochu przechodniom, pozbawionym jakiegokolwiek zdolności przewidywania rozwoju wypadków.

**3** Hand made wraca do task! Sibling w pokazach na 2013 r. wykazał się zdolnościami profetycznymi i zaprojektował wersję „hand made” antymeteorytowego ochraniacza. O takie antymeteorytowe wdzianko możecie poprosić babcie lub pokusić się – pozostając w zgodzie z najnowszymi trendami – o samodzielne wykonanie. Obnażona klatka piersiowa dodaje projektowi pikanterii, a sylwetkę lekkości, choć z punktu widzenia bezpieczeństwa nie jest obowiązkowa.



**4** Czasem najprostsze rozwiązania są najlepsze. Meteoryty boją się kasków! Proponujemy nieco bardziej finezyjne od zwykłych motorowych – do wyboru szereg fryzur i wersji kolorystycznych. Szykownie i bezpiecznie. [www.good.kz](http://www.good.kz)



**6** W hołdzie tradycji, ale z ekologicznym akcentem. W dobie szalejących meteorytów słynne, 45-centymetrowe czarne czapy żołnierzy Gwardii Królewskiej to strzał w dziesiątkę. Jedynym mankamentem dla obrońców praw zwierząt mogłyby być fakt, iż szyte są z futer północnoamerykańskich niedźwiedzi. Teraz jednak Stella McCartney ma zaprojektować nowe, ekologiczne czapki dla gwardzistów w Buckingham Palace. Wersja XXI wieku – tym razem na kosmiczny bój!



**7** A na koniec nasz polski, współczesny „gest Kozakiewicza”, który kierujemy tym razem w stronę Kosmosu. Dla tych niepokornych, co się meteorytów nie boją! [www.artlebedev.com](http://www.artlebedev.com)

Wiosną czapy odpadają. Trzeba ratować się fryzurą. Proponujemy rozwiązanie Nicki Minaj. Na nasze oko imponujący kok zamortyzuje siłę uderzenia odłamków meteorytu nawet o połowę! Taki tapir we łzach wzruszenia z pewnością zgodzi się dla was zrobić zaprzyjaźniona fryzjerka z osiedlowego salonu U Krystyny.

Autorki na co dzień prowadzą ironicznego bloga *Moda i Medycyna* <http://www.hellozdrowie.pl/blogi/moda-medycyna/>

Knowhow  
i sprawdzona  
metodologia

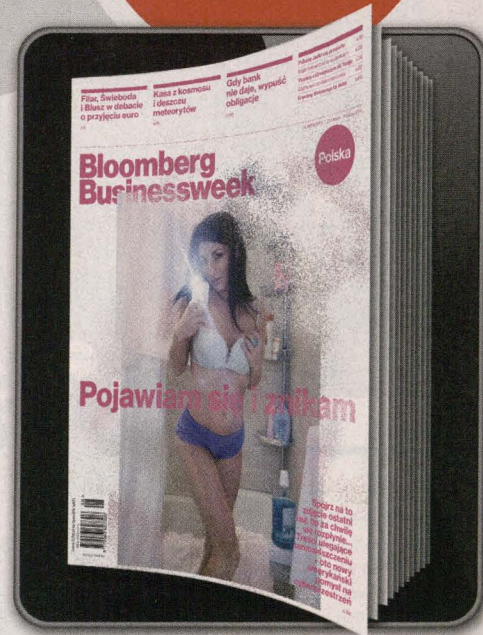
# Bloomberg Businessweek

Polska

Biznes  
i gospodarka  
świata

Biznesplan  
na tydzień

Najważniejszy  
dla nas jest  
rynek polski



# Bloomberg Businessweek

Polska

7 dni na biznes



W każdy poniedziałek. Dostępny także w kioskach.

KUBA DĄBROWSKI

# Trupa pana Brodsky'ego

Historia jednej z pierwszych „abstrakcyjnych” okładek w historii muzyki rozrywkowej.

**N**owy Jork, połowa lat 60. Joel Brodsky prowadzi skromne studio portretowe przy 31. ulicy. Fotograf nie aspiruje do artystycznych pozycji, po prostu robi zdjęcia i zarabia pieniądze. Jego specjalnością są portrety rodzinne i ślubne. Przygodę z zawodem Brodsky zaczynał, pracując za ladą w sklepie fotograficznym na Brooklynie. Kiedy poznał się na sprzeczcie, stwierdził, że sam zacznie robić zdjęcia. Wziął pożyczkę z banku i otworzył studio. Rewolucja w zawodowym życiu Brodsky'ego pojawia się zniemacka – żona prosi go o przystługę dla znajomego, chodzi o portret początkującego folkowego piosenkarza Erica Andersona. Menedżer piosenkarza nie ma na sesję ani centa, ale obiecuje odwdziżyć się fotografowi w inny sposób. Portret muzyka z gitarą wychodzi dobrze i okazuje się początkiem nowej, nieplanowanej kariery. Zdjęcie zostaje wykorzystane na okładce debiutu Andersona, a do studia Brodsky'ego zgłasza się coraz więcej naganianych przez menedżera muzyków z podziemnej nowojorskiej sceny. Większość z nich dysponuje na szczęście budżetem na sesję.

Jednym z zespołów, które przewijają się przez studio, jest będący akurat w Nowym Jorku na pokazie dla prasy sensacyjny kalifornijski zespół The Doors. Brodsky ma sfotografować ich w sali koncertowej, ale zbyt silne czerwone światło uniemożliwia pracę. Następnego dnia udaje mu się ściągnąć muzyków do studia. W kilka godzin powstaje kil-



kanaście wariantów – od prostych grupowych portretów po psychodeliczne multiekspozycje. Jedna z nich ląduje na okładce debiutanckiego albumu grupy. Zadowoleni ze współpracy z Brodskym i świadomi siły swojego image'u Doorsi odwiedzają fotografa jeszcze kilkakrotnie. Podczas jednej z wizyt, po wypiciu ¾ litra whisky, cichy zazwyczaj Jim Morrison nabiera ochoty na pozowanie. Ścią-

ga koszulę i ustawia się w natchnionych pozach. Podczas pozowania ciężko mu utrzymać równowagę i przewraca sprzęt, ale fotograf nie pozwala mu przestać. Powstają przysze ikony. „Sfotografowałem Jima będącego na szczycie. Był piękny, szalony, bardzo seksualny, ale nie był jeszcze zniszczony przez alkohol i narkotyki. Później już nigdy nie wyglądał tak dobrze i doskonale zdawał sobie z tego sprawę” – wspomina Brodsky.

W 1967 r. the Doors nagrywają drugi studyjny album „Strange Days”. Okładkę, siłą rozpędu, ma wykonać Brodsky. Morrison odkleił się już od rzeczywistości, czuje się źle ze sobą i nie chce sesji. W ogóle nie chce występować na okładce. Brodsky proponuje w związku z tym surrealistyczny kadr inspirowany filmem „La Strada” Felliniego. Wytwórnia nalega jednak na obecność zespołu na okładce – w końcu to twarze sprzedają muzykę. Staje na tym, że na niemającej żadnego związku z zespołem fotografii na jednej ze ścian w tle pojawi się plakat The Doors. Wykorzystane będzie zdjęcie z poprzedniej sesji, zespół nie będzie musiał odwiedzać studia. Brodsky organizuje pierwszą w swoim życiu sesję plenerową. Na początku próbuje znaleźć prawdziwych cyrkowców, ale jest lato i większość z nich jest akurat w trasie po Ameryce. Fotograf musi się posiłkować znajomymi. Zonglerem zostaje jego asystent („Po każdym zdjęciu musieliśmy biegać i zbierać rozrzucone po całym planie piłki” – komentował Brodsky), w rolę atlety wcieliła się ochroniarz z Friars Club, na trąbce gra taksówkarz, który podwiózł żonę fotografa na sesję. Jedynie karzeł ma jakiegokolwiek medialne doświadczenie – występował w telewizyjnej reklamówce w roli pomocnika św. Mikołaja. Doborowa grupa tworzy jedną z pierwszych „abstrakcyjnych” okładek w historii muzyki rozrywkowej.

**Kuba Dąbrowski** co tydzień pisze o rzeczach, które mogłyby być uznane za sztukę, ale są też częścią codzienności. O zdjęciach, plakatach, reklamach, okładkach książek i płyt, logotypach.



WOJCIECH BOŃKOWSKI

# Piękna czy bestia?

Powstał Ruch Oporu Wobec Dyskontów.  
Na razie ma pięciu członków.

Jak było na nartach? W czasie gdy beztrudnie szusowaliście, przez winiarski Internet przetoczyła się prawdziwa burza. Poszło o nową ofertę win hiszpańskich w Biedronce (przebiegłą, ale o tym za chwilę). Zdarzenie prozaiczne, bo Biedronka nowe wina wprowadza do oferty co dwa miesiące. Poruszyło to jednak czułe struny u niektórych konsumentów, którzy z grubej rury wystrzelili do dyskontów. Że nie sprzedają win, tylko produkty winopodobne, których szanujący się człowiek nie powinien brać do ust, tylko wspierać wyroby małych rodzinnych winiarni.

Brzmi pięknie, gorzej z rzeczywistością. Te małe rodzinne wina w Polsce często kosztują za dużo jak na kieszeń przeciętnego konsumenta (i za dużo wobec swoich cen oryginalnych). W o wiele bogatszych Niemczech średnia cena butelki wina wynosi 2 euro, tymczasem u nas za 8,50 zł można kupić najgorszego sikacza z dyskontu. Na porządne wino trzeba wydać co najmniej 15 zł. Akurat z tych 2 niemieckich euro zadowolony nie jest nikt, ale to pokazuje społeczną dostępność wina za naszą zachodnią granicą.

W Polsce wciąż się nie zdecydowaliśmy, czy wino ma być napojem elitarnym dla wyedukowanych pasjonatów czy popularnym, dostępnym dla każdego. Ruch Oporu Wobec Dyskontów mniej lub bardziej świadomie optuje za tym pierwszym, argumentuje, że dobre wino musi kosztować 30 zł, liczą się tylko tradycyjne metody produkcji, a zalew przemysłowego kwasu z Chile czy Kalifornii woła o pomstę do nieba.

Przy takiej postawie nie można się dziwić, że w Polsce nadal wypijamy średnio cztery butelki wina rocznie. A żeby coś się poprawiło (na czele z cenami), powinniśmy przejść do trzech miesięcznie.

To można jednak osiągnąć tylko poprzez umasowienie wina, czyli sprzedawanie go w dyskontach i marketach. W Polsce te pierwsze mają już 20 proc. rynku, w Niemczech – 50 proc. Czyli u nas wina w Biedronkach i Lidlach sprzedaje się na razie stosunkowo mało.

Temat budzi jednak wiele emocji. Jednym z najzagorzalszych dyskutantów w dyskontowej awanturze okazał się nie konsument, tylko mały importer, który oferuje wina z tych samych krajów co Biedronka, ale nie jest w stanie robić tego po 14,99 zł. Ciężki oddech marketów czuje na plecach wiele specjalistycznych sklepów winiarskich. Jedne się zamykają, drugie w desperacji same sięgają po najtańszą tanioczę. Rozżalenie budzą dyskontowe akcje marketingowe z celebrytami, ale wiele małych sklepów nie robi nic, by przyciągnąć klientów. Na półki wstawiają miszmasz, ceny mają z kosmosu, w dziedzinie komunikacji ani be, ani me. Są wyjątki i one sobie akurat z konkurencją marketów całkiem nieźle radzą, jak pewna warszawska winiarnia na M. albo sklep znanego aktora na K.

Markety mają oczywiście inną skalę działania, inne koszty importu w przeliczeniu na butelkę. Z natury rzeczy oferują porównywalny produkt w niższej cenie. Często jednak przy tym faulują. Z dostawców mleka wysysają ostatnie krople krwi i to samo robią z winiarzami. Same na winie zarabiają całkiem nieźle – chyba że postanowią inaczej. Pewien market sprzedaje wina portugalskie taniej, niż kosztują w Portugalii. Ta sama etykieta kosztuje tam 4,50 euro, tu – 17,99 zł, czyli 4,30 euro. Tyle że w Portugalii na wino nie ma akcyzy i obowiązuje 13-proc. VAT. Czyli w Polsce kupimy to wino blisko 30 proc. taniej, chociaż market, o którym mowa, sprzedaje pięć razy mniej wina niż jego portugalski odpowiednik. Mar-



**1** Pagos del Galir Godello 2011, jabłko, gruszką, pieprz, z dyskontu, ok. 25 zł

**2** Dominio de Manciles Arlanza Joven 2011, malina, truskawka, fiołki, nie z dyskontu, ok. 28 zł

**3** Ticket to Chile Cabernet Sauvignon 2011, porzeczki, śliwki, mentol, nie z dyskontu, ok. 29 zł



**WOJCIECH BÓNKOWSKI**

Pisze o winie od 2000 r., twórca portalu Winiary.pl, nieustraszony eksplorator win marketowych i wszelkich innych.

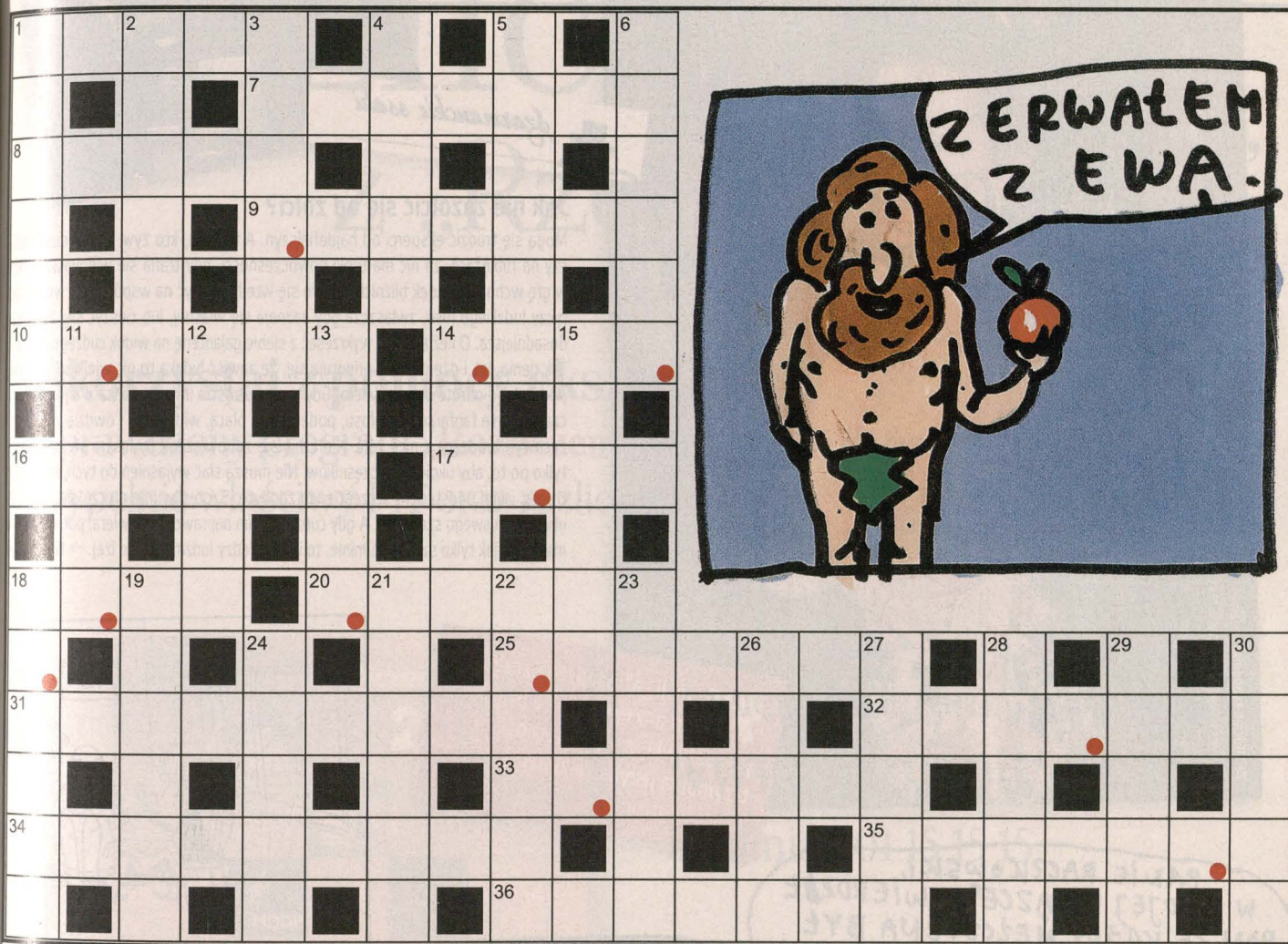
ket zapewnia gorliwie, że stosuje „marzę dodatnią”. Ekonomiczny fenomen.

Przy okazji dostało się blogerom. Że chodzą na wieczorki degustacyjne organizowane przez dyskonty, zamiast wypełniać swoją „misję” wobec „społeczeństwa”. To brzmi groźnie. Od „misji” już tylko krok do „obowiązku”, i to wręcz wobec narodu. Zawsze myślałem, że bloger to ktoś, kto w prywatnym dzienniku pisze o tym, co mu przyjdzie do głowy, i albo czytelnicy to czytają, albo nie. Dziś nastąpiła pora na lustrację blogerów. Z drugiej strony pojawiają się dziwne pomysły, jak niedawny mailing z pytaniem, czy „jesteś otwarty na współpracę” z dyskontami. To tak jakby zapytać dziennikarza, czy chce „współpracować” z politykami.

Życie dopisało do tej historii zabawną puentę. Nowa oferta win hiszpańskich w dyskoncie na B. jest bardzo średnia, dominują faktycznie wina przemysłowe, mało ekscytujące. A jednak na półki trafiło hiszpańskie Pagos del Galir Godello, które w cenie 24,99 zł jest po prostu winem genialnym. W dodatku to żadna przemysłówka, tylko flaszką z małej rodzinnej winiarni, która dawno powinna znaleźć się w ofercie jakiegoś małego importera.

Jeżeli czytacie ten tekst i kupujecie wino, istnieje 65 proc. szans, że robicie to regularnie w Biedronce. W największej polskiej sieci handlowej co sekundę kupowane są dwie butelki wina. W wielu mniejszych miejscowościach to jedyne sensowne miejsce do zakupu wina. Ruch Oporu Wobec Dyskontów ma ręce pełne roboty.

Litery z oznaczonych pól czytane poziomo utworzą rozwiązanie.

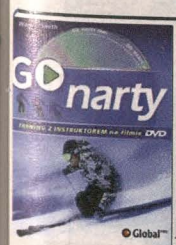


**POZIOMO:**

1. ZAPEWNIĄ OPROCENTOWANIE
7. DROGA DO SERCA
8. WCIELAK
9. ZAKAZ MÓWIENIA „TAK”
10. MIEJSCOWA ATRAKCJA
14. „TAKODRZEW
16. GORZKI ŻOŁĄDKOWY
17. PARSZYWA TRZYNASTKA
18. PIERWSZY NA KSIĘŻYCU
20. FORDY ESKORTY
25. TARCZA SYRENY
31. PRZENOSI Z PÓŁEK NA DESKI
32. Z NACISKIEM NA „O”
33. NAPSUŁA MU GRUPA KRWI
34. NIE PUSZCZA ZŁYCH PROGRAMÓW
35. DLA AMATORÓW ZIELONEGO SZALEŃSTWA
36. ZAPUSZKOWANA GRUBA RYBA

**PIONOWO:**

1. KWIATEK DLA SIOSTRY
2. WIELKI PIESEK
3. POMIESZCZENIE ZAPEWNIĄJĄCE WSZELKIE NIWYGODY
4. WŁOSY NA PIERSIACH
5. ROBIĄ KRESKI Z TRAWY
6. STOSUNKOWO NIEPOTRZEBNE
11. STRASZNY TWÓR
12. NA BARANKA
13. DO PICIA GORZKO GORZKO
14. NIE WCHODZI Z BILETEM
15. PRAWO KARTOGRAFICZNE
18. POŁĄCZONY STRONAMI
19. SKWARNAWAŁ
21. STÓŁ DO SKŁADANIA
22. STOPY MARILYN MONROE
23. SPADEK NA LIŚCIE
24. RYBIE OCZKA
26. NIE WOLNO W OBIESTRONY
27. PASJA MELA GIBSONA
28. URWANIE GŁOWY Z NIM
29. WYCIĄGANY W KOŚCIE
30. IMPREZA, NA KTÓRĄ WCHODZI SIĘ PO ANGIELSKU



Nagrodą w tym tygodniu jest książka  
**„GO Narty  
trening z instruktorem na filmie DVD”**  
autor Warren Smith, wyd. Global PWN

Wygraj jedną z 10 książek.  
Rozwiązania należy przesać  
**NA KARTCE POCZTOWEJ**  
na adres: Presspublica sp. z o.o., ul. Prosta 51,  
00-838 Warszawa, z dopiskiem: „krzyżówka 8”.  
Na prawidłowe rozwiązania  
czekamy do 3 marca 2013 r.  
(decyduje data stempla pocztowego).

**LAUREACI  
Z NR. 5**

Danuta Siwik, Gryfino;  
Jerzy Woźniak, Świdnica;  
Stanisław Grabias, Biłgoraj;  
Anna Krajewska, Słupsk;  
Krzysztof Blicharz, Tczów Średni;  
Bożena Ziemczyk, Białystok;  
Mariusz Zagórski, Dzierżonów;  
Anna Pojda, Rybnik;  
Jan Pawliszko, Wołów;  
Andrzej Grabowski, Warszawa

**ROZWIĄZANIE Z NR. 6**  
KRZYŻÓWKA: ZMIANA ADRESU

**POZIOMO:** 1. DZIAŁ Z WOZU – WÓZAK 7. NA POLACH – WARCĄBY 8. OSTRO RÓŻOWE – KOLCE 9. CO ON ZŁĄCZY, CZŁOWIEK NIECH NIE ROZDZIELA – SPAWACZ 10. CO SIĘ ODWLECZE – GRANAT 14. STROJONA W OPERZE – MINA 16. WYRAZ SŁABOŚCI – ANEMIA 17. WSADZ SE TAM SWOJE PLANY – TUBA 18. TRAWA NAD GROBEM – MOWA 20. TRAFIA W ŚLUSPEK – SONDAŻ 25. CZŁOWIEK Z ZABURZENIAMI RÓWNOWAGI – ZŁOŚNIK 31. WSZYSTKIE OCZKA ZWRÓCONE NA NOGI – KABARETKI 32. NIE DLA BAŁWANÓW – ROZTOPY 33. DŁUGA PRZERWA W SZKOLE – WAKACJE 34. WSTĘGĄ SZOS, MIEDZĄ PÓŁ ZŁOCONYCH, KRĘTĄ ŚCIEŻKĄ POPRZECZ LAS – TERENÓWKA 35. POWODUJĄ WZROST STOPY – SZPIŁKI 36. ANTRAKCYJNE MIEJSCE – KULUARY

**PIONOWO:** 1. MĘCZYŻNA, KTÓRY SAM SOBIE PRZYPRAWIŁ ROGI – WIKING 2. JEGO KREW – ZALEWA 3. AKTOR NAD GROBEM – KWESTA 4. INSTRUMENT STRUNOWY – KRTAŃ 5. PODJUDZIE – TATAMI 6. KUKI MIKI – MYSZKA 11. KÓŁKO SPORTOWE – RINGO 12. KOBIETA PRZYWIDYWAŁNA – NIMFA 13. WPADNU POTĄNCZYĆ – TRANS 14. WYPADŁ KROWIE SPOD OGONA – METAN 15. SILNY W BARACH MLECZNYCH – NABIAŁ 18. WISI DZIADKOM – MAKATA 19. OKRĘG I KRZYŻYK – WYBORY 21. DZIEŃ I TYDZIEŃ – OKTAWA 22. CZŁOWIEK NIEWYZYCAJNY – DZIWAK 23. KWIATEK OD ŻONY – ŻONKIL 24. GRABI ZIEMIE POLSKIE – BRONA 26. POLSKA DLA POLAKÓW – NACJA 27. O WSCHDZIE – KRESY 28. KIEPSKA FRYZURA I ARCHITEKTURA – SZOPA 29. SZYBKI NA STOKU – GOGLE 30. PO ZAWODACH – WYNIK

# ROZMAITOŚCI

Kociak tygodnia: Jacqueline, 22 lata, modelka, mieszka w Berlinie, kocha swoją dziewczynę i kota Wilhelma. Fot. Sonia Szóstak



## Azermanckie ssaki



### Jak nie zażłócić się od zółci?

Mogą się trudzić eksperci od hajdefiniszyn. A tu i tak, kto żyw, czy w metropolii, czy na rubieżach, za nic ma uroki nowoczesności, gdy trafia się widowisko, gdzie w grę wchodzi upadek bliźnich. Łatwo się wtedy zdobyć na współczucie wobec goryczy ludzkiego losu, zwłaszcza gdy zaznaje się własnej, lub cieszyć się, że cudza dosadniejsza. O ileż trudniej wykrzesać z siebie galanterię na widok cudzego triumfu. Tak dama, jak i dżentelmen orientują się, że zawiść ludzka to nic wielkiego, zwykły podatek od obrotów szczęściem. Gdy więc szczęście im się przytrafi, a już zwłaszcza wsparte fanfarami rozgłosu, podatek ten płacą, widując tu i ówdzie zaciśnięte żuchwy i brodzącą z nich zółć. Nie czują się zobowiązani, by losem swym gardzić tylko po to, aby ukoić nieszczęślików. Nie muszą słać wyjaśnień do tych, którzy już tropią, jakim podstępem szczęście ich zdobyte. Szczęśliwi nie dręczą się skutkami ubocznymi swego szczęścia. A gdy cudza zółć im naprawdę doskwiera, pocieszają się myślą, że jak tylko szczęście minie, to i być między ludźmi będzie łżej. → Ula Ryciak

Jeśli „a” oznacza szczęście, to  $a=x+y+z$ ; x – to praca, y – rozrywki, z – umiejętność trzymania języka za zębami. Albert Einstein



PANIE RACZKOWSKI, W SWOJEJ KSIĄZCE\*STWIERDZIŁ PANI, ŻE KAŻDY MĘŻCZYŻNA BYŁ W BURDELU. CZY NADAL PANTAK UWAGA?

NIE. TO BYŁA MOJA POMYŁKA. JEST, JAK SIĘ OKAZAŁO, WRĘCZ PRZECIWNIE...

TAK NAPRAWDĘ ŻADEN MĘŻCZYŻNA NIE BYŁ W BURDELU.

A LE PAN BYŁ?

NIE. JA TEŻ NIE BYŁEM.

# Rozlicz PIT z „Rzeczpospolitą”

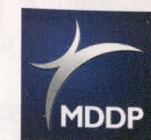
## Skorzystaj z pomocy ekspertów.

Sprawdzonego program „Rozliczenie roczne 2012” pomoże Ci bezbłędnie wypełnić właściwy PIT oraz rozliczyć ulgi.



Pobierz program [www.rp.pl/pit](http://www.rp.pl/pit) infolinia 801 15 15 15

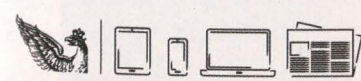
Wpisz kod: **RZ2012PIT** a zyskasz **50% rabatu**



Program ROZLICZENIE ROCZNE 2012 zweryfikowany przez spółkę doradztwa podatkowego MDDP Michalik Dłuska Dziedzic i Partnerzy



Partner projektu:



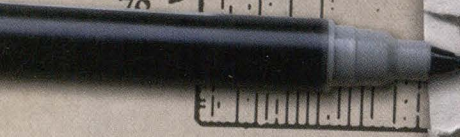
Pobudzamy myślenie RZECZPOSPOLITA

OFF plus &  
camERA  
prezentuje

**bierzcie  
i kręćcie**

**zbierz ekipę  
i nakręć film**

**10**



Rys  
Kamera f.d.c. 789/009/A7  
Patent nr 785/456 Aleksander  
*[Signature]*

Łączna pula  
**NAGROD:**  
ponad

**100 000 zł**

[www.bierzcieikreccie.com](http://www.bierzcieikreccie.com)

nagrody  
fundują:



**plus &**  
Lider technologii LTE

**allegro**



patroni  
medialni:



RMF *Classic*



onet.

tvn